



MIKE RESNICK

GABINET OSOBLIWOŚCI

TYTUŁ ORYGINAŁU: Sideshow. Tales of the galactic midway

PRZEKŁAD: KATARZYNA KARŁOWSKA

Pierwszy tom serii „Z galaktycznej Areny”

DOM WYDAWNICZY „REBIS” POZNAŃ 1993

ROZDZIAŁ 1

Na widok Chłopca o Psim Pysku zachciało mi się płakać. I natychmiast stąd wyjść.

Czaszkę miał spłaszczoną jak buldog albo mops, dzięki czemu szczeka zajmowała całą dolną połowę głowy. Na czole głębokie bruzdy żłobiły obwisłą skórę. Nos w ogóle nic przypominał psiego — nie był ani czarny, ani skórzasty, nic takiego — ale nigdy nie widziałem równie szeroko rozstawionych nozdrzy, tak jakby Chłpiec wpadł z pełnego rozpędu na mur i potem już nie zadbał, by mu nastawiono przegrodę. Jego uszy były zupełnie maleńkie — widząc je miało się wrażenie, że nic jest w stanie usłyszeć nic cichszego od karabinowego wystrzału.

Zafascynowały mnie natomiast jego oczy. Ciemnobrązowe i przeraźliwie smutne: stare oczy, zbyt stare w porównaniu z resztą twarzy, oczy, których nic chyba nie mogło wzruszyć, przestraszyć czy rozbawić. I tak jak w psich oczach, były w nich migotki: cieniutkie błonki, tworzące wewnętrzną powiekę, która chroni oko przed wiatrem i brudem.

Nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak on może patrzeć na swoją twarz w lustrze i nadal mieć ochotę do życia. Pomimo litości, jaką czułem do jej właściciela, ta twarz przerażała mnie i odstręczała.

— Niezłe — stwierdził Thaddeus, zapalając papierosa i dmuchając dymem w stronę Chłopca o Psim Pysku. — Zupełnie niezłe.

— Straszne — powiedziałem.

— Ale efektowne — odparł Thaddeus. — Ciekaw jestem jego głosu.

Jakby uznając to za sygnał, Chłpiec o Psim Pysku wydał z siebie trzy przenikliwe szczeknięcia, przypominające raczej głos foki.

— Niezwykłe frapujące — stwierdził Thaddeus. — Kiedy wrócimy, przypomnij mi, żebym pogadał z Elmerem.

Elmer — wspomagany trzygodzinnym makijażem i dwuletnim doświadczeniem zdobytym podczas letnich tras — występował jako nasz Chłopiec o Psim Pysku.

Thaddeus ponownie dmuchnął dymem w stronę Chłopca o Psim Pysku. Nie doczekawszy się żadnej reakcji, podszedł do następnej przegrody, by popatrzeć na Człowieka Jaszczura.

Człowiek Jaszczur nie miał na sobie nic oprócz szortów. Siedział na matym, drewnianym krzeselku, sztywno wyprostowany, z dłońmi splecionymi na kolanach. Wpatrywał się w nas nic mrugając powiekami, z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, pokrytej łuskami podobnie jak reszta ciała. Nie były to żadne trędownate wrzody, mające rzekomo przypominać wężową skórę, ani chroniczna wysypka, na którą cierpi tylu Ludzi Jaszczurów, lecz ukośne, błyszczące gadzie łuski, odbijające światło jak pryzmaty. Jego skóra, o lekko zielonkawym odcieniu, błyszcząca i oleista, marszczyła się na mięśniach niczym żywa tkanina. Był zupełnie pozbawiony owłosienia i kiedy wreszcie udało mi się uchwycić rysy jego twarzy, zdałem sobie sprawę, że jej wyraz zupełnie mi się nie podoba. Miał zimne, martwe oczy i nazbyt dziwacznie osadzoną szczękę.

— Nie podoba mi się tu, Thaddeus — powiedziałem. — Wracajmy do domu.

— Zamknij się — zgasił mnie Thaddeus, ani na moment nic odrywając wzroku od Człowieka Jaszczura. — Czy widzisz tu gdzieś zamek błyskawiczny?

— Zamek? — powtórzyłem. — Thaddeus, to nie kostium!

— Ja też go nic widzę — stwierdził ponuro. — Cholera!

Potem zatrzymaliśmy się przy Kobiecie o Trzech Piersiach.

Jej ciało było osłonięte woalem, lecz kiedy dostrzegła, że się zbliżamy, pozwoliła, by opadł na podłogę. Miała na sobie taki kostium, jaki nosi się w haremie albo podczas tańca brzucha — wiecie, takie obszerne, bufiaste spodnie z bransoletkami przy kostkach i pobrzękujący pas. Jej tors był nagi, tylko na wszystkich trzech piersiach miała nabijane cekinami miseczki. Z każdej miseczki zwisał ozdobny wisiołek, a gdy założyła ręce na tył głowy i zakotyła biodrami i ramionami, wszystkie trzy wisioriki zawirowały niczym miniaturowe śmigła helikopterów.

Czerwony jak burak spuściłem wzrok. Musiało ją to rozbawić, bo roześmiała się. Potem zaczęła wykonywać dziwaczne skręty tułowia, które miały zaszokować Thaddeusa. Mogłem jej powiedzieć, żeby się nie wysilała: nic nie jest w stanie zaszokować Thaddeusa. Obserwował ją przez kilka chwil, po czym ruszył za mną.

— Dają z siebie wszystko — zauważył. — Nic dziwnego, że psują nam interes.

Minęliśmy Brakujące Ogniwo, Ludzką Poduszeczkę do Igieł, Wielobarwnego Człowieka i Cyklopa, aż wreszcie zatrzymaliśmy się przed Człowiekiem Gumą. Uśmiechnął się do nas, wstał, rozciągnął ciało o dodatkowe dwanaście albo trzynaście cali, a potem powyginał ręce, nogi i palce we wszystkich możliwych kierunkach, a także w kilku niemożliwych. Dwoje dzieci w tłumie zaczęło głośno krzyczeć, a jedna z kobiet wyglądała, jakby zaraz miała zemdleć.

Nagle zza kurtyny wyłonił się wysoki, szczupły mężczyzna o przenikliwych oczach i orlim nosie. Nosił błyszczącą marynarkę w kolorowe paski i słomkowy kapelusz, które zupełnie do niego nie pasowały; z takim wyglądem powinien raczej ubierać się w czarny płaszcz, sięgający do samej ziemi albo w długą pelerynę, stanowiącą nieodłączny rekwizyt kiepskich filmów z Drakulą.

— Ufam, iż podobał się wam wszystkim Wędrowny Gabinet Osobliwości Ahasuerusa — powiedział po angielsku, z nazbyt nieco poprawnym akcentem. — Jeśli ktoś uważa, że nasza reklama była w jakikolwiek sposób oszukańcza, albo, że nasze eksponaty nic są takie, jak obiecywano, będę, co najmniej szczęśliwy mogąc wam zwrócić pieniądze.

Miał taką minę, jakby się nie spodziewał żadnych roszczeń i nic rozczarował się. Większość oglądających wyszła w milczeniu.

— Czy to pan jest Ahasuerus? — spytał Thaddeus, podchodząc do niego. Należał do nielicznych ludzi, którym mógł patrzeć wprost w oczy.

— Mam zaszczyt pracować dla niego — odparł wysoki mężczyzna. — Nazywam się Romany.

— A więc, panie Romany — powiedział Thaddeus, wyciągając dłoń. — Jak pan uważa, czy mógłbym zamienić kilka słów z panem Ahasuerusem na osobności?

— Obawiam się, że to zupełnie nie wchodzi w rachubę, panie Flint — oświadczył pan Romany, wpatrując się w wyciągniętą dłoń Thaddeusa.

— Skąd pan wie, jak się nazywam? — spytał Thaddeus.

— Och, spodziewaliśmy się pana od pewnego czasu.

— Po prostu szpiegujecie konkurencję — powiedział Thaddeus. — Macie cholernie dobrą wystawę dziwołągów.

— Wolimy nazywać ich dziwami natury — rzekł pan Romany tonem dezaprobaty. — Dziwołągi to brzydkie słowo, nie uważa pan?

— No nic wiem — odparł Thaddeus. — Zawsze uważałem, że trzeba nazywać rzeczy po imieniu. — Spojrzał na mnie z góry. — A ty, co o tym myślisz, Tojo?

— To poniżające słowo — powiedziałem. Czy raczej usiłowałem powiedzieć, bowiem jak zwykle miałem trudności z wydobywaniem z siebie słów i Thaddeus musiał za mnie tłumaczyć.

— Musi pan wybaczyć mojemu przyjacielowi — oświadczył Thaddeus. — On sam należy do dziwów natury.

— Nic na to nie poradzę, że się jąkam — udało mi się wykrztusić.

— Rozumiem — rzekł pan Romany. Na jego twarzy nie było widać żadnej reakcji.

Zapadła długa, niezręczna cisza.

— Jeśli nie macie już nic do powiedzenia, to udam się do swoich zajęć — przemówił w końcu pan Romany. — Czuję się zaszczycony, że mogłem was poznać.

— Czy będzie pan miał coś przeciwko temu, jeśli się tu jeszcze porozglądamy? — spytał niewinnie Thaddeus.

— Jesteście moimi gośćmi — odparł pan Romany. Wyras twarzy przeczył uprzejmyim słowom, ja jednak miałem wrażenie, jakby w jego oczach pojawiło się rozbawienie. — Ale mamy tu jedną zasadę, panie Flint: nic pozwalamy widzom rozmawiać z eksponatami.

— Chyba się nie boicie, że ich podkupię, co? — spytał Thaddeus.

— Nic — odpowiedział Romany i tym razem nic miałem już wątpliwości, że się śmieje. — Uważamy po prostu, że rozmowa niszczy otaczającą ich aurę tajemniczości i, powiedzmy, oryginalności.

— Jak pan uważa — odparł Thaddeus.

Pan Romany odszedł bez słowa, a Thaddeus zaczął powoli obchodzić wnętrze ogromnego namiotu.

— Czy widzisz te drzwi z napisem „Wstęp wzbroniony”? — spytał szeptem.

— Tak — odparłem.

— Jak sądzisz, co tam jest?

Powiedziałem, że nie wiem, co wywołało jego śmiech.

— Stawiam siedem do pięciu, że tam jest biuro Ahasuerusa.

— Ale pan Romany powiedział, że on nie chce z nikim rozmawiać — uważałem.

— Ja nie jestem żadnym nikim — odparł Thaddeus. — Podejdź tam ostrożnie i sprawdź, co jest za tymi drzwiami, a ja tymczasem odwrócę uwagę Romany'ego?

— Ale...

— Nikt, kto tyle czasu traci na czytanie, co ty, nie wytrzyma długo błogiej nieświadomości.

— Nie chcę żadnych kłopotów — powiedziałem.

— Cóż — uśmiechnął się szeroko Thaddeus — zastanów się nad tym chwilę i pomyśl, kto ci może przysporzyć więcej kłopotów, Romany czy ja.

Westchnąłem i zacząłem się skradać w stronę drzwi, tak okrężną drogą jak tylko się dało, natomiast Thaddeus podszedł do pana Romany'ego i spróbował wciągnąć go w rozmowę. Kiedy wreszcie doszedłem do drzwi, stwierdziłem, że nic jest to zwykła kłapa z namiotowego płótna, lecz twardy metal. Rozejrzałem się dookoła, by stwierdzić, czy nikt mnie nie obserwuje i nacisnąłem klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz.

Przyłożyłem ucho i nasłuchiwałem. Zza drzwi dobiegały jakieś dziwne pochrząkiwania i powarkiwania. Przestraszyłem się, bo nigdy w życiu nie słyzałem czegoś takiego. Odszedłem stamtąd szybko, lecz zaraz napotkałem wzrok Thaddeusa. Pożegnał pana Romany'ego i podszedł do mnie chwilę później.

— No i? — spytał rozkazującym tonem.

— Były zamknięte na klucz.

— Wiedziałem! To na pewno jest biuro Ahasuerusa.

— Nie sądzę — odparłem. — Słyszałem tam jakieś dziwne dźwięki.

Spytał mnie jakie, więc próbowałem je odtworzyć, ale z tym miałem jeszcze większe trudności niż ze słowami i Thaddeus w końcu znudził się słuchaniem.

— Dobra, choćby nie wiem, co tam było, i tak chcę zajrzeć do środka — oświadczył stanowczo. — Może przyjdziemy tu później, kiedy już zamknie budę.

— Chyba nie powinniśmy — powiedziałem.

— Gdybym cię słuchał, obydwaj żylibyśmy z zasiłku — zachnął się. — Ten facet ma więcej dziwolągów, niż potrzebuje, a ja mam tylko grupę sfrustrowanych aktorów, którzy nie potrafiliby przyciągnąć nawet much na przyjęcie w arbuzie. Trzeba wejść w układ. Muszę poznać tego Ahasuerusa, wybadać go, dowiedzieć się, co jest w stanie do niego przemówić.

— Dopóki to nie będą pieniądze — zauważyłem.

— Gdybym miał pieniądze, w ogóle nie musiałbym robić z nim interesu, ty cholerny karle! — zdenerwował się Thaddeus. — To niemożliwe, żeby chodziło mu tylko o pieniądze, bo inaczej nie tkwiłby tu, w samym Środku Vermont, z połatanym namiotem, bez ogrzewania, i polował na ćwierć i półdolarówki. Może uda mi się go namówić, żeby sobie pobarłoczył z którąś z naszych dziewczyn.

— A może on nie ma ochoty na taki układ.

— To wtedy spróbuję wymienić ciebie na Człowieka Gumę — odparł z irytacją Thaddeus. — Chciałbym, żebyś chociaż raz nic mówił mi, co mam robić. — Gdy jego wzrok padł na Kobietę o Trzech Piersiach, odwrócił się, by stanąć do niej przodem. — Czy ona nie pasowałaby do pokazu strip-tease'u?

Już miałem mu odpowiedzieć, ale wtedy ona spojrzała prosto na mnie i mrugnęła. Cały czerwony, odwróciłem się i nic nie powiedziałem.

— Cóż, nie ma powodu, by ta wyprawa miała być zmarnowana — orzekł Thaddeus, uśmiechając się do Kobiety o Trzech Piersiach. — Przejdź się, Tojo.

— Dokąd? — spytałem.

— Dokądkolwiek. Nie chcę, żeby taki brzydki karzeł psuł mi mój styl.

— Pan Romany powiedział, że nie wolno rozmawiać z eksponatami.

— A Thaddeus Flint powiedział na to „Odwal się”! — warknął.

Po tym znajomym, drapieżnym wyrazie jego twarzy wiedziałem, że nic, co powiem albo zrobię, nie powstrzyma go przed zaczepianiem Kobiety o Trzech Piersiach, więc wzruszyłem ramionami i ruszyłem do wyjścia. Wiedziałem, że Thaddeus nie zwykł przyjmować żadnych sprzeciwów ze strony kobiet — żadnych kobiet — więc uznałem, że mam do zabicia co najmniej pół godziny czasu, nawet jeśli jego próba skończy się całkowitym fiaskiem.

Zimny październikowy wiatr przewiewał na wylot mój płaszcz, więc zaplątałem go po szyję. Zapadał zmierzch i zwiedzający tłoczyli się już do wyjścia.

Cyrk dysponował tylko trzema rodzajami urządzeń rozrywkowych — zjeżdżalnią, baleriną i diabelskim kołem — żadne z nich nie cieszyło się więk-

szym zainteresowaniem, prawdopodobnie z powodu pogody. Przy głównym placu stał salon, mieszczący jakieś dwadzieścia gier i na tyle, na ile mogłem się zorientować, żadna z nich nie była hazardowa. Stała tam także Klatka Bozo — to takie coś, gdzie rzuca się piłkami do celu i próbuje opryskać wodą faceta siedzącego w klatce — ale woda była zbyt zimna i dlatego klatka była pusta. Nie widziałem żadnej estrady, mimo że miejscowi gliniarze patrzyli przez palce, jeśli dziewczyny uprawiały zwykły strip-tease. Przy trzech stoiskach z jedzeniem sprzedawano spore ilości kawy i hot-dogów, a na jednym z nich nawet zupę z wielkiego kotła.

Bez trudu doszedłem do tego samego wniosku, co Thaddeus: to gabinet dziwolągów psuł nam interes. Nasze urządzenia rozrywkowe były lepsze, gry bardziej emocjonujące, dziewczęta nie miały sobie równych, nawet stoiska z jedzeniem były lepiej zaopatrzone. Gdyby nie dziwolągi, byłby to dość przeciętny cyrk, taki, który jeździ od miasteczka do miasteczka i w każdy weekend zabawia młodzież z miejscowego klubu rolnika.

Jednak dziwolągi świetnie rekompensowały całą resztę. Z dwóch tysięcy ludzi, którzy znaleźliby się na terenie tego cyrku, tysiąc ośmuset weszłoby do namiotu albo stanęło w kolejce po bilety. Płacenie za możliwość oglądania zdeformowanych ciał było czymś, czego nigdy nie będę w stanie pojąć, tak jak nigdy nie zrozumieć, dlaczego szczęśliwi w małżeństwie mężczyźni kupują bilety na występy naszych dziewcząt.

Było już zupełnie ciemno, kiedy postanowiłem sprawdzić, czy Thaddeus jest już gotów do wyjścia. Gdy szedłem w stronę namiotu, nagle zrównała się ze mną grupa mężczyzn. Stanąłem z boku, żeby ich przepuścić, ale oni również się zatrzymali.

— Czemu on nie występuje razem z dziwolągami? — powiedział jeden z nich, a pozostali się roześmieli.

— Hej, synku, czy nie czas już do łóżka? — odezwał się inny.

Ruszyłem przed siebie, nie spuszczać wzroku z namiotu, lecz nagle czyjaś ręka chwyciła mnie za ramię i obróciła w drugą stronę.

— A gdzie twoje maniery? — spytał jakiś mężczyzna o przetłuszczonych jasnych włosach i ospowatej twarzy. — Nie słyszałeś, że właśnie zadałem ci pytanie?

Próbowałem mu powiedzieć, żeby zostawił mnie w spokoju, ale nie potrafiłem z siebie wydusić ani słowa.

— Co się stało? — zaśmiał się inny mężczyzna i teraz zobaczyłem, że jest ich pięciu. — Zamurowało cię?

Usiłowałem odpowiedzieć, ale znowu nic z tego nie wyszło.

— Po co wydawać pieniądze, skoro możemy patrzeć na ciebie za darmo — powiedział blondyn.

Zrezygnowałem z daremnych prób wykrztuszenia z siebie jakiegoś słowa i tylko wbiłem w niego swój wzrok.

— Straszny z niego brzydał, co nic? — stwierdził inny.

— Chodźcie — powiedział blondyn. — Już mi się go znudziło oglądać.

— A może jemu znudziło się oglądać ciebie — odezwał się za mną znajomy głos.

— A ty kto jesteś, do diabła? — spytał blondyn.

— Ja jestem facetem, który cię zmusi, żebyś przeprosił mojego przyjaciela — powiedział Thaddeus, wkraczając między niego i mnie.

— Ty i kto jeszcze? — zaśmiał się blondyn.

Thaddeus nie odpowiedział. Zrobił po prostu krok do przodu i uderzył blondyna w szczękę, a w trakcie gdy ten padał na ziemię, zdążył jeszcze uderzyć innego mężczyznę pięścią w brzuch.

— Mój przyjaciel nadal czeka na przeprosiny — oświadczył Thaddeus ze złowieszczym uśmiechem.

Pozostali trzej rzucili się na niego, a ja pobiegłem sprowadzić policjanta. Thaddeus w tym czasie klął głośno i tłukł pięściami, obie te czynności wykonując z równym zapalem. Kiedy minutę później wróciłem z dwoma strażnikami, trzech napastników leżało na ziemi, a Thaddeus i dwaj pozostali wciąż się bili. Ich twarze były zalane krwią.

Strażnicy przerwali bójkę, ale zamiast nas aresztować, woleli wyrzucić wszystkich z terenu cyrku. Thaddeus i ja mieliśmy odejść pierwsi.

— Cóż — powiedział, kiedy wyjeżdżaliśmy z parkingu — nie masz zamiaru mi podziękować, że uratowałem twój obrzydliwy kark?

— To nie było konieczne — odparłem. — Oni mi tylko dokuczali. Ty to robisz bezustannie.

— Ja mam do tego prawo — oświadczył — a oni nie.

— Nie zrobiliby mi krzywdy — obstawałem przy swoim.

— Skąd ty to wiesz, do diabła? — odparował. — A poza tym, od czasu do czasu lubię się bić.

— Szczególnie wtedy, gdy kobieta ci odmówi — powiedziałem spokojnie.

— Muszę coś zrobić z nadmiarem energii — zgodził się.

Spojrzał nagle na mnie.

— Skąd wiesz, że mi odmówiła? — spytał ostrym tonem.

— Tak się tylko domyślałem — powiedziałem.

— No i chyba dobrze, bo inaczej nie miałby kto ratować twojego tyłka — powiedział rozdrażnionym głosem.

— Nic by mi nie zrobili — powtórzyłem. — Właśnie zamierzali odejść.

— Przeklęty, niewdzięczny karzeł — mruknął Thaddeus. Resztę drogi przejechaliśmy w całkowitym milczeniu.

ROZDZIAŁ 2

Thaddeus nazywa mnie karłem, choć wcale nim nic jestem.

Jestem po prostu garbaty. Oczywiście on o tym wie, ale nie zarobiłby na pokazywaniu garbatego. Twierdzi, że ludzie mają ten godny pożałowania zwyczaj litowania się nad garbusem, który zastępuje miejsce fascynacji lub lęku. Jego zdaniem trudno to zrozumieć, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę znakomity przykład Quasimodo, ale jak powiada, tak to już jest. Próbował mnie nawet zapowiadać jako Najmniejszego Garbusa Na Świecie — na tym lepszym z dwóch światów, jak mówił — ale nic z tego nic wyszło. (Właściwie to gdybym mógł się wyprostować tak jak wtedy, gdy jeszcze rościłem, to prawdopodobnie miałbym pięć stóp i trzy albo cztery cale wzrostu: nie olbrzym, ale na pewno też nie karzeł).

On nazwał mnie Tojo: to nie jest moje prawdziwe imię, zresztą w przeszłości mówiono na mnie inaczej. Mam jednak dość wąskie oczy, czarne włosy, a w czasie, gdy chorowałem, moja skóra nabrała żółtawego odcienia. Kiedy więc Thaddeus zobaczył mnie po raz pierwszy, stwierdził, że nawet jeśli nie mam na imię Tojo, to będzie do mnie pasowało — a ponieważ nie chciałem, żeby rodzice mnie odnaleźli i odesłali z powrotem do sanatorium, stwierdziłem, że Tojo to imię równie dobre jak każde inne. Zdaje się, że Thaddeus do dziś nie wie, jak się naprawdę nazywam.

Mieszkamy razem w jednej przyczepie, chyba że Thaddeus ma kobiece towarzystwo, a to oznacza, że dość często mieszkamy oddzielnie. Tamtej no-

cy, kiedy wróciliśmy z Wędrownego Gabinetu Osobliwości Ahasuerusa, Thaddeus poderwał jedną z miejscowych dziewcząt, a ja spędziłem noc u Jupitera Mońka, tresera dzikich zwierząt. Jupiter jest miłym, przyjaznym facetem i jedynym z nielicznych członków trupy, który potrafi rozmawiać ze mną o książkach, niestety trzyma w swojej przyczepie dwa lamparty, tak więc prawie całą noc przespałem w łazience, zamknąwszy przedtem drzwi na zamek. Co jakiś czas pukał do drzwi i pytał, czy czegoś nie potrzebuję, a kiedy odpowiadałem przecząco, wracał do swoich zmagania ze zwierzętami.

I tak lepiej się spało u niego niż u innych. Jason Diggs — to ten, który prowadzi nasz salon gier i jest przez nas nazywany, raczej niezbyt pieszczotliwie, Jasonem Cwaniakiem — wpuszcza mnie tylko pod warunkiem, że zgodzę się z nim zagrać w karty. Nawet jeśli gramy na pięcio- i dziesięciocentówki, taka noc zazwyczaj okazuje się dość kosztowna. Z kolei Billybuck Dancer, nasz mistrz strzelania, siedzi po prostu całą noc na krześle, wpatrując się w zdjęcia Doca Hollidaya i Johnny'ego Ringo. Myślę, że jest trochę szalony, mimo iż jest to człowiek najlepiej władający bronią i nożem, jakiego kiedykolwiek widziałem w cyrku.

Dzięki niezwykłym komplikacjom życia miłosnego Thaddeusa, podczas sezonu spędzam po dwie lub trzy noce we wszystkich przyczepach. Z wyjątkiem przyczepy Almy, oczywiście.

Alma to Alma Pafko. Inaczej Róża Północy. Mimo iż Thaddeus w zeszłym roku prze-sunął jej nazwisko z głównego miejsca na afiszu, jest jedną z naszych najlepszych tancerek. Jest również stałą partnerką łóżkową Thaddeusa, chociaż ten układ częstokroć nieco się komplikuje. Kiedy on sypia z innymi kobietami z cyrku, ona jest w stanie się z tym jeszcze jakoś pogodzić, choć wiem, że to ją dręczy. Zupełnie dostaje szału dopiero wtedy, gdy Thaddeus podrywa którąś z miejscowych. Kocha go i nie sypia z nikim innym, rozumie jednak, że nie jest w stanie go zmienić, więc nakreśliła wymagowaną granicę wokół cyrku: dopóki wszystko pozostaje w rodzinie, Alma jest gotowa to tolerować.

Alma i ja przyjaźniliśmy się kiedyś. Prawdę powiedziawszy przez dłuższy czas była moją jedyną przyjaciółką. Opiekowała się mną podczas choroby i broniła, gdy Thaddeus mnie dręczył. Ustawiła nawet rodzaj parawanu, żebym nie musiał wychodzić z jej przyczepy podczas zimnych nocy. Ja jej pożyczałem książki i chociaż nigdy za bardzo się nimi nie interesowała, przynajmniej starała się je czytać. Dawaliśmy sobie nawet prezenty gwiazdkowe.

Popołudniami zwykliśmy siadać przed przyczepą i rozmawiać o przyszłości. Alma za-wsze twierdziła, że przestanie pracować jako tancerka, choć naturalnie nigdy tego nie zrobiła. Nie sądzę, by czuła się specjalnie upokorzona tym, że musi się publicznie rozbierać, ale zawsze było jej przykro, gdy Thaddeus dawał znać, że zapłacił gliniarzom i tancerki mogą się rozbierać na scenie. Nie przeszkadzało jej, że obmacują ją i całują obcy mężczyźni, ale denerwowała się strasznie, że jemu też to nie przeszkadza.

Stale powtarzała, że chce zostać prawdziwą aktorką, występującą w nowojorskich teatrach (o ile oczywiście nie przekona Thaddeusa, żeby się z nią ożenił, czego pragnęła najbardziej). Nic sądzę, by kiedykolwiek w życiu widziała prawdziwy teatr, ale nic była to chyba ambicja głupsza od mojej: od tego dnia, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem Thaddeusa, jak stoi na estradzie w otoczeniu dziewcząt, opowiada dowcipy, szydzi z widzów, namawiając, by kupowali bilety i odszczekując się tym najbardziej wyszczekany, pragnąłem być konferansjerem na arenie. Zapiisałem się nawet na kilka kursów poprawy wymowy, ale ani trochę nie wyleczyli mojego jąkania, podobnie jak Albee i Williams, których pożyczyłem Almie, nie zrobili z niej lepszej aktorki.

Niemniej jednak, miło było usiąść razem i pomarzyć, toteż często to robiliśmy aż do dnia, w którym Thaddeus znalazł wreszcie sposób na wykupienie cyrku od jego właściciela, Jonasa Starka. Przedtem żebrał, pożycztał, zmawiał się z innymi i kombinował, jak uzyskać obniżkę ceny, ale nadal brakowało mu kilku tysięcy dolarów. Wyglądało na to, że transakcja nigdy nie dojdzie do skutku, aż niespodziewanie przyszedł pewnego dnia do przyczepy, w której właśnie rozmawialiśmy z Almą, i oświadczył, że znalazł sposób na zdobycie brakujących pieniędzy.

Okazało się, że jeden z miejscowych od dwóch tygodni przychodził co wieczór na występ dziewcząt i że wpadła mu w oko Alma. Dowiedział się, że Thaddeus usiłuje skombinować pieniądze i zaproponował, że pokryje różnicę w zamian za coś naprawdę „ekstra”. To miał być film nakręcony wyłącznie dla niego. Chciał oglądać Almę uprawiającą seks z którymś dziwolągiem z naszego gabinetu, ale ponieważ wszyscy byli tylko ucharakteryzowanymi aktorami, Thaddeus postanowił wykorzystać mnie, jako, jego zdaniem, coś najbardziej zbliżonego do prawdziwego monstrum.

Obydwoje się sprzeciwiliśmy, ale Thaddeus strasznie się wściekł i zaczął krzyczeć, że ma termin na zebranie pieniędzy, a jak dotąd nie zarobił na nas ani złamanego grosza, choć jeździmy z nim od kilku miesięcy. Myślałem wte-

dy, że Alma zaraz wstanie i wyjdzie, ale ona siedziała chwilę bez słowa, po czym powiedziała, żeby przyniósł kamerę i kiedy już ją uruchomił, rozebrała się tak jak na scenie.

Gdy Thaddeus wycelował obiektyw we mnie, zacząłem się cały trząść. Nigdy przedtem nie miałem kobiety i śmiertelnie się bałem a poza tym to nie była pierwsza lepsza kobieta. To była Alma, co spowodowało, że poczułem się jak jakiś nędzny śmieć.

Thaddeus błagał mnie i zaklinał, sztydził i zachęcał, zupełnie tak samo, jak wtedy, gdy wyciągał pieniądze od ludzi odwiedzających nasz cyrk. Spojrzałem na Almę leżącą nago na łóżku, z twarzą tak pozbawioną wyrazu, że przypominała maskę. Między rozłożonymi szeroko udami połyskiwała jej clitoris niczym wilgotna perła otulona w jasny aksamit. Na widok łez, które zaczęły płynąć po jej policzkach, sam się rozplakałem. Marzyłem, że któregoś dnia będę się kochał z kobietą — przecież nawet garbaty jąkała miewa jakieś marzenia — ale nigdy z taką. Osiągnięcie erekcji było czymś zupełnie niewyobrażalnym, ale wtedy Thaddeus kazał Almie robić ze mną różne rzeczy i prawie wbrew własnej woli nagle byłem w stanie zrobić to, czego chciał. Kiedy położyłem się na niej, poczułem, że drży — z obrzydzenia? Kto wie — a potem Alma objęła mnie ramionami i dotknęła mojego garbu. Zobaczyłem wtedy, że łzy, które spływały po jej twarzy i skapywały na szyję, mieszają się z moimi łzami i poczułem, jak jej mięśnie napinają się, jak walczy z przepelniającym ją pragnieniem, by wstać i uciec stąd. Wreszcie nastąpił koniec — Thaddeus dostał swoje pieniądze i przejął cyrk. Odtąd już nigdy nie spałem z kobietą.

Minęło wiele tygodni, zanim oboje z Almą byliśmy w stanie choć ukłonić się sobie. Nigdy już z sobą nie rozmawialiśmy tak jak kiedyś — to znaczy, wymienialiśmy informacje, kiedy było trzeba, ale nigdy już nic mówiliśmy o swoich nadziejach, marzeniach i obawach — i z wszystkich tych rzeczy, których dopuścić się Thaddeus, tej jednej nigdy mu nie wybaczyłem. Przez niego straciłem przyjaciółkę, a nikt nie ma aż tylu przyjaciół, by móc sobie pozwolić na utratę choć jednego. Szczególnie ja.

Alma i ja zostaliśmy w cyrku, mimo że był teraz własnością Thaddeusa. Ja nie miałem dokąd pójść, a ona, choć może to zabrzmieć nieprawdopodobnie, dalej go kochała. Nie sądzę, by jeszcze go lubiła, ale najwyraźniej udawało jej się rozróżnić te dwa uczucia. Po jakimś czasie nasze rany zagoiły się, chociaż wspomnienia zostały.

Thaddeus nie marnował czasu i natychmiast skompletował naszą obecną, dziwną trupę. Zatrudnił starego Stogie'ego — podstarzałego komika chodzącego w workowatych spodniach, który naprawdę nazywał się Max Bloom i pracował w zawodzie od jakichś dwudziestu lat do zapewniania przerw między kolejnymi występami dziewcząt. Stogie specjalizował się w dowcipach, które były tak stare, że nawet pół wieku temu nic próbowano ich opowiadać nawet w „Captain Billy's Whiz Bang”, z drugiej zaś strony, o czym Thaddeus skwapliwie mnie zapewnił, był zbyt stary i słaby, żeby stanowić jakąś konkurencję wobec głównego numeru. One natomiast z przyjemnością schodziły z oczu lubieżnym starcom. (Nie było w tym, naturalnie, żadnego altruizmu; Thaddeus uważał po prostu, że zarobią mniej pieniędzy, jeśli będą wyglądały na zmęczone, ale ponieważ wszystko szło dobrze, nikomu nie przychodziło do głowy protestować). Być może Stogie'emu udało się kiedyś wywołać czyjś śmiech, ja w każdym razie nigdy tego nie słyszałem. Sądzę jednak, że obaj pełniliśmy podobne funkcje: ludzie patrząc na mnie albo słuchając go, stawali się zadowoleni z tego, że są tacy, jacy są.

Po tym, jak kilka dziewcząt zostało zaatakowanych podczas występów, Thaddeus postanowił wynająć dla nich ochroniarza. Prawdziwy wykidajło kosztował za dużo, więc zatrudnił Dużego Alvina, byłego zawodowego napastnika w lidze footballowej. (Nigdy nie dowiedziałem się, jak brzmiało jego prawdziwe nazwisko, choć jak sądzę można je znaleźć w jakichś kronikach sportowych). Duży Alvin był bardzo łagodnym człowiekiem — rzucił football, ponieważ nie lubił robić krzywdy zawodnikom z drużyny przeciwnej — ale przypominał Hulka, toteż na jego widok żaden zawodniak nie awanturował się wystarczająco długo, by sprawdzić, czy rzeczywiście jest w stanie go wyrzucić. Cyrkowi mądrale twierdzili, że nawet nie kiwnie palcem, by kogoś uratować, ale na szczęście nigdy nie doszło do takiej sytuacji, w której musielibyśmy się o tym przekonać.

Thaddeus zatrudnił również Joannie Pym, gwiazdę strip-tease'u z czasów największej popularności burleski. Miała pracować jako opiekunka naszych dziewcząt. Jej pseudonim artystyczny, z powodów, które do dziś są dla mnie niejasne, brzmiał Królowa Pszczół. Wszyscy nazywali ją Pszczółką, a jej praca, o ile się orientuję, polegała na pilnowaniu, by dziewczęta nie chodziły do łóżka z nikim innym prócz Thaddeusa. Poza tym naprawiała ich kostiumy (zważywszy na fakt, że większość z nich występowała nago, nie był to zbyt wielki

wysiłek) i pomagała im trzeźwieć, kiedy tego potrzebowały, to znaczy prawie każdego wieczoru.

Thaddeus zawsze chciał pokazywać dziwolągi. Jonas Stark uważał, że jest w nich coś perwersyjnego i wynaturzonego, więc kiedy Thaddeus przejął cyrk, musiał zaczynać od zera. Jedynym prawdziwym dziwolągiem, jakiego w ogóle znalazł, był Merrymax, autentyczny hermafrodyta. A poza tym, choć bardzo się starał, nigdy nie udało mu się znaleźć drugiego, co było jednym z powodów, dla których tak bardzo zdenerwował go Wędrowny Gabinet Osobliwości Ahasuerusa. Przez kilka wieczorów usiłował pokazywać mnie, ale na nikim nie wywarłem większego wrażenia. Zatrudnił też faceta nazwiskiem Bill Koonce, który miał siedem stóp i dziesięć cali wzrostu, i któremu raz zaproponowano próbę u New York Knicks. Nazwał go Wielkoludem i kupił mu nawet buty na grubej podeszwie, ale po tygodniu Wielkolud, tak jak wszyscy, ustawiał namioty i stoiska na głównym placu. Jedyną osobą oprócz Merrymaxa, występującą w Gabinetecie, była Mała Lulu, czterdziestodwucalowa karlica, której prawdziwe nazwisko brzmiało Lulu Toole. Myślę, że Thaddeus trzymał ją dla mnie, ale do niczego nigdy nie doszło: ja uważałem ją za rozczulająco nieatrakcyjną, a ona wpadała w szal, daremnie usiłując zrozumieć moje słowa. Ostatnią osobliwością był Hunkie, nasz przygłup. Jego nazwiska też nie znam — prawdę powiedziawszy przed nim mieliśmy czterech innych przygłupów — ale krążyły pogłoski, że zanim rozwinął w sobie upodobanie do wączania koki i odgryzania łbów kurczętom, był dziennikarzem.

Kiedy Thaddeus pojął wreszcie, że nie jest w stanie zgromadzić „prawdziwych” dziwolągów, zaczął wynajmować podrabianych. Może dlatego, że jego samego fascynowało to, co niespotykane i dziwaczne, był absolutnie przekonany, że na wystawach dziwolągów robi się ogromne pieniądze i stale próbował — bez powodzenia — skompletować przyzwoity gabinet osobliwości.

W każdym razie dzięki Cwaniakowi jakoś wiązaliśmy koniec z końcem, występy stripteaserek również dawały niewielki dochód, a potem gdzieś po drodze Thaddeus znalazł Dancera Billybucka. Rzadko spotyka się tak uprzejmych i spokojnych ludzi jak Dancer — zawsze wstaje, kiedy do pokoju wchodzi kobieta, zawsze unosi kapelusz i nawet mówi do stripteaserek „madam” swoim śpiewnym, teksaskim akcentem, nie pije i nie pali — ale jak już wspominałem, jest trochę szalony. Krążyła o nim nawet pogłoska, że wygrał pojedynek rewolwerowy ze słynnym argentyńskim bandytą. Podobno wyna-

jęli ogromne boisko do piłki nożnej w Buenos Aires i sprzedawali bilety. Nie wiem, czy tak rzeczywiście było, ale nie znam powodu, dla którego ta opowieść nie miałaby być prawdziwa. W każdym razie Dancer jest artystą wzbudzającym wielkie emocje: świetnie strzela — Thaddeus kazał mi być jego asystentem przez miesiąc, więc mogę coś o tym powiedzieć — a poza tym jest tak przystojny, że wiele kobiet płaci, by móc go oglądać, podczas gdy ich mężowie i narzeczeni, idą na pokaz strip-tease'u. Jest smutnym człowiekiem, zawsze sprawiającym wrażenie, że wolałby się znaleźć w jakimś innym miejscu, a może w jakimś innym czasie. I wiem jedno: to jedyny mężczyzna z całej trupy, z którym Thaddeus nigdy nie wdał się w bójkę.

No i jest jeszcze Jupiter Monk. Kiedy Dancer zaczął przyciągać tłumy, Thaddeus stwierdził, że potrzebujemy dodatkowej atrakcji. Nie wiem, gdzie się o nim dowiedział, ale posłał po niego i któregoś dnia na naszym progu stanął Monk — ogromny, zwalisty mężczyzna, z wąsami w kształcie kierownicy rowerowej, ubrany jak jakiś rosyjski kozak, a na dodatek w towarzystwie niedźwiedzia, lwa i dwóch lampartów. Raczej się zna na swoim fachu, ale moim zdaniem powinien zajmować się gramami: jest jedyną osobą, z którą Cwaniak nigdy nie wygrał w karty albo kości. (A może Cwaniak przegrywa celowo: ja na pewno nie chciałbym zadrzeć z pogromcą lwów).

Przez jakiś czas mieliśmy też połykacza noży. Przedstawiał się jako Carlos Wspaniały, choć jego prawdziwe nazwisko brzmiało Julian Levy, i przyciągał całkiem spore tłumy, dopóki któregoś dnia nie upił się i omalże nie wypatroszył samego siebie.

Jakiś rok temu Thaddeus stwierdził, że Alma nie wkłada serca w swoją pracę (minęło dużo czasu, zanim to zauważył), więc odesłał ją do szkoły dla stripteaserek — naprawdę jest taka, gdzieś w Kalifornii — i zatrudnił Głorię Stunkel, piękną młodą dziewczynę, która tańczy pod pseudonimem Boski Motyl. W dniu, w którym się pojawiła, umieścił ją na głównym miejscu na afiszu, z czego, jak mi się wydaje, Alma była nawet zadowolona, ponieważ gwiazda musi być bardziej wyuzdana niż pozostałe dziewczęta. Jednak Gloria okazała się podwójną osobliwością w pokazie stripteaserskim: nie chciała się za bardzo rozbierać i nie chciała chodzić do łóżka z Thaddeusem. Klientom się nie spodobała, ponieważ nie płacili za strip-tease artystyczny, ale Thaddeus dalej ją trzymał, może dlatego, że go bawiła, a może stanowiła dla niego wyzwanie. Nic jestem pewien, który z tych dwóch motywów miał decydujące znaczenie.

Stanowiliśmy dziwną zbieraninę, to prawda, ale żyło nam się razem całkiem nieźle, szczególnie kiedy w pobliżu nie było Thaddeusa. Nie mogę powiedzieć, że bym czuł się w cyrku wybitnie dobrze, ale wiem, że gdzie indziej byłbym znacznie bardziej nieszczęśliwy. Wprawdzie Thaddeus traktował mnie jak śmiecia — ale traktował mnie jak normalnego śmiecia, jak kogoś, kto z powodu wady wymowy wygląda na niezbyt rożgarniętego, lecz tym nie było się co przejmować. I choć nie liczył się za bardzo z moimi uczuciami, to przecież tak samo zachowywał się również w stosunku do innych. Przez całe życie litowano się nade mną, więc nie wyobrażacie sobie, ile dla mnie znaczyło takie normalne traktowanie.

Następnego ranka po naszej wizycie w cyrku Ahasuerusa, siedziałem przy drewnianym stole, ustawionym obok jednego ze straganów. Starłem się właśnie rozgrzać gorącą kawą, kiedy usiadły naprzeciwko mnie Pszczółka i Alma. Alma jak zwykle zachowała pewien dystans, ale Pszczółka nachyliła się tak blisko, że nasze twarze dzieliło jakieś dziesięć cali.

— Słyszałam, że byłeś z nim tam wczoraj — powiedziała.

— Zgadza się — odparłem.

— Żeby obejrzeć ten pokaz dziwolągów, o którym wszyscy opowiadają? Skinąłem głową.

Wyciągnęła z kieszeni płaszcza butelkę whisky i upiła z niej łyk, a potem podała butelkę Almie.

— Nie, dziękuję — odparła Alma, nie patrząc na żadne z nas.

— No dalej, złotko, to cię rozgrzeje — powiedziała Pszczółka, obejmując Almę. Alma tylko potrząsnęła głową i odsunęła się, a ja widziałem, że Pszczółce to się nie spodobało tak samo, jak Almie obejmujące ją kobiece ramię.

— I dobre to jest? — spytała Pszczółka.

Potrzebowałem dłuższej chwili, żeby zrozumieć, że ona mówi do mnie.

— Czy co jest dobre? — spytałem.

— Pokaz dziwolągów, ty durna mała ropucho! — warknęła Pszczółka. —

O czym do diabła gadamy?

— Dobry — odparłem.

— Tak dobry jak mówią?

— Tak.

— Jasna dupa! — powiedziała. — On na tym położy łapy, co?

Odgarnąłem liście, które sfrunęły na blat stołu obok mojego kubka z kawą.

— Oni chyba nie są na sprzedaż — zauważyłem.

— Kto tu coś mówił o kupowaniu? Poznałeś się już chyba na nim do tej pory. I tak znajdzie sposób, żeby go przejąć, a potem my wszyscy wylądujemy na bruku.

— Tego na pewno nie zrobi, Pszczółko — powiedziałem.

— Bo ty myślisz, że on cię lubi! — parsknęła Pszczółka. — Ta głupia suka — wskazała Almę — myśli, że on ją kocha. A ja wam powiem: on nikogo nie lubi ani nie kocha. On was oboje wykorzystuje, tak jak wszystkich tutaj.

Słyszając to Alma drgnęła nieznacznie.

— To nieprawda — oświadczyłem. — Jestem pewien, że on kocha Almę. — Nie tylko wcale tego nie byłem pewien, ale trudno mi było mówić kojącym i pewnym głosem przy prędkości sześciu słów na minutę. Nie mniej jednak próbowałem.

— Och, zamknij się, Tojo! — krzyknęła Alma, nadal na mnie nie patrząc.

Zaprzagnąłem wyciągnąć rękę, dotknąć jej dłoni i w ogóle jakoś ją pocieszyć, ale nie wiedziałem, co zrobić, więc siedziałem w milczeniu.

— Jeśli się kogoś kocha, to się go nie traktuje tak jak on Almę — powiedziała Pszczółka. Wyrazem twarzy dawała do zrozumienia, że ona wie, jak się traktuje kogoś, kogo się kocha.

— Nawet, jeśli to prawda — wykrztusiłem wreszcie — nawet gdyby wszystkich zwolnił, nic byłoby to takie straszne, prawda, Almo? W końcu od dawna chcesz stąd odejść.

Spojrzała wreszcie na mnie.

— Mam dwadzieścia dziewięć lat — powiedziała z goryczą w głosie — i wszystko, co umiem, to wychodzić nago na scenę i pozwalać się obmacywać obcym facetom.

— Myślałem, że chcesz być aktorką — powiedziałem. Wiedziałem, że to głupie, co mówię, ale nie potrafiłem wymyślić nic innego.

— Myślisz, że ktoś wyłoży milion dolarów tylko po to, żebym ja mogła zagrać Blanche Du Bois na Broadwayu? — powiedziała i zaśmiała się z pogardą dla samej siebie. — Spójrz, kim jestem, Tojo. Kto by mnie wziął?

— Już dobrze, dobrze, złotko — uspokajała ją Pszczółka, obejmując ją znowu i tym razem Alma nie odsunęła się. — Widzisz, co zrobiłeś? — powiedziała, patrząc na mnie. — Ona znowu płacze.

— Naprawdę nie chciałem.

— To przez niego — oświadczyła Pszczółka, przyjmując moje przeprosiny.
— Tak już długo się z nim włączymy, że potem zachowujemy się zupełnie jak on.

Moim zdaniem nic zachowywałem się jak Thaddeus, ale nie zaprotestowałem.

— Powiesz nam, jak idą sprawy z tym pokazem dziwolągów — powiedziała Pszczółka, wstając i pomagając Almie się podnieść. — Informuj nas, jaka jest sytuacja, okay?

Skinąłem głową.

Alma uszła kilka jardów razem z Pszczółką, po czym obróciła się i spojrzała na mnie oczyma pełnymi łez.

— Dlaczego tu jeszcze jesteś, Tojo? — spytała płaczącym głosem. — Dlaczego pozwalamy, żeby robił z nami takie rzeczy?

— Nie wiem — powiedziałem.

To było kłamstwo. Wystarczyło się rozejrzeć, żeby wiedzieć, dlaczego: Dancer, który urodził się o całe stulecie za późno, Monk, który kochał zwierzęta bardziej niż kobiety, Cwaniak, który nie potrafił zagrać o nic uczciwie, tak jakby od tego zależało jego życie, dziewczęta, które udawały, że są tancerkami i artystkami, Stogie, któremu wciąż się wydawało, że jest w wodewilu, ja, Pszczółka, my wszyscy.

Wszyscy byliśmy dziwolągami. Niczym dezertrzy ukrywający się w samym środku pola bitwy, szukaliśmy kryjówek w światłach reflektorów. Świat osłania się przed nami swym zimnym ramieniem, a my tulimy się do siebie w poszukiwaniu ciepła.

ROZDZIAŁ 3

Było południe, kiedy wystawił głowę przez okienko przyczepy, żeby mnie zawołać. Zaświeciło słońce i choć powietrze było nadal mroźne, zrobiło się znacznie cieplej, niż kilka godzin wcześniej, gdy rozmawiałem z Almą i Pszczółką.

— Idę! — mruknąłem, wstając od ogrodowego stolika i pocłapałem do przyczepy. Kiedy się gramoliłem po stopniach, jak zwykle się poślizgnąłem i otarłem sobie wewnątrz lewej dłoni.

Zupełnie nagi Thaddeus siedział na brzegu łóżka, z głową wspartą na dłoniach, i starał się uchylić przed oślepiającym go światłem. Obok niego leżała pogrążona w głębokim śnie, równie naga, nieznana mi młoda dziewczyna.

— Kawy! — wychrypiał.

Poszedłem do kuchni, nastawiłem czajnik i wróciłem do sypialni. Thaddeus siedział bez ruchu przez kolejną minutę, po czym zaczął powoli zakładać szorty.

— Ona jest strasznie młoda — zauważyłem.

Spojrzał na dziewczynę.

— Ma ochotę pokazywać tyłek na scenie — powiedział ze śmiechem. — Nigdy się nie dowie, jakie miała szczęście, że nie najmuję wszystkich, które przelecę. Cholera, jeśli ona ma więcej niż siedemnaście, to ja jestem Mona Lisa. Zdaje się, że rodzice powinni jej bardziej pilnować. — Urwał i westchnął. — Włóż jej dwadzieścia dolców do torebki i wyprowadź ją stąd.

— Czy w ogóle ci przyszło do głowy, że to ją może upokorzyć? — spytałem.

— Naprawdę tak myślisz? — Wyglądał na zdziwionego.

— Naprawdę.

— A jak inaczej podziękować smarkuli w jej wieku? Kupić jej lalkę? — Znowu na nią spojrzał, potem wzruszył ramionami i obdarzył mnie szyderczym uśmiechem. — Ustępuję z szacunkiem przed twoim doświadczeniem z kobietami. Zatrzymaj pieniądze dla siebie, ale wyprowadź ją stąd.

— Za chwilę — powiedziałem. — Widziałem tam Almę.

— I co z tego? — spytał złowróżbnym tonem.

— No, po prostu uważam, że powinieneś poczekać, aż sobie stąd pójdzie, zanim...

— Od kiedy to interesujesz się tym, co jest między mną i Alną? — wybuchnął. — Jej nigdy nic przeszkadzało, że ludzie widzą, jak ona wychodzi ode mnie. Wie, że nie sypiam sam.

— Ale ta dziewczyna jest miejscowa. Nie należy do nas.

— To problem Alny, nie mój.

— Ale nie powinieneś tak ostentacyjnie...

— Zdaje się, że prosiłem o kawę — przerwał mi. — Nie pamiętam, bym prosił o kazanie.

Westchnąłem, wróciłem do kuchni i zająłem się zmywaniem brudnych naczyń, które znalazłem w zlewie. Kiedy kawa była gotowa, nalałem ją do dużego kubka — czarną, bez cukru — i zaniósłem do sypialni. Już ubrany Thaddeus wyrwał mi kubek z rąk, wypił kawę jednym haustem i wręczył mi puste naczynie.

— Jeszcze — rozkazał.

Nalałem znowu, a kiedy wróciłem, stał obok łóżka i przypatrywał się dziewczynie. Pochylił się i delikatnie szturchnął ją w ramię.

— No dalej, mała, wstawaj i zabieraj się stąd.

Ziewnęła, przeciągnęła się i trąc oczy usiadła. Zobaczywszy mnie, pisnęła i zakryła kołdrą swoje drobne piersi.

— Co to jest, do diabła? — krzyknęła.

— Mój manager — wyjaśnił Thaddeus, odbierając kubek z moich rąk i znowu go opróżniając do dna. — On cię odprowadzi do domu.

— A pewnie! — powiedziała, tuląc się do ściany przyczepy. — Ty! — wrzasnęła na mnie. — Tak, ty! Odwróć się, kiedy będę się ubierała i nie waż się do mnie zbliżyć!

Wzruszyłem ramionami i powędrowałem z powrotem do kuchni.

— Ależ my jesteśmy partnerami, kotku — usłyszałem głos Thaddeusa. — Dzielimy ze sobą wszystko, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

— Jeśli ten mały potwór dotknie mnie choć palcem, mój ojciec i bracia będą tu tak szybko, że nawet nie zdążysz się obrócić.

Usłyszałem szuranie, potem trzasnęły drzwi i Thaddeus powiedział, że mogę wrócić do sypialni.

— Ile razy cię prosiłem, żebyś mnie nie narażał na takie przykrości? — spytałem.

— To jest, o ile mi wiadomo, najlepszy sposób, żeby się ich pozbyć — odparł z bladym uśmiechem. — Poza tym, kto wie, może któregoś dnia jednej

z nich spodoba się ten pomysł. — Wyjrzał przez okno i zmrużył oczy. — Ładny dzień. Która godzina?

— Dochodzi wpół do pierwszej — powiedziałem.

— Czy coś zarobiliśmy ubiegłego wieczoru?

— Diggs mówi, że niewiele.

— Tak się spodziewałem. A skoro już mowa o naszym przyjacielu Cwaniaku, to może byś tak go poszukał i sprowadził tutaj? — powiedział Thaddeus. — Mam dla niego drobną robotę.

— Czy to ma coś wspólnego z dziwolągami? — spytałem podejrzliwie.

— Strasznie z ciebie wścibski karzeł, co? — uśmiechnął się szeroko. — Ale prawda, rzeczywiście chodzi mi o nich.

— Chyba nie myślisz, że uda ci się namówić Romany'ego albo Ahasuerusa, żeby zagra-li w karty z Diggsem?

— Nie — odparł Thaddeus. — Moim zdaniem Romany nie jest typem hazardzisty.

— To po co?

— Wolałbym, żebyś dalej czytał wiersze, a mnie pozwolił myśleć.

Poszedł do łazienki i zaczął się golić, więc ruszyłem na poszukiwanie Jasona Cwaniaka. Łatwo go było wypatrzyć w tłumie: srebrzysto siwe, ostrzyżone na jeża włosy, równo przycięta kozia bródka, eleganckie ubranie, diamenty na palcach, buty zawsze lśniące jaśniej od słońca. A ponieważ w południowych godzinach środkowych dni tygodnia na głównym placu nigdy nie ma tłoku, znalazłem go po pięciu minutach.

Stał przed namiotem z atrakcjami, starając się założyć z parą wczesnych klientów o to, czy Billybuck Dancer przestrzeli głowę króla pik z odległości pięćdziesięciu stóp. (Wiedziałem, że to potrafi: w czasie, gdy z nim pracowałem, musiałem tę kartę trzymać w zębach, ku wielkiemu rozbawieniu Thaddeusa). Cwaniak bardzo się na mnie zezłościł, kiedy przerwałem jego tyradę i naiwniacy sobie poszli. Prawdopodobnie nie namówiłby ich do postawienia więcej niż dolara, ale dla niego kwota nigdy nic była tak ważna jak sama gra. W każdym razie pomstował na mnie przez całą drogę do przyczepy.

— Chciałeś się ze mną widzieć? — spytał oczekującego nas Thaddeusa.

— Jak ci idzie w pokerze? — odparł na to Thaddeus. W przyczepie panował nieco mniejszy bałagan niż zazwyczaj, co jednak mogło dostrzec jedynie wprawne oko, a wokół starej ławy, przy której Thaddeus dawał wypłatę (w

te tygodnie, w które miał pokrycie dla listy płac), stały trzy rozkładane krzesła.

— Kazaleś temu karłowi wlec mnie tu taki kawał po to tylko, żeby mi zadać takie głupie pytanie? — irytował się Cwaniak.

— Jeśli chcesz, żebym na ciebie postawił — powiedział Thaddeus — to przynajmniej odpowiedz na moje pytanie.

— Chyba nie za bardzo rozumiem — rzekł powoli Cwaniak. — Ty chcesz na mnie postawić?

Thaddeus uśmiechnął się.

— Zgadza się.

— Gram w pokera jak zawsze.

— Będziesz grał cudzymi kartami — wyjaśnił Thaddeus.

— No i co z tego?

— Są prawdopodobnie znaczone.

— Nie ma na świecie takiej znaczonej talii, której nie potrafiłbym odczytać równie dobrze, jak jej właściciel — oświadczył Cwaniak z pewnym odcieniem dumy.

— Jesteś pewien? — spytał Thaddeus. — W danej chwili mam co najwyżej osiemset dolarów. Nie dam ci ich, jeśli masz jakieś wątpliwości.

— Spokojna głowa — odparł Cwaniak, ale zrobił się trochę bardziej poważny, a nawet spięty, a może po prostu zapalił się do tego pomysłu. — Czy ci ludzie, z którymi mam grać, potrafią cokolwiek?

— Im się tak wydaje.

— Dlaczego sądzisz, że użyją znaczonej talii?

— Wiecznie takie konfiskują — zaśmiał się Thaddeus. — To gliniarze.

— Tobie się wydaje, że pójdę na posterunek, usiądę przy stole i zmontuję towarzyską partyjkę? — spytał Cwaniak.

— Już to zorganizowałem zeszłej nocy — powiedział Thaddeus.

— Z gliniarzami? — powtórzył Cwaniak, nic dowierzając.

— Z gliniarzami.

— Jeśli wygram, zamkną cyrk i aresztują połowę dziewczyn.

— Nie zrobią tego — odparł Thaddeus. — Przede wszystkim, oni już dostali w łapę za dziewczyny. A po drugie, nie chcę od nich pieniędzy.

— Może mi to wyjaśnisz: chcesz postawić na mnie osiemset dolarów i nie chcesz ich pieniędzy. Czy jak do tej pory wszystko zrozumiałem?

— Tak.

— A czego chcesz?

— Ich weksli — odparł Thaddeus. — Zagrasz z nimi za gotówkę i gdy przegrają, będą musieli się wycofać. Zaproponuj grę na weksle i wtedy ich oskubiesz. Przegraj kilkaset na samym początku, żeby nabrali trochę pewności siebie.

— Dalej nie rozumiem. Gliniarze nie mają tyle pieniędzy, więc ile są warte ich weksle?

— Och, wymyślę jakiś sposób, żeby je mogli wykupić — oświadczył Thaddeus i w tym momencie już wiedziałem, co on zamierza zrobić. Spojrzał na mnie. — Ty pójdziesz z nim, Tojo, i przypilnujesz mojej forsy. Chcę mieć całą z powrotem, znaczy się Cwaniak dostanie setkę za swój czas.

Poszedłem z Diggsem do ciepłarni — tak nazywaliśmy ogrzewany namiot, otwarty od południa do północy, w którym członkowie trupy spędzali przerwy w pracy — i przyglądałem mu się przez trzy godziny, jak przy pustym stole trenuje do gry. Najpierw wykonał kilka ćwiczeń, żeby rozgrzać palce. Potem wyjął trzy nowe talie, ułożył przed sobą i zaczął je tasować. Robił to przez pięć minut, po czym zaczął wykladać wszystkie karty po kolei: zupełnie nie wiadomo, w jaki sposób, udało mu się ułożyć kolejne kolory we wszystkich trzech taliach.

— Żadna sztuka — zaśmiał się, kiedy zobaczył moją minę.

— One są znaczone — powiedziałem, choć nie bardzo w to wierzyłem.

Pokręcił głową i zaczął na nowo tasować karty.

— Powiedz, co chcesz dostać.

— Obojętnie co? — spytałem.

— No mów.

— Cztery asy.

Tasował jeszcze dwadzieścia sekund, potem rozdał nam obydwóm po pięć zakrytych kart. Sprawdziłem swoje: dostałem cztery asy i królową pik. Pokazałem je z okrzykiem zdumienia.

— Całkiem niezłe rozdanie — skomentował Cwaniak. — Chcesz postawić trochę forsy?

— Ja się nie zakładam.

— Szkoda — powiedział i pokazał swoje karty. Był to prosty sekwens treflowy, od siódemki do waleta.

Roześmiał się serdecznie, potem stwierdził, że niestety brak mi wykształcenia i pokazał mi jak dzielić karty i rozdawać drugie oraz środkowe. Próbowałem go naśladować, ale nie jestem taki zręczny, więc nie wyszło to naj-

lepiej. Potem pokazał, jak się rozkłada całą talię kart na wyprostowanej ręce i zasady blefowania w pokerze, a na koniec wyjął z portfela dwustronne ostrze i zademonstrował kunszt znaczenia kart na brzegach, rogach i środku samych figur.

— To fascynujące — stwierdziłem, gdy skończył. — Ale czy ty nigdy nie grasz uczciwie?

— Ugryź się w język, chłopcze — powiedział, unosząc wysoko brwi. — Gdyby stary Phineas T. usłyszał coś takiego, to zaczęłby się przewracać w grobie i już nigdy by nie prze-stał.

— Ale sadzanie cię do gry przeciwko normalnemu człowiekowi przypomina zabieranie cukierka dziecku.

— Tożo — powiedział — gdyby Bóg nie chciał, by strzyżono owce, nie uczyniłby ich owcami. Nie masz nic przeciwko szachrajstwom w naszym salonie gier, prawda?

— Ale tam gra się tylko za ćwiartki — powiedziałem. — Dzisiaj wieczorem będziesz grał o duże pieniądze.

— Chcesz powiedzieć, że można oszukiwać za centy, ale nie za dolary?

Pojąłem, że istotnie powiedziałem coś takiego, więc umilkłem i zastanawiałem się nad tym przez chwilę. Był kiedyś taki czas, kiedy uważałem, że oszukiwanie jest niemoralne, a teraz trudno mi było filozoficznie wytłumaczyć, dlaczego nie należy oszukiwać zarówno za wysokie stawki jak i za niskie. Wydaje mi się, że taki robi się człowiek, jeśli za długo przestaje z Thaddeusem.

Wyszliśmy z terenu cyrku o zmierzchu i dotarliśmy do posterunku, kiedy już było ciemno. Czekali na nas w pustej celi, w której ustawili stół i krzesła.

Diggs grał z nimi jak Isaac Stern na skrzypcach. Wygrał pierwsze rozdanie, potem przegrał sześć pod rząd i zaczął narzekać na swojego pecha. Zrobił sobie przerwę na następną godzinę, w trakcie której jeden z gliniarzy zaczął przegrywać z pozostałymi dwoma, po czym uderzył jak kobra i ograł tamtego do sucha.

Ani razu nie zaproponował weksli, lecz po prostu pozwolił tamtemu gliniarzowi popa-trzeć jak przegrywa jeszcze trzy rozdania, a potem zaproponował, że pożycz mu trochę pieniędzy. Zaczął pić i mówić bełkotliwie, dzięki czemu rozluźnili się i przestali uważać, a potem udało mu się wygrać fulem przeciwko stritowi i dwóm kolorom. Przez to dwóch z nich splukano się do czy-sta, więc ponownie zaproponował, że pożycz im część swojej wygranej. Liczył pieniądze tak niezdarnie, że pewnie myśleli, iż wreszcie uda się im go

ograć — i rzeczywiście, każdy z nich uzbierał mały stosik banknotów, dopóki on w pokerze amerykańskim nie przebił karety trójek i fula swoją kareta dziewiątek.

Trwało to jeszcze godzinę, a potem urwał mu się film. Gra oczywiście się skończyła, a ja podliczyłem ich weksle: kwota urosła do prawie szesnastu tysięcy dolarów.

Nagle pojęli, jaki jest pełen rozmiar ich strat, a ja powiedziałem, że mają się nie martwić, bo z całą pewnością coś się da wymyślić. Połknęli to jak ryba haczyk, a ja powiedziałem, że za godzinę mają się spotkać z Thaddeusem w jego przyczepie. Potem poprosiłem, żeby pomogli mi zanieść Cwaniaka do samochodu.

Na szczęście żaden z nich nie spytał, jak mam zamiar odwieźć go do domu, bo ja przecież potrzebuję specjalnego siedzenia i kierownicy — a jak tylko sobie poszli, Diggs wyprostował się, zaśmiał się cicho i trzeźwy jak niemowlę, usiadł za kierownicą.

— Nie jest ci ich żal? — spytałem, kiedy mknęliśmy w stronę cyrku.

— Tygrys nie żyje długo, jeśli się lituje nad swoimi ofiarami, chłopcze — powiedział, nie przestając się uśmiechać. — A poza tym — dodał — czy sądzisz, że im byłoby mnie żal, gdybym się rzeczywiście upił i to oni by mnie ograli?

— Z dwóch złych rzeczy nie wynika jedna dobra — zauważyłem.

— Prawda — zgodził się. — Dlatego zło trzeba czynić umiejętnie, aby nikt ci się potem nie odplacił.

— Czy zdarza ci się przegrywać?

— Tylko z naszym wspaniałym pogromcą lwów.

— Dlaczego z nim?

— To cierpliwy człowiek — wyjaśnił Diggs. — Praca z drapieżnymi kotami wymaga wiele cierpliwości i to się potem przenosi na inne nawyki. Zawsze pracował z niebezpiecznymi zwierzętami, a ja z talią kart jestem dokładnie czymś takim, chłopcze: niebezpiecznym zwierzęciem. On mnie obserwuje, bada, nigdy nie wykona ruchu, dopóki nie jest gotowy.

— Ale ty masz więcej wprawy niż on.

— Czasami to nie wystarcza. Te koty są silniejsze od niego, a jednak on z nimi wygrywa, czy nie tak?

— Nigdy nie widziałem, żebyś grał z Thaddeusem — powiedziałem. — Czy potrafiłbyś go pokonać?

— Thaddeus nigdy by mnie nie ograł — rzekł Digger. — Gdyby przypadkiem to umknęło twojej uwagi, Thaddeus nigdy nie wdaje się w historie, w których nie mógłby wygrać. — Urwał. — Bardzo by mu się przydało, gdyby któregoś dnia ktoś wpuścił go w maliny. Trochę by spokorniał. — Umilkł znowu, po czym pokręcił głową. — Choć raczej to mało prawdopodobne, co?

Pomyślałem o tym, co nas czeka i zgodziłem się, że to mało prawdopodobne.

ROZDZIAŁ 4

Ranek był chłodny i wietrzny, padał drobny śnieg. Nocą z drzew spadała większość liści i wirowały teraz tuż nad ziemią, tworząc złotawo-czerwone wzory w słońcu wczesnego poranka.

Poprzedniego wieczora Thaddeus spotkał się na osobności z gliniarzami. Jak tylko wyszli z jego przyczepy, wydał rozkaz, by zdemontować namioty, estradę, na której występowały dziewczęta i załadować wszystko na ciężarówki. Pomyślałem, że może naraził się gliniarzom i oni wygonili go z miasteczka, ale zadzwonił w kilka miejsc i sprzedał wszystkie urządzenia rozrywkowe, nawet Diabelskie Koło. Wtedy już wiedziałem, że ma to, czego chciał, w przeciwnym razie nigdy by nie zostawił urządzeń. Dzięki temu, że się ich pozbyliśmy, podróżowało nam się znacznie łatwiej — a ja odnosiłem wrażenie, że niezależnie od tego, jaką umowę zawarł Thaddeus, mobilność miała się stać istotnym elementem naszej najbliższej przyszłości.

Wyjechaliśmy o świcie i oddaliliśmy się od miasteczka o jakieś dziesięć mil. Nie miałem wątpliwości, że jedziemy do uprzednio wyznaczonego miejsca spotkania, ponieważ Thaddeus stale zerkał na mapkę, wyrysowaną na papierowym ręczniku. W końcu skręciliśmy w drogę biegnącą obok opuszczonej farmy i podjechaliśmy do niemalowanej stodoły. Thaddeus wysiadł, powiedział Jupiterowi, żeby przyprowadził swój wóz — przerobiony autobus Greyhounda, z wbudowanymi dwudziestoma czterema klatkami. Następnie kazał Cwaniakowi zawrócić i poprowadzić pozostałe pojazdy do odległego o pięć mil miejsca przy drodze.

Potem wsiadł z powrotem do przyczepy i czekał. Bez przerwy obserwowałem drogę, a Monk zajmował się swoimi zwierzętami. Minęło pięć minut, potem dziesięć, lecz nikt się nie pojawiał.

— Jesteś pewien, że przyjadą? — spytałem w końcu.

Skinął głową.

— Na pewno przyjadą. Mogą mieć trochę kłopotów z Romanym i Ahasuerusem, ale w końcu tu będą. — Spojrzał na zegarek, westchnął i rozparł się wygodnie.

Po kolejnych dwudziestu minutach na drodze pojawiły się dwie furgonetki policyjne. Podjechały, zatrzymały się obok i wysiedli z nich ci trzej gliniarze, z którymi graliśmy w karty. Thaddeus podszedł, by się z nimi przywitać.

— Wszystko załatwione? — spytał uprzejmie, zapinając zamek w swojej skórzanej kurtce i stawiając kołnierz do góry.

— Tak jest, panie Flint — odparł jeden z gliniarzy. Zdaje się, że miał na imię Joe, w każdym razie tak go będę nazywać.

— Czy Romany sprawił wam jakieś kłopoty?

— Trochę — odparł Joe ze śmiechem.

Thaddeus urwał, by odprowadzić wzrokiem stado gęsi lecących na południe.

— A co z Ahasuerusem? — spytał w końcu.

— Facet w ogóle się nie pokazał.

Thaddeus wyglądał na zdziwionego.

— Nawet kiedy aresztowaliście Romany'ego?

— Zgadza się, panie Flint.

— Czy powiadomiliście Romany'ego, że mam zamiar zabrać wszystkie dziwolągi, o ile Ahasuerus nie zechce się ze mną dogadać?

— Jak najbardziej — zapewnił go Joe.

— Jak długo możecie go trzymać?

— Cóż, to dość dziwna sprawa, panie Flint — odparł Joe. — Gdyby mnie pan spytał o to dwie godziny temu, powiedziałbym, że możemy go trzymać pół dnia, zanim go ktoś wyciągnie. Pan miałby dzięki temu dość czasu, żeby stąd odjechać i to cholernie daleko. Ale kiedy mu zaproponowaliśmy, żeby zadzwonił do swojego adwokata, on odmówił.

— Co z tego wynika? — spytał ostro Thaddeus.

— To znaczy, że będzie siedział siedemdziesiąt dwie albo dziewięćdziesiąt sześć godzin, w zależności od tego, kiedy jego sprawa zostanie zbadana.

— I co wtedy?

— Cóż, tak właściwie to nic na niego nie mamy: tylko zarzut, że ma licencję nie w porządku i może coś na metody, jakimi traktował swoje dziwolągi. — Joe urwał i zerknął ukradkiem na dwie furgonetki. — Czy pan się dobrze przyjrzał tym stworom, panie Flint? Takie pokazy jak wasze już widywałem, ale nigdy nie widziałem nic podobnego do nich. Powiadam panu, oni są potworni!

— Wracając do Romany'ego — powiedział Thaddeus — czy jesteście pewni, że możecie go trzymać przez trzy dni?

— Co najmniej — odparł Joe. — Kto wie? Może nawet przeciągniemy to do tygodnia, jeśli będzie taki głupi i dalej nic będzie żądał adwokata.

— Okay — powiedział Thaddeus, wyciągając trzy weksle i wręczając je gliniarzom. — Wy zrobiliście swoją część, ja robię swoją.

— Dziękuję, panie Flint — odparł Joe, sprawdzając swój weksel i drąc go na kawałki. Pozostali gliniarze zrobili to samo. — A teraz pozostała część naszej umowy.

— Racja — powiedział Thaddeus, wyciągając najgrubszy zwitek banknotów studolarowych, jaki kiedykolwiek widziałem w życiu. — Po tysiącu od łebka, zgadza się?

— Taka była umowa — skinął głową jeden z gliniarzy, pożądliwie wpatrując się w banknoty.

— Czyje to pieniądze? — wtrąciłem się.

— Moje — rzekł Thaddeus. — A niby czyje mają być?

— Przecież mówiłeś, że masz tylko osiemset dolarów! — krzyknąłem.

— Okłamałem cię — odparł, wyraźnie rozbawiony. — Nie po raz pierwszy w życiu i chyba masz podstawy podejrzewać, że nie po raz ostatni.

— I chcesz za nie kupić dziwolągi? — dopytywałem się.

— Słuchaj, krótki — wtrącił się Joe — nikt tu niczego nie kupuje. Romany siedzi w areszcie, Ahasuerus zwinął manatki i nikt w całym jego cyrku nie wie, co się z nim dzieje. Te biedne stworzenia umarłyby z głodu, gdyby tam zostały. Robimy im przysługę.

Tak się zdenerwowałem, że nie potrafiłem wykrztusić z siebie ani słowa.

— Uspokój się, krasnalu — wtrącił się inny gliniarz. — W takim miasteczku jak nasze banda dziwolągów na nic się nie przyda. Zupełnie co innego oglądać je w cyrku, a co innego utrzymywać je, kiedy pokaz się skończy. Pan Flint był taki hojny, że zgodził się zabrać ich z sobą. Zarabia niewiele pieniędzy.

dzy, więc jest z tego zadowolony, my dostaniemy opłatę za swoje usługi i nie dopuścimy, by stali się pensjonariuszami utrzymywanymi z funduszy naszego stanu, więc też jesteśmy zadowoleni, a oni dostaną taką opiekę, jakiej potrzebują i dostaną taką pracę, do jakiej się nadają, więc będą najbardziej zadowoleni ze wszystkich.

— Jak by na to nie patrzeć, wszystko ułożyło się szczęśliwie zauważył Joe, uśmiechając się do mnie szeroko. — Zdaje się, że wszyscy są zadowoleni z wyjątkiem ciebie.

— Co tam, on też będzie niedługo zadowolony — powiedział Thaddeus. — Potrzebuje tylko trochę czasu, żeby się przyzwyczaić do moich nowych pomysłów. — Poklepał mnie przyjaźnie po ramieniu, wystarczająco jednak mocno, bym zrozumiał ostrzeżenie. — Czy możecie mi ich już dać?

— Mhm... nie znoszę rozmawiać o jakichś głupich sprawach finansowych — powie-dział Joe — ale jest pewien problem związany z tymi dwunastoma tysiącami dolarów, panie Flint.

— Naliczyłem ich tylko jedenastu, kiedy tam byłem — rzekł Thaddeus. — Nie chcecie mnie chyba obciążać za Tojo, prawda?

— Nie, panie Flint. Dave, podaj mi listę. — Gliniarz imieniem Dave po-grzebał w kieszeni i wyciągnął zmięty świstek papieru. — Cóż, zobaczmy, co my tu mamy — powiedział Joe, wpatrując się zmrużonymi oczami w kartkę. — Wielobarwny Człowiek, Cyklop, Chłopiec o Psim Pysku, Kobieta o Trzech Piersiach. To czterech. Człowiek Guma i Ludzki Jaszczur. To sześciu. Podu-szczka do Igieł, Brakujące Ogniwo i Kobieta Słoń. To dziewięć. Niebieski Człowiek, Rogaty Demon i Sfinks. To równy tuzin.

— Niebieski Człowiek? — powtórzył Thaddeus. — Nie pamiętam żadne-go Niebieskiego Człowieka.

— Nie pamięta pan? — zaśmiał się Joe. — Cholera, on jest najdziwacz-niejszy z nich wszystkich.

— Na pewno nie policzyłeś dwa razy Wielobarwnego Człowieka? — spy-tał ostro Thaddeus.

Joe wzruszył ramionami.

— Niech pan sam popatrzy, jeśli mi pan nie wierzy.

— Tojo — powiedział Thaddeus — zajrzyj do środka i sprawdź, czy jest tam jakiś Niebieski Człowiek.

Podszedłem do pierwszej furgonetki. Byłem za mały, żeby zajrzeć przez okno, więc otworzyłem drzwi, a Dave stanął tymczasem obok mnie, gładząc swój pistolet.

Dziwołagów było sześć: Chłopiec o Psim Pysku, Człowiek Guma, Brakujące Ogniwko, Cyklop i dwie kobiety. Zamknąłem szybko drzwi i podszedłem do drugiej furgonetki. W środku było ciemno, ale bez trudu zobaczyłem Wielobarwnego Człowieka: w chwili, gdy owiało go chłodne powietrze, zaczął zmieniać barwę z jasnoczerwonej na zimny, jasny błękit. Czterech innych też rozpoznałem, a potem dostrzegłem ruch za siedzeniem kierowcy. Było tam coś niebieskawego, co wydawało te same odgłosy, jak tamto chrząkanie i powarkiwanie, które słyszałem przez zamknięte drzwi w gabinecie Ahasuerusa. Potem przelotnie dostrzegłem jakieś szatańskie oblicze, jeszcze bardziej złe i odrażające niż twarz Rogatego Demona, więc natychmiast zatrzasnąłem drzwi.

— On tam jest — powiedziałem i szybko poczłapałem w stronę Thaddeusa.

Thaddeus zaczął odwijać banknoty, a Joe pochylił się nad nim i pomagał liczyć.

— Nadal jestem zdziwiony, że Ahasuerus jeszcze nie wykonał żadnego ruchu — stwierdził Thaddeus.

— Jeśli go wykona, to my już będziemy wiedzieli, co z nim zrobić — zapewnił go Joe. — Ciekaw jestem, jakim cudem ci ludzie tak długo utrzymali się w interesie. Poprzedniego wieczoru odwiedziłem ich cyrk i kiedy powiedziałem, że niektóre ich gry wyglądają na hazardowe, wie pan, co on zrobił?

— Co?

— Zamknął je! — zaśmiał się Joe.

— On po prostu nie rozumie roli funkcjonariuszy prawa w społeczeństwie wolnorynkowym — powiedział Thaddeus. Śmiał się razem z Joem, ale widziałem, że jest zaniepokojony i wiedziałem, o czym myśli: co to za manager cyrku, który nie wie, że trzeba posmarować kilka dłoni, kiedy słyszy takie zarzuty?

Z wnętrza stodoły dobiegły nas odgłosy jakiegoś poruszenia i wszyscy trzej gliniarze drgnęli nerwowo.

— To pewnie kot upolował mysz — powiedział Thaddeus. — W każdym razie uważam, że musimy już ruszać. Toż, każ Jupiterowi podjechać autobusem do furgonetek.

Pokazywałem Monkowi, jak ma manewrować ogromnym autobusem, po czym pomogłem mu otworzyć klatki. Potem wszyscy trzej policjanci stanęli na straży, a my zaczęliśmy kolejno przeprowadzać dziwołagi. Kobieta Słoń,

której ogromna, przypominająca arbuza, głowa lekko się kołysała, omal nie straciła równowagi i gdyby Monk jej nie podtrzymał, pewnie by upadła, ale poza tym nie mieliśmy problemów z pasażerami pierwszej furgonetki.

Kiedy otworzyliśmy drugą furgonetkę, Wielobarwny Człowiek zrobił się jasnozielony. Potulnie wszedł do autobusu, a za nim następnii trzej. Sfinks wyraźnie nie miał ochoty się ruszyć, ale gdy Niebieski Człowiek dotknął lekko jego ramienia (kłębu?), szybko przeskoczył z furgonetki do autobusu i wszedł prosto do klatki, przy której stał Monk.

Następny w kolejności był Niebieski Człowiek. Kiedy wysiadł z furgonetki, mogłem mu się przyjrzeć po raz pierwszy i zupełnie się przeraziłem. Wyprostowany miał pewnie siedem stóp wzrostu i był najchudszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałem. Miał bardziej skośne oczy niż Azjaci, a jego źrenice były pomarańczowe. Nie miał wcale nosa, nozdrza zastępowały dwie duże szczeliny. Jego usta małe i delikatne sprawiały wrażenie, że nigdy się nie uśmiechają. Był zupełnie łysy, nie dostrzegłem włosów nawet tam, gdzie powinny być brwi.

Stawy jego rąk i palców znajdowały się w tak dziwnych miejscach, że wyglądał jak człowiek pośpiesznie narysowany przez dziecko. Wyprostował się i spojrzał prosto na mnie. Cofnąłem się o kilka kroków, tak że stanąłem między Thaddeusem i Joem. Wtedy popatrzył kolejno na Thaddeusa i wszystkich trzech policjantów oczyma, które zdawały się jarzyć we wnętrzu jego łysej i kanciastej głowy. Potem powoli wszedł po stopniach do autobusu. Nawet Jupiter, który codziennie ryzykował życiem podczas obcowania ze zwierzętami, cofnął się, gdy Niebieski Człowiek wchodził do wyznaczonej mu klatki i zatrząskiwiał za sobą drzwi.

— Wszystko gotowe? — spytał Thaddeus i widziałem, że on też jest wstrząśnięty widokiem Niebieskiego Człowieka.

— Oni zdenerwowali moje koty — poskarżył się Monk.

I rzeczywiście dwa lamparty zaczęły syczeć i prychać na Sfinksa. Lwu, który znajdował się tuż obok klatki Niebieskiego Człowieka, zwilgotniał nos, i z odwróconym łbem stał i trząść się ze strachu.

— Nic im nie będzie — odparł szybko Thaddeus. — Jedź za mną w stronę karawany, a potem wprowadź autobus między inne wozy. Gdybyśmy się zatrzymali z jakiegoś powodu, nie chcę, żeby ktoś tam zaglądał.

— Może powinieneś kazać Dancerowi, żeby wyciągnął strzelbę — mruknął Monk, zamykając autobus i sadowiąc się za kierownicą.

— Ty pojedziesz z Jupiterem, Tojo — rozkazał Thaddeus.

— Ja nie chcę — zaprotestowałem.

— Dlaczego?

— Nie chcę jechać z nim.

Wiedział o czym mówię, lecz mimo to powiedział:

— On jest bezpiecznie zamknięty w klatce.

— Nic mnie to nie obchodzi — powiedziałem.

— No to lepiej, żeby cię zaczęło obchodzić, ty głupi karle o zajęczym sercu.

— O czym ty mówisz?

— Bo od tej chwili będziesz opiekunem swoich braci. — Wyszczerył zęby w uśmiechu, kiedy próbowałem zaprotestować. — To przecież tobie jest ich tak cholernie żal, prawda? A może się przesłyszałem?

— Pozostałych tak — powiedziałem, omijając czasowniki, żeby skuteczniej protestować. — Ale nie jego.

— Ich wszystkich — rzekł Thaddeus. Uśmiech wciąż nie znikał z jego twarzy, ale widziałem, że nie żartuje.

— Proszę! — błagałem. — Nie każ mi tego robić!

— Nie mogę cię zmuszać do niczego — powiedział. — Ale z całą pewnością mogę sprawić, że będziesz tego chciał. Pomyśl o tym, Tojo.

Byłem tak zdenerwowany i przestraszony, że zacząłem się ślinić, ale żadne słowa nie wydostały się z moich ust, więc tylko westchnąłem i usiadłem obok Mońka.

— Zastanawiam się, czy nasz szef nie połknął więcej, niż jest w stanie strawić — zauważył Monk, kiedy ruszyliśmy w ślad za przyczepą Thaddeusa.

Kiedy skręcaliśmy w główną drogę, jakby na podkreślenie tego stwierdzenia, lew zaczął skomleć ze strachu.

ROZDZIAŁ 5

Pewnie nie przyszłoby wam do głowy, że przeprowadzka z Vermont do Maine może wiązać się z taką zmianą pogody, ale tak naprawdę było. Wszystko pokrywał śnieg, a gwałtowny wiatr przewiewał namioty i nawet grzejniki i dmuchawy nie potrafiły nas ogrzać. Ze straganów z jedzeniem zniknęły zamrażarki z lodami, sprzedawano tam teraz głównie zupę i kawę.

Thaddeus zwolnił ludzi obsługujących urządzenia rozrywkowe, kiedy jeszcze byliśmy w Vermont, proponując im, żeby spróbowali się zatrudnić u faceta, który je wszystkie kupił. Pozbył się także Elmera i pozostałych aktorów, a z dawnego gabinetu dziwołagów zostawił tylko Merrymaxa i Małą Lu-lu.

Thaddeus był pewien, że Ahasuerus się w końcu pojawi, zapłaci kaucję za Romany'ego i pojedzie za nami z grupą płatnych zbirów. A ponieważ po odjeździe z Vermont mieliśmy jechać na południe, zabrał nas do Maine, zakładając, że wobec nadchodzącej zimy Ahasuerusowi nie przyjdzie do głowy szukać nas na północy.

Kiedy dojechaliśmy do pierwszego miasteczka, w którym udzielono nam pozwolenia na występy, Thaddeus kazał rozbić namioty gabinetu osobliwości, dziewcząt i specjalnych atrakcji. Potem Diggs zorganizował swój salon gier, ustawiono też stragany z jedzeniem i mogliśmy zaczynać.

Wtedy właśnie zaczęły się kłopoty. Jupiter Monk był zwiastunem pierwszego.

— Co masz zamiar zrobić z dziwołagami? — spytał, podchodząc do Thaddeusa, który kierował rozmieszczeniem świateł na głównym placu.

— Pokazywać ich — oświadczył Thaddeus. — A co, do diabła, myślałeś? Monk potrząsnął głową.

— Nie o to pytam — powiedział. — Co masz zamiar z nimi robić między pokazami?

— Będę ich chyba trzymał w twoim autobusie — oświadczył Thaddeus. — Tam są bezpieczni.

— Tego się właśnie obawiałem — powiedział Monk. Zrobił głęboki wdech. — Oni nie zostaną w autobusie. Znajdź dla nich jakieś lepsze miejsce.

— O co chodzi? — spytał Thaddeus z uśmiechem. — Czy przez nich robisz się nerwowy?

— To są ludzie, Thaddeus — rzekł Monk. — Nie można ich trzymać w klatkach w czasie, gdy nie są na scenie. Przynajmniej nie możesz tego robić w moim autobusie.

— To banda dziwolągów i potworów — powiedział Thaddeus. — Czego chcesz ode mnie? Mam dla nich wynająć pokoje w hotelu? Cholera, przecież niektórzy z nich są tak zbudowani, że nie potrafiliby skorzystać z toalety.

— Nie obchodzi mnie, co powiesz — upierał się Monk. — Oni muszą odejść. Ja sam trzymam koty i niedźwiedzia w klatkach tylko wtedy, gdy jedziemy, i to tylko dla ich ochrony, żebym nie musiał ich zdrapywać ze ścian i sufitu, gdybyśmy mieli wypadek. Nie możesz robić z ludźmi tego, czego ja nie zrobiłbym nawet moim zwierzętom.

— To nic ma nic wspólnego z faktem, że lew robi pod siebie ze strachu przed Niebieskim Człowiekiem, prawda? — spytał Thaddeus.

— Jest drugi powód — powiedział Monk, wyraźnie zakłopotany.

— Przenieś lwa — powiedział Thaddeus. — Będzie mniej roboty.

Monk potrząsnął głową.

— Albo oni odejdą albo ja zabieram swój autobus i odjeżdżam.

Myślałem, że Thaddeus go uderzy, ale Monk tylko zrobił krok w tył i roześmiał się.

— Tknij mnie choć palcem, szefie, a obudzisz się z lwem w swoim łóżku. Ciebie się nie boi.

Thaddeus rozprostował pięść, wzruszył ramionami i odszedł. Chwilę później kazał Wielkoludowi i Dużemu Alwinowi, żeby rozbili jeszcze jeden namiot i połączyli go z tym, który został przeznaczony na gabinet osobliwości.

— Kiedy już ich tam przeniesiemy — powiedział — wy dwaj będziecie ich pilnować ze strzelbami. Jeśli któryś z nich ucieknie, już ja dopatrzę, żebyście nigdzie nie dostali pracy.

Była to czcza pogróżka — Thaddeus nie miał żadnych wpływów poza biznesem cyrkowym, a i w nim niewiele — ale uwierzyli mu. Godzinę później namiot stał, a oni przeprowadzali do niego kolejno wszystkie dziwolągi.

— Mój Boże, ale śmierdzą! — powiedział Thaddeus, dokonując lustracji namiotu po przeprowadzeniu ostatniego dziwoląga. — Przypilnuj, żeby do wieczora wszyscy się umyli, Tojo. Szczególnie Kobieta Słoń i Jaszczur. — Zrobił głęboki wdech. — Jezus! Nie wiem, jak oni mogą wytrzymać siebie nawzajem!

— Będzie potrzebny przenośny prysznic — zauważyłem.

— Mamy tylko jeden, ale używają go dziewczyny.

- Nie możesz kupić jeszcze jednego? — spytałem.
- Ty myślisz, że ja siedzę na forsie? — spytał podniesionym tonem. — Przez te dziwolągi już jestem do tyłu o dwanaście tysięcy dolarów, a jeszcze nie zarobiłem na nich ani grosza. Przynieś mydło, wodę i umyj ich gąbką.
- Wszystkich oprócz niego.
- Jego też! — zdenerwował się Thaddeus. — Jeśli dalej będą tak śmierdzieć, pożycz jakieś perfumy od Almy albo Glorii i spryskaj ich.
- Tu jest zimno, Thaddeus — powiedziałem.
- Wszędzie jest zimno — odparł z obrzydzeniem. — Dlatego mówi się na to zima.
- Mogą złapać zapalenie płuc, jeśli będę ich mył tutaj — zauważyłem.
- Czy nie możemy wziąć grzejnika z namiotu do strip-tease'u?
- Potrząsnął głową.
- Dziewczyny pracują nago. Chcesz, żeby one złapały zapalenie płuc?
- Czy nie możemy go pożyczyć tylko na czas mycia? — nalegałem.
- Myślał nad tym przez chwilę, po czym skinął głową w stronę Wielkoluda.
- Przynieś tutaj grzejnik, ale zaraz potem ma być oddany.
- Wielkolud skinął głową i kilka chwil później przyniósł wielką dmuchawę.
- A po dwóch minutach do namiotu jak burza wtargnęła Gloria.
- Co to za pomysły? — spytała podniesionym głosem.
- Thaddeus powiedział, że możemy na chwilę pożyczyć — wyjaśniłem.
- Ach tak? Dobrze, więc powiedz temu sukinsynowi, że nie będę pracowała, dopóki nie odzyskamy ogrzewania. Cholera, przecież gęsią skórkę mam większą niż sutki.
- Już się bałem, że poprze swoje oświadczenie prezentacją dowodów, ale ona popatrzyła tylko groźnie na dziwolągi, a potem wyszła bez słowa w poszukiwaniu Thaddeusa. Kilka minut później przysłał Wielkoluda i znowu straciliśmy dmuchawę.
- Napełniłem więc wiadro ciepłą wodą z mydłem i zacząłem myć gąbką Człowieka Jaszczura. Przepraszałem go w trakcie pracy, ale on ani razu nie spojrzął ani w lewo, ani w prawo, nie powiedział ani słowa, nawet nie dał do zrozumienia, że zauważył moją obecność.
- Potem podszedłem do Kobiety Słonia. Kiedy zobaczyła, że się zbliżam, szarpnęła się w tył.
- Nie zrobię ci nic złego — powiedziałem łagodnie.
- Ruszyłem w jej stronę, a ona znowu się cofnęła.

— Nic nie rób — usłyszałem bardzo ochryply, dziwacznie brzmiący głos.

Drgnąłem nerwowo, bo wiedziałem czyj to głos.

— Zostaw ją w spokoju — powiedział Niebieski Człowiek, oparty o jeden z masztów namiotu.

— Ale...

— Ona nie lubi wody — wyjaśnił.

— To się nawet czuje! — powiedział Duży Alvin, marszcząc nos. — Faj!

— A inni? — udało mi się wykrztusić.

— Jeśli będą się chcieli umyć, zrobią to sami — oświadczył Niebieski Człowiek.

— A potrafią? — spytałem, przebiegając wzrokiem to zgromadzenie straszdeł i monstrów.

— Tak — odparł Niebieski Człowiek. Urwał, spojrzał na mnie i nagle jego wygląd wy-dał się mniej szatański. — Ale sami sobie nie stworzą jedzenia.

Przyszło mi nagle do głowy, że nie jedli pewnie od ponad dwudziestu czterech godzin. Z namiotu dziewcząt wrócił Wielkolud, więc posłałem go po trzy tuziny hot dogów i tuzin kubków kawy.

— Dziękuję — powiedział Niebieski Człowiek.

— Nie ma za co — odparłem.

Próbowałem posłać Alvina po łóżka polowe i krzesła, ale nie zgodził się opuścić posterunku. Również Wielkolud, który chętnie odszedł na kilka minut, by przynieść jedzenie, bał się, że Thaddeus odkryje jego dłuższą nieobecność. Wyszedłem więc sam z namiotu i zacząłem znosić wszystkie krzesła i łóżka, jakie tylko mogłem znaleźć. Nie jestem zbyt silny i na jeden raz mogłem przenieść tylko jedno łóżko i krzesło. Potem wyszukałem jeszcze stertę kocy. Cała operacja zabrała mi prawie dwie godziny.

— Jesteś bardzo uprzejmy — stwierdził Niebieski Człowiek, kiedy skończyłem. — Żałuję, że nie możemy ci podziękować w jakiś inny sposób.

Wyciągnął w moją stronę groteskowo zdeformowaną dłoń, której palce zginały się w zupełnie niewłaściwych miejscach. W pierwszym odruchu cofnąłem się, ale potem sobie przypomniałem, jak wiele razy ludzie cofali się przede mną, więc zacisnąłem zęby na wypadek, gdyby zachciało mi się krzyknąć, kiedy się dotkniemy, i ucisnąłem jego dłoń. Była ciepła, sucha i bardzo silna.

— Co pan Flint ma zamiar z nami zrobić? — spytał Niebieski Człowiek po chwili milczenia.

— To samo, co pan Ahasuerus — wyjaśniłem. — Będzie was pokazywał.

— Jak długo?

— Dopóki będziecie zarabiać dla niego pieniądze.

— Rozumiem — powiedział Niebieski Człowiek.

Wydało mi się, że ma zamiar zmarszczyć czoło, ale jego skóra była tak mocno opięta na wąskiej, kanciastej czaszce, że nie był w stanie zmienić wyrazu twarzy. Znowu wyglądał jak szatan, a ja odruchowo się cofnąłem.

— Nie bój się, mała istoto — powiedział tak łagodnie, na ile tylko pozwalał mu zgrzytliwy głos. — Nie zrobię ci krzywdy.

Zapewniłem go, że wcale się nie boję, tylko po prostu mam jeszcze pracę do wykonania. Oszczędłem od niego najdalej, jak się dało, i zacząłem rozstawiać łóżka. Duży Alvin domyślił się, że pomagając mi, nie będzie musiał wychodzić z namiotu, więc uwinęliśmy się z tym w dziesięć minut. Potem rozstawiliśmy krzesła. Żaden z dziwolągów nie zwracał na nas uwagi i żaden nie usiadł ani się nic położył, kiedy skończyliśmy.

Jupiter Monk wrócił chwilę później, dźwigając na grzbiecie belę słomy.

— Thaddeus pewnie nie dał im żadnej toalety? — spytał.

— Nie — odpowiedziałem.

— Tak się domyślałem. Cóż, to jest lepsze niż nic. — Cisnął słomę na podłogę, a zza pasa wyciągnął nożyce do cięcia drutu. Gdy zbliżył się do nas Niebieski Człowiek, żeby zobaczyć, co robimy, Monk wyprostował się. — Trzymaj się ode mnie z daleka, jeśli wiesz, co jest dla ciebie dobre! — warknął, celując w niego pokaleczonym i pokrytym odciskami palcem. Niebieski Człowiek cofnął się. — Trzymaj się ode mnie z daleka! — powtórzył Monk. — Omal nie wystraszyłeś na śmierć mojego lwa, ty cholerny potworze!

Zabrał się za przecinanie drutu, którym związana była słoma, potem wziął około jednej trzeciej beli i oparł ją o płótno przeciwległego krańca namiotu. Wrócił, wziął resztę i zaniósł do miejsca odległego około pięciu stóp od pierwszej wiązki. Potem poprosił Wielkoluda, żeby mu pomógł napiąć sznur między obydwoma wiązkami.

— Okay — powiedział otrzepując się. — Powieś na tym jakieś koce, to będą mieli odrobinę prywatności. Powiedz też Thaddeusowi, że jeśli nie chce, by te jego warte milion dolarów eksponaty pochorowały się na wszystkie możliwe zarazy, to niech lepiej wybuli na kilka toalet, zanim będzie za późno.

Powiedziawszy to, wyszedł, nie spuszczając oka z Niebieskiego Człowieka. Podobnie postępował z niedźwiedziem Bruno, który był najbardziej niebezpieczny z wszystkich jego zwierząt.

Odprowadziłem go wzrokiem, a kiedy odwróciłem się ponownie, omal nie wpadłem na Niebieskiego Człowieka.

— Kiedy go zobaczysz poza namiotem, proszę przekaż mu wyrazy mojej wdzięczności — powiedział. — Nie chciałem go przestraszyć.

— Nic nie jest w stanie przestraszyć Jupitera — uniosłem się. — On jest naszym treserem zwierząt.

— Podziękuj mu w naszym imieniu, mała istoto — powiedział Niebieski Człowiek.

— Zrobię to — obiecałem. — I mam na imię Tojo.

— Podziękuj mu, Tojo.

— A pana jak mam nazywać? — spytałem.

— Możesz mnie nazywać Niebieskim Człowiekiem — odparł i odszedł.

Ponieważ na straży zostali Duży Alvin i Wielkolud, uznałem, że nic się nie stanie, jeśli zjem obiad. Wpadłem na Thaddeusa, który właśnie się posilał przy jednym ze straganów.

— Nic z tego nie rozumiem — oświadczył, kiedy usiadłem obok niego. — Właśnie dzwoniłem do Vermont i okazuje się, że Romany dalej siedzi w pudle.

— Jupiter mówi, że dziwolągi powinny mieć toaletę — powiedziałem.

— Niech najpierw na nią zarobią — odparł Thaddeus. — Dotychczas pieniądze tylko odpływały, więc teraz musi ich trochę napłynąć.

— Jupiter mówi, że jeśli nie...

— Dosyć! — wrzasnął. — Jeśli będę chciał wiedzieć, co mówi Jupiter Monk, to sam z nim pogadam!

Resztę posiłku zjedliśmy w milczeniu. Kiedy już miałem odejść, położył ciężką dłoń na moim ramieniu i usadził z powrotem.

— Czy Niebieski Człowiek robił jakieś numery? — spytał.

— Numery? — powtórzyłem.

— Jego trzeba pilnować — powiedział Thaddeus.

— Był dla mnie bardzo miły — odparłem.

— Więc twierdzisz, że bycie dziwolągiem to tylko sprawa zewnętrznego wyglądu — oświadczył, szczerząc zęby w uśmiechu. — Jaki ty masz szeroki umysł.

— Puść mnie — poprosiłem. — Muszę do nich wracać.

— Powiedz im, że za dwie godziny występują — krzyknął za mną.

Kiedy wróciłem do namiotu, zastałem ich zbitych w gromadę wokół Wielobarwnego Człowieka, który odkąd tu przyjechaliśmy, przybrał sinoniebieski kolor. Był otulony w koce, a Duży Alvin stał obok niego, z wyrazem wielkiego niepokoju na twarzy.

— Co się dzieje? — spytałem.

— Ten niebieski facet, nie tamten zły, tylko ten, porzygał się kilka minut temu. To było jakieś obrzydliwie śmierdzące, zielone świństwo. Potem zaczął się trząść i oni go owinęli kocami.

Przepchałem się do łóżka, na którym siedział Wielobarwny Człowiek. Trząść się lekko, a jego oczy były nieco szkliste.

— Co się dzieje? — spytałem. — Czy coś ci się stało?

Nic nie powiedział, on ani nikt z pozostałych.

— Czy może coś ci przynieść? — spytałem.

Potrząsnął głową, ale nadal się nie odzywał.

— Lepiej sprowadzę Thaddeusa — powiedziałem, odwróciłem się i ruszyłem w stronę wyjścia.

— To nie jest konieczne — rzekł Niebieski Człowiek. — Ale przekaż Flintowi, że Wielobarwny Człowiek nie będzie w stanie wystąpić dziś wieczorem.

— Co mu jest? — spytałem.

— Zimno.

— Dobrze, to powiedz mu, żeby założył na siebie coś więcej oprócz tych szortów — powiedziałem.

— To jest to, co on nosi — oświadczył Niebieski Człowiek.

Nie wiedziałem, czy to było pytanie, stwierdzenie faktu czy wyjaśnienie, ale w każdym razie zabrzmiało ostatecznie. Wzruszyłem ramionami i wyszedłem powiedzieć o wszystkim Thaddeusowi.

Znalazłem go przy budce telefonicznej, trzymał słuchawkę przy uchu. Wymruczał kilka zdań, zaklął i odwiesił słuchawkę z trzaskiem.

— Cholera! — powiedział. — Ahasuerus jeszcze się nie pokazał, żeby zapłacić za nie-go kaucję!

— Myślałem, że chcesz, by siedział w areszcie.

— Chciałem, by obydwaj siedzieli w areszcie — oświadczył Thaddeus. — Z tego co wiem, Ahasuerus jest jakieś dziesięć mil za nami. — Spojrzał tak, jakby mnie zobaczył po raz pierwszy. — Czego chcesz, do diabła? Myślałem, że kazałem ci zostać z dziwolągami.

— Wielobarwny Człowiek jest chory — powiedziałem. — Nie będzie mógł wystąpić dziś wieczorem.

— A właśnie że będzie! — wściekł się Thaddeus.

— On jest naprawdę chory — tłumaczyłem. — Właśnie go widziałem.

— Jak się pozwoli tym darmozjadom próżnować pierwszego dnia, to potem końca tego nie będzie! — denerwował się Thaddeus. — Chory, zdrowy czy martwy, będzie występował! — Umilkł, by zapalić papierosa. — Ty im to powiesz. Szczególnie Niebieskiemu Człowiekowi. I powiedz im, że ja ich będę zapowiadał, żeby mieć na nich oko.

— To kto będzie zapowiadał dziewczęta?

— Szwed.

Szwed był potężnie zbudowanym blondynem, prawie tak wysokim jak Duży Alvin. Pracował razem z Diggsem przy grach.

— A czy on to potrafi?

— Nauczy się — oświadczył Thaddeus. — Przynajmniej nie będzie się potykał o własny język, jak niektórzy moi znajomi. A teraz zasuwasz do namiotu i powiedz im, że wszyscy dziś pracują.

Padał drobny śnieg, kiedy przepelniony goryczą wracałem do namiotu. Szwed lubił pracować przy grach i zdzierać pieniądze z naiwnych, prawdopodobnie nawet oburzył się, że zostaje zmuszony do zapowiadania na występach stripteaserek. Ja natomiast oddałbym wszystko, żeby się znaleźć na jego miejscu, i Thaddeus o tym wiedział. Obydwaj wprawdzie zdawaliśmy sobie sprawę, że nigdy nie mógłbym zostać konferansjerem, ale nie musiał wygłaszać tej uwagi o potykaniu się o własny język. Nie wiem, dlaczego się jąkam. Czasami myślę, że to dlatego, że bardzo długo kiedyś milczałem i poznałem wtedy tyle wartych wypowiedzenia słów, że teraz one ścigają się, żeby się wydostać. Wiedziałem, że nie potrafię przemawiać do publiczności, ale on nie musiał do mnie tak mówić i nie musiał kazać tego robić jedynemu facetowi z całego cyrku, który tego nie znosi. To było po prostu niesprawiedliwe.

— Wyglądasz na zmartwionego — zauważył Niebieski Człowiek, kiedy wślizgnąłem się do namiotu.

— Wszyscy mają dziś pracować — powiedziałem. — Łącznie z nim. — Wskazałem Wielobarwnego Człowieka. Potem pomyślałem o tym, czyja to jest wina i dodałem: — Przepraszam.

— To nie twoja wina — powiedział Niebieski Człowiek.

— Thaddeus nie wierzy, że on jest chory — dodałem.

— Czy to by sprawiło jakąś różnicę, gdyby Flint zbadał go sam? — spytał Niebieski Człowiek.

— Żadnej — wyznałem.

Niebieski Człowiek wydał z siebie głuche i chrapliwe westchnienie.

— Będzie co ma być — stwierdził spokojnie. Spojrzał na Wielobarwnego Człowieka, potem znowu na mnie. — Gdzie jest pan Romany?

— W areszcie.

— Jak długo tam będzie?

— Pewnie jeszcze kilka godzin, chyba że pan Ahasuerus nie zechce zapłacić za niego kaucji.

— A jeśli nie zechce?

— To może tydzień.

— Czy wszystko z nim w porządku?

— Nikt nie powiedział, że jest inaczej — odparłem.

Wydawało się, że chce jeszcze coś dodać, ale wtedy obok nas pojawił się Duży Alvin.

— Niedługo występ, Tojo — powiedział niezbyt pewnym głosem.

— I co z tego? — spytałem.

— Muszę iść na występ dziewcząt — oświadczył. — Gloria będzie na scenie za kilka minut.

— Thaddeus kazał nam tu zostać — przypomniałem mu.

— Jeśli mnie tam nie będzie, to on ją zmusi do jakichś obrzydliwych numerów — odparł. — Wiem, że to zrobi. — Zaciśnął swoje ogromne pięści tak mocno, aż zbieleły mu kłykcie. — Jeśli on jej się każe wyginać na scenie i pozwoli, żeby ci faceci się do niej dobierali... — Na chwilę zawiesił głos. — Nigdy dotąd nikogo nie skrzywdziłem, Tojo, ale jeśli on ją do tego zmusi, to ja mu zrobię coś złego. Przysięgam na Boga, że to zrobię!

— W porządku — powiedziałem. — Thaddeus ma pracować przy tym występie.

— To kto zapowiada strip-tease?

— Szwed — odparłem.

— Szwed — wolno powtórzył Duży Alvin. Zastanawiał się nad tym przez chwilę. — Szwed jest w porządku. On jej nie każe robić niczego, czego ona nie będzie chciała.

— Jestem tego pewien — zapewniłem go. — A poza tym, chyba nie było dość czasu, żeby opłacić gliniarzy.

— W porządku — rzekł Duży Alvin. — Zostanę tutaj. — Ale jeśli Thaddeus nie będzie zapowiadał dziwołagów, to idę tam.

— Nie zatrzymywałbym cię, nawet gdybym mógł — powiedział mu zgodnie z prawdą.

Posiedzieliśmy jeszcze kilka minut i wtedy wszedł Thaddeus, ubrany w strój z tkaniny przetykanej złotymi nitkami, nazywany przez niego kostiumem Elvisa. W rękę trzymał złotą laskę.

— Okay, wyprowadźcie ich — rozkazał.

Duży Alvin i Wielkolud wyprowadzili dziwołagi do przyległego namiotu, w którym umieszczono je na oddzielnych podwyższeniach. Kiedy już byli na swoich miejscach, Thaddeus zasłonił każde podwyższenie kurtyną, wykonaną z kolorowego, metalicznie połyskującego materiału.

— Ani na krok nie odchodź od Niebieskiego Człowieka — powiedział mi. — Jeśli będzie próbował zrobić jakiś numer, daj mi znać.

Potem wepchnął mnie na podwyższenie razem z Niebieskim Człowiekiem i zasunął kurtynę.

Widzowie weszli kilka minut później. Na zewnątrz słyszałem jednostajny głos Thaddeusa, jak zachęcał ludzi, szydził z nich i prawił im złośliwości, ale dopiero gdy wprowadził ich do środka, byłem w stanie rozróżnić słowa.

— Z dalekiej i egzotycznej Afryki — zagrzmiął — z zabronionego portu w Mozambiku, z samych czeluści piekła, pochodzi nasz pierwszy eksponat. Proszę się trochę odsunąć, madam. Zabił dwóch pierwszych białych myśliwych, którzy chcieli go pojmać, a dopiero co w zeszłym tygodniu rzucił się na jednego z widzów.

— Zastanawiacie się pewnie, dlaczego wpuściłem was tu wszystkich za darmo, dlaczego nie brałem opłaty z góry. To dlatego, że Thaddeus Flint nie zarabia w taki sposób. Czy pani, młoda damo, zechce stanąć obok mnie? O tutaj. Znakomicie.

— Teraz, panie i panowie, pozwolę tej młodej damie zerknąć za darmo na Człowieka Jaszczura. To ona wam powie, co my tu mamy, ona wam powie, czy tu się kogoś nabiera. Potem poproszę was wszystkich, abyście mi dali po jednym szeleszczącym dolarze, a wystarczy, że połowa z was zdecyduje się zapłacić, a zobaczą go wszyscy. Jeśli nie, pokaz się skończy i wszyscy rozejdziemy się do domów, aby zdążyć na ostatni film w telewizji. Czy jak do tej pory brzmi to dla was rozsądnie?

Nie widziałem, co zrobił potem, ale chwilę później usłyszałem przenikliwy krzyk i głośny szelest, jakby wszyscy jednocześnie wyciągali pieniądze.

— A oto on, panie i panowie! — krzyknął Thaddeus. — Pótczłowiek, półjaszczurka, ale cały drapieźnik. No gdzie uciekasz, chłopie, boisz się węży? Lepiej, żeby ta twoja blondyneczka o tym nie wiedziała, bo może pomyśleć, że boisz się też innych rzeczy.

Perorował tak bez przerwy przez dobre pięć minut. Potem zrobił to samo przy Cyklopie, tym razem namawiając jednego mężczyznę, żeby zapłacił dwadzieścia dolarów za wszystkich widzów. Inaczej wyceniał każdy eksponat i zdaje się, że zanim pokazał pierwszych dziewięć, zarobił około sześciuset dolarów.

Wielobarwny Człowiek był dziesiąty. Nie widziałem go, ale wiedziałem, że nie zmieniał barw, bo Thaddeus zaczął go wyklinać i obrażać, aż wreszcie powiedział widzom, że zwróci im za niego pieniądze, ponieważ temu eksponatowi najwyraźniej brakuje odpowiedzialności moralnej, i nawet jeśli człowiek, którego skóra ma niebieską barwę, jest i tak wystarczająco niezwykły, to przecież nie zapłacili za oglądanie kogoś takiego.

Niebieski Człowiek wydał zabawny, gardłowy dźwięk, a kiedy spojrzałem na niego, spostrzegłem, że po jego policzku spływa łza.

— Następny eksponat pokażę wam za darmo — kontynuował Thaddeus, kiedy tłum wydał kolejny, zbiorowy okrzyk. — Ale tylko tego jedyne go wieczoru. Od jutra ta urocza dama będzie pracowała obok, na naszych występach dla dorosłych. Będzie się wyginała i płasała jak nikt, bo w życiu nie widzieliście kogoś, kto ma tyle do zademonstrowania, co ona. Teraz jednak, mimo że ten cudowny wybryk natury będzie ukazywał swój akt dwa razy dłużej niż zwykle, nie każemy wam płacić dwa razy więcej, nie proszę pana... Pani jest zaszokowana... nie? Zatem jest pani zazdrosna... ale trzeba być tolerancyjnym. Och, pani jest tolerancyjna? Zatem spodziewam się ujrzeć panią i tego wyszczerzonego, łysiego potwora jutro wieczorem w pierwszym rzędzie podczas pokazu strip-tease'u. Obiecujecie?

— Moja wina — szepnął Niebieski Człowiek do siebie samego. — Moja wina.

Thaddeus jeszcze opowiadał przez kilka minut o cudach natury, które można obejrzeć podczas pokazu strip-tease'u, zareklamował Monka i Dance-
ra, wyrecytował parę historyjek, które wydawały się zupełnie bezbarwne do-

póki nie dotarł do pointy, sprawiając, że wszyscy zaczęli się śmiać, bardziej z ulgą niż z rozbawieniem, a potem wyprowadził ich z namiotu.

Czekałem razem z Niebieskim Człowiekiem na podwyższeniu, zastanawiając się, czemu on nie został pokazany. Bałem się stamtąd zejść, by nie narażać się na gniew Thaddeusa. Do końca wieczoru Thaddeus wprowadził jeszcze siedem grup zwiedzających, choć po dwóch kolejnych próbach przestał pokazywać Wielobarwnego Człowieka i ani razu nie odsunął kurtyny, aby zademonstrować Niebieskiego Człowieka.

Potem nakazał Wielkoludowi i Dużemu Alwinowi, by wyprowadzili dziwolągi i zamknęli namiot, ale mieli nie ruszać jednego z podwyższeń. Domyśliłem się, że mówiąc to, wskazał w naszą stronę.

W każdym razie zostaliśmy tam jeszcze dobre dwadzieścia minut, dopóki namiot nie opustoszał i nie pogasły wszystkie światła prócz jednego. Po chwili Thaddeus podszedł do nas i rozsunął kurtynę. Na twarzy miał szeroki uśmiech.

— Czasami bywa tu tłoczno — powiedział, stając przed nami z rękoma wspartymi na biodrach i papierosem w kącie ust. — Dopiero dziś wieczorem, domyśliłem się, o co w tym wszystkim chodzi. — Podniósł wzrok, by spojrzeć w oczy Niebieskiemu Człowiekowi. — Pan Ahasuerus, jak się domyślam?

Niebieski Człowiek patrzył na niego, nie ruszając się i nie zmieniając wyrazu twarzy.

— Zwariowałeś! — wykrzyknąłem. — To jest Niebieski Człowiek. To jeden z dziwo-lągów.

— To jest pan Ahasuerus i wcale mi się nie wydaje, żeby był dziwolągiem — odparł Thaddeus, nadal uśmiechając się od ucha do ucha.

— Co ty gadasz! — pytałem podniesionym głosem. — Przyjrzyj mu się tylko.

— To ty mu się przyjrzyj, Tojo — rzekł Thaddeus. — Przyjrzyj się im wszystkim. Nie wszystko jeszcze wiem, ale jestem pewien jednego: żaden normalny mężczyzna i kobieta nie są w stanie spłodzić takich monstrów. Ale — dodał, machając grubym zwitkiem banknotów, które zebrał najwyraźniej tego wieczoru — darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby. To przyjemność powitać pana wśród nas, panie Ahasuerus.

— Przyjemność ta nie jest wzajemna — odparł chłodno pan Ahasuerus.

ROZDZIAŁ 6

— Stąd jej nie widać — tłumaczył pan Ahasuerus, wpatrując się swymi pomarańczowymi oczyma w jakiś niewyobrażalnie daleki punkt, oddalony o całe miliardy mil. — To sielankowy świat rozległych prerii i majestatycznych gór, świat, gdzie niebo jest tak gęste od gwiazd, że noce przypominają... wasz główny plac, kiedy zapalone są wszystkie latarnie.

Dochodziła druga w nocy i cyrk był już zamknięty od ponad godziny. Thaddeus kazał dwóm nowym strażnikom zmienić Wielkoluda i Dużego Alvina. Zajęli stanowiska po przeciwległych stronach namiotu sypialnego. Większość kosmitów już spała, a dwóch z nich — Człowiek Guma i Człowiek Jaszczur — doglądali Wielobarwnego Człowieka, którego skóra miała nadal jasnoniebieską barwę.

Siedziałem z panem Ahasuerusem przy jednym stole; ja piłem kawę, on bez apetytu jadł zupę. Obydwaj owinęliśmy się kocami, chroniąc się w ten sposób przed lodowatym wiatrem, który wydawał się rozdzierać płótno namiotu.

— Czy oni wszyscy pochodzą z twojego świata? — spytałem.

— Nie — odparł. — W tej galaktyce są tysiące tysięcy zamieszkanego światów. Oni pochodzą z kilku spośród nich.

— Więc każdy z was jest z innego świata?

— Zgadza się.

— Łącznie z panem Romanym?

— Tak.

— Czy to jest początek inwazji? — spytałem zdziwiony, że potrafię zachować spokój, kiedy wypowiadam tak niepokojącą myśl.

Cichy śmiech pana Ahasuerusa zabrzmiał dość obrzydliwie.

— Czy ja powiedziałem coś śmiesznego? — spytałem.

Potrząsnął głową.

— Śmieję się, żeby nie płakać. Czy jeszcze się nie domyśliłeś, mała istoto?

— Chyba nie — przyznałem. — Po co tu przylecieliście?

— Jesteśmy turystami — powiedział z goryczą w głosie. — Podróżujemy po całej galaktyce i odwiedzamy te planety, które jeszcze się nie przyłączyły do wspólnoty naszych światów.

— Jesteście turystami? — powtórzyłem z niedowierzaniem.

Raz jeszcze skinął głową.

— Udajemy, że jesteśmy eksponatami z gabinetu osobliwości, żeby ściągać na siebie jak najmniej uwagi. To nam pozwala obejrzeć cały przekrój danej populacji, nie naruszając jej struktur politycznych i religijnych i nie ujawniając naszego pochodzenia.

— Czy po galaktyce podróżuje stale ta sama grupa?

— Nie. Nigdy nie przyjmujemy kandydatów za bardzo się różniących od dominujących form życia planety, którą mamy zamiar zwiedzić. Dlatego wszyscy członkowie tej grupy oddychają tlenem, wszyscy z wyjątkiem dwóch opanowali przynajmniej podstawową znajomość waszego języka i wszyscy bez wyjątku możemy jeść to samo jedzenie, które wy jecie, bez szkody dla naszych organizmów. Kiedy stwierdziłem, że żadna z tutejszych ras nie ma niebieskiej skóry, postanowiłem, że nie będę występował. Miałem też trochę obaw, czy pokazywać Amphrawse. To ten, którego nazwaliśmy Sfinksem.

— On wydawał się najdziwniejszy — powiedziałem. — Oprócz ciebie.

Wiem — rzekł Ahasuerus. — Ale on oszczędzał swoje pieniądze, czy też coś, co jest tutaj uważane za pieniądze. Przez prawie trzy lata, by móc zwiedzać waszą planetę przez dwa tygodnie. W swoim krótkowzrocznym dążeniu do tego celu rozbił swoją, jak to ująć, jednostkę rodzinną, co dla niego wiąże się z konsekwencjami znacznie poważniejszymi niż dla mieszkańca Ziemi. Jak miałem mu powiedzieć, żeby się ukrywał podczas naszego pobytu tutaj? — Urwał na chwilę, jakby sobie przypominał prośby i błagania Sfinksa. — Cieszę się, że nie jest odpowiedzialny za naszą obecną sytuację. Z mojej strony jednak to była zła decyzja, ponieważ ryzykowałem bezpieczeństwem pozostałych. — Westchnął. — Umysł postrzega i decyduje, a serce się sprzeciwia. To bardzo nieskuteczny system.

— Ale chyba uniwersalny — zauważyłem.

— Nie całkiem — odparł, rzucając spojrzenie w stronę przyczepy Thadeusa.

— Nawet w jego przypadku — powiedziałem.

— Łudzisz się — syknął Człowiek Jaszczur, który nam się przysłuchiwał. (Nie chcę użyć słowa syknął w dramatycznym sensie, po prostu jego głos był

tak świszczący, że wszystkie dźwięki wydawane przez niego brzmiały jak syk).

— Mnie traktuje przyzwoicie — powiedziałem zaczepnie.

— Wyznajecie wyjątkowo płynne normy przyzwoitości — oświadczył Człowiek Jaszczur.

— Co ty o tym wiesz? — spytałem z irytacją. — Thaddeus dał mi pracę, kiedy wszyscy śmiali się ze mnie. Jest jedynym człowiekiem, który traktuje mnie jak ludzką istotę.

— To tak właśnie traktują się nawzajem ludzie? — spytał Człowiek Jaszczur. Jego wypowiedziom brakowało intonacji, więc nie byłem w stanie stwierdzić, czy to pytanie zostało zadane szczerze, czy też kryła się w nim ironia.

— On ma wielu ludzi na utrzymaniu — powiedziałem. — I dużo spraw na głowie.

— Dlaczego wciąż go bronisz? — usłyszałem za sobą czyjś głos. Odwróciłem się i zobaczyłem stojącą na progu Almę.

— Co ty tu robisz? — spytałem ją.

— Właśnie się dowiedziałam, że będzie z nami występowała nowa dziewczyna powiedziała z jawną wrogością. — Pomyślałam, że tu przyjdę i dowiem się czegoś więcej.

Przeszła przez cały namiot do Kobiety o Trzech Piersiach, która siedziała skulona na krześle, otulona kocem. Alma wyciągnęła rękę i odstąpiła koc, zanim Kobieta o Trzech Piersiach zdążyła się cofnąć.

— Jasna cholera! — krzyknęła. — Jak u diabła mamy konkurować z czymś takim? Dlaczego nie zostaniesz razem ze swymi dziwolągami?

Kobieta o Trzech Piersiach wpatrywała się w nią z panicznym przerażeniem, a pan Ahasuerus podszedł do nich.

— Ona nie mówi najlepiej po angielsku — powiedział łagodnie i rozdzielił je.

— To jak ona zdołała przekonać Thaddeusa, żeby ją puścił z występów dziwolągów? — pytała podniesionym głosem Alma.

— To nie była sprawa wyboru — powiedział pan Ahasuerus.

Nagle Alma zmieniła swoje nastawienie.

— To znaczy, że Thaddeus ją do tego zmusza?

Pan Ahasuerus skinął głową.

— Czy ona wie, w co się pakuje? — spytała Alma.

— Żadne z nas tego nie wie — odparł pan Ahasuerus.

Odwróciła się w moją stronę.

— I ty mu na to pozwoliłeś, ty zły, mały człowieku!

— Jak mogłem mu się sprzeciwić? — spytałem.

— Racja, a niech to cholera! — krzyknęła. Sama z nim porozmawiam!

Odwróciła się na pięcie i wyszła.

— Czy jej się uda? — spytał cicho pan Ahasuerus.

Wzruszyłem ramionami.

— Nie wiem.

— Co się stanie, jeśli nie?

— Wtedy będziemy się o to martwić — powiedziałem.

Usilnie starałem się o tym nie myśleć, ale nie za bardzo mi się udawało. Może nie będzie tak źle, nawet jeśli Thaddeus każe jej to robić. W końcu zachowywała się bardzo wyzywająco. Może w swoim rodzinnym świecie była stripteaserką. Może nawet stać ją było na występ, który zaszokowałby samą Almę.

Spytałem pana Ahasuerusa, co robi Kobieta o Trzech Piersiach, kiedy nie zwiedza galaktyki.

— Ona jest... nie znam analogicznego słowa w waszym języku. Ona uczestniczy w swojej religii.

— Jak zakonnica? — spytałem.

— Co to jest zakonnica?

Wyjaśniłem mu, a on odparł, że to dość bliskie określenie tego, kim ona jest.

— Czy ona jest... otaczana czcią? — spytałem, niezdarnie szukając właściwego słowa.

— Nie rozumiem.

— Czy żyje w celibacie?

Tego słowa też nie znał, ale kiedy udało mi się w końcu to wyjaśnić, dużo się przy tym czerwieniąc i jękając, skinął głową i powiedział, że na ile się orientuje, wszyscy czynni wyznawcy jej religii żyją w celibacie.

— A to ci historia — mruknąłem.

Musiał wyczuć mój niepokój, bo umilkł. Po kilku minutach jałowego zastanawiania się nad tym, co czeka żyjącą w celibacie zakonnice podczas występów razem z innymi dziewczętami, poczłapałem do Wielobarwnego Człowieka. Leżał nieruchomo na łóżku, a Człowiek Jaszczur i Człowiek Guma energicznie masowali jego nadgarstki i ocierali mu pot z czoła.

— Co mu jest? — spytałem.

— Wystawienie na zimno — wysyczał Człowiek Jaszczur.

— Przecież wy wszyscy byliście wystawieni — zauważyłem.

Człowiek Jaszczur odwrócił się i spojrzał na mnie swymi martwymi oczami.

— Gdyby to przypadkiem umknęło twojej uwagi, to pozwól mi zauważyć, że nie wszyscy jesteście podobni do siebie. On pochodzi z gorącego, suchego świata, gorętszego nawet od mojego. Kiedy jest zdrowy jarzy się jaskrawą czerwienią, a gdy jest zmęczony jasną zielenią. Posiada zdolność niemal dowolnego zmieniania barwy od czerwonej przez żółtą do brązowej. Natomiast niebieski to kolor śmierci. Kiedy blednie to znaczy, że robi się słabszy, a gdy jego kolory zanikną, razem z nimi zaniknie także jego życie.

— Czy nie powinniśmy go przysunąć do grzejnika? — zaproponowałem.

— A czy zostawiłbyś topielca na pustyni? — odparł na to Człowiek Jaszczur. — Czy raczej usuwałbyś wodę z jego płuc? My musimy sprawić, by zrobiło mu się lepiej, a nie cieplej.

— Czy mogę w czymś pomóc? — spytałem.

Ledwie na mnie spojrzał, po czym odwrócił się do chorego.

Usiadłem na swoim krześle, czując się absolutnie bezużyteczny. Nie było to obce uczucie.

Musiałem się chyba zdrzemnąć, bo nagle zobaczyłem Almę, która stała obok i szarpała mnie za ramię.

— Co się dzieje? — zapytałem, mrugając oczami. — Co się stało? Czy on umarł?

— Kto? — spytała zmieszana.

— Wielobarwny Człowiek.

— Skąd mam to wiedzieć, do licha? — powiedziała z pasją, a ja po wyrazie jej twarzy wiedziałem, że się czymś strasznie denerwuje. — Ale możesz powiedzieć tej, co ma trzy cycki, że zostaje w gabinecie.

— Bardzo się z tego cieszę — odparłem.

— Przynajmniej ktoś się cieszy.

— Dlaczego płaczesz, Almo?

— Wziął do siebie jedną z tych cholernych miejscowych! — krzyknęła.

— Przykro mi — bąknąłem. Udawałem, że mam większe trudności z wydobywaniem z siebie słów niż w rzeczywistości, bo i tak nie potrafiłem wymyślić, co powiedzieć.

— Czy on się zupełnie z nikim nie liczy, Tojo? — wyszeptała. Po jej twarzy spływały strumienie łez. — Czy on nie wie, do czego mnie tym doprowadza?

— Nie rozumiem, o co ci chodzi — odparłem.

— Chodzi mi o to, że każdy potrzebuje odrobinę ludzkiego uczucia — powiedziała, ocierając twarz zmiętą chusteczką. — Każdy potrzebuje ciepła, otuchy i świadomości, że ktoś go chce.

— Ale nie każdy to może mieć — odparłem cicho.

Nagle spojrzała na mnie, jakby dopiero teraz zorientowała się, z kim rozmawia.

— Och, Tojo! Przepraszam! Nie chciałam... — Urwała w pół zdania, pochyliła się i pocałowała mnie w policzek. — O Boże! — wyszeptała, prostując się. — Życzę mu, żeby zdechł!

Odwróciła się i wyszła. Tym razem wiedziałem, że już nie wróci.

Poszedłem do pana Ahasuerusa i powiedziałem, że Kobieta o Trzech Piersiach zostaje z pozostałymi kosmitami.

— Może jest w nim choć odrobina przyzwoitości — powiedział pan Ahasuerus.

— Może — odparłem, choć wiedziałem, że zgodził się, bo prawdopodobnie chciał się pozbyć Almy i uniknąć dłuższej sceny w obecności najnowszej kochanki.

Znowu zasnąłem i obudziłem się dopiero wtedy, gdy Gloria z drugą dziewczyną przy-niosły śniadanie — jak zwykle hot dogi i kawę. Kosmici również zaczęli się budzić.

Potem, około dziewiątej, przyszedł Jupiter Monk, prowadząc za sobą na krótkim łańcuchu niedźwiedzia Bruno. Bruno miał na pysku kaganiec i włókł za sobą ogromną, przenośną toaletę.

Monk poprowadził go do kąta, w którym leżała sterta słomy. Potem odpiął uprzęż Bruna, obrócił toaletę drzwiami w naszą stronę i odsunął się, z dłońmi wspartymi na biodrach, by podziwiać swoje dzieło.

— Tylko nie dziękujcie mi wszyscy na raz! — przemówił głośnym, zirytowanym głosem.

— Jestem pewien, że wszyscy są nadzwyczaj wdzięczni — powiedziałem. — Z drugiej jednak strony, nie sądzę, by wszystkim tak się śpieszyło, żeby ci dziękować, kiedy obok ciebie jest Bruno.

— Bruno nie skrzywdziłby muchy — powiedział Monk, klepiąc niedźwiedzia po łbie i jednocześnie robiąc unik przed podstępny ciosem niedźwiedziej łapy. — Ludzi może tak — dodał z uśmiechem.

— Myślałem, że nie mamy żadnych toalet — zauważyłem, starając się nie znaleźć w zasięgu łapy Bruna.

— Nie było żadnych dostępnych — poprawił mnie Monk.

— Więc skąd ją wzięłeś?

— Wygrałem ją od Cwaniaka! — zaśmiał się Monk. — Mam nadzieję, że odmrozi sobie kutasa, gdy będzie sikał na śniegu!

— Wygrałeś ją? Jak?

— Orznąłem go — powiedział Monk, wyraźnie bardzo z siebie zadowolony.

— Nikt nie jest w stanie orznać Diggsa.

— Cóż, muszę przyznać, że jego można orznać tylko w pewien specjalny sposób — powiedział Monk. — Taki z niego diabeł, że wszędzie wietrzy podstęp. Założyłem się z nim o jedną prostą rzecz, a kiedy nie potrafił wychwycić pułapki, postawił w końcu toaletę przeciwko dwustu dolarom, tylko po to, by poznać odpowiedź. Ale nie martw się o starego Cwaniaka, zarobi kilka tysięcy dolarów na tym pouczającym doświadczeniu. O ile oczywiście nie zmieni się przedtem w bałwana.

— A o co się założyliście? — spytałem.

— Założyłem się z nim, że wiem o takim wyścigu, w którym połowa wystawionych koni była faworytami. No więc on bez zastanowienia powiedział, że to były Wyścigi w Belmont, ponieważ biegły wtedy tylko dwa konie i płacili mniej więcej jednego centa za dolara. Ja mu na to, że nie jest to taki prosty zakład i że wtedy biegło sześć koni. — Monk urwał dla lepszego efektu. — To go doprowadziło do szału, bo wie, że na tablicach totalizatora stawki przeciwne są umieszczane tak, że to niemożliwe, by więcej niż dwa konie mogły biec jako faworyci, a zresztą nawet wtedy reszta koni stanowiłaby pięćdziesiąt do jednego albo więcej. No więc cały się piekli i wścieka, nie chce się już zakładać, więc wychodzę z przyczepy, ale wiem, że to go będzie gryzło, dopóki się nie dowie. On wie, że jest jakaś odpowiedź, bo kładę dwieście dolarów na stół i to go doprowadza do furii. Dzwoni nawet do kilku bukmacherów, ale oni mu mówią, że to niemożliwe, więc on jeszcze bardziej dziczeje. Wreszcie nie może już tego wytrzymać, więc mówi mi, że mogę wziąć toaletę, ale on musi znać odpowiedź.

— A była jakaś odpowiedź?

— Jasne uśmiechnął się Monk. — W 1957 roku na wyścigach w Belmont bieгло dwóch faworytów: Śmiałek i Elegant. Wyścig szóstki koni.

— Ale to tylko dwóch — zauważyłem.

— Tak właśnie powiedział Cwaniak. Ale startował jeszcze inny koń, zwany Śmiały Neron. Na niego samego dawaliby pewnie bilion do jednego, ale ponieważ miał tego samego właściciela co Elegant, więc biegli jako jedna pozycja. Jeden właściciel, jeden zakład, tak więc on też był faworytem. Jeśli posłuchasz uważnie, to usłyszysz jeszcze wrzaski Cwaniaka.

— Cóż, dziękujemy ci za toaletę — powiedziałem.

— Nic ma za co. Być może wszystkim tu zebrany może się wydawać, że ja mam fioła na punkcie gówna, ale tak naprawdę to właśnie naprawiam błędy młodości.

— Nie rozumiem — powiedziałem.

— Spróbuj polować przez całą zimę na niedźwiedzie w Klondike, a zrozumiesz moją obsesję na punkcie domowych wygod — powiedział ze śmiechem. — W każdym razie cieszę się, że mogłem pomóc. Od dwóch lat oszczędzałem ten zakład, żeby nabrać Diggsa, i to był chyba odpowiedni moment na jego wykorzystanie.

W tym momencie Bruno zaczął się robić niespokojny, więc Monk dzielił go kilka razy po głowie i wyprowadził z namiotu, a Duży Alvin, który znowu był na straży, zabrał się za wymiatanie słomy.

Zajrzałem do Wielobarwnego Człowieka. Jego skóra miała nadal odcień bladoniebieski, ani głębszy ani żywszy niż poprzedniego wieczoru. Doglądali go teraz Rogaty Demon i Kobieta o Trzech Piersiach. Widząc wyraz ich twarzy, zorientowałem się, że moja obecność nie jest pożądana, więc poszedłem do stołu ustawionego przez Glorię i wziąłem sobie kubek kawy.

— Interesujący napój — rzekł Człowiek Guma, który stał obok i również pił kawę.

— Co się pije w twoim świecie?

— Nic umiałbym tego opisać najlepiej — powiedział. — Nic macie na to analogicznych określeń.

— Czy możesz mi coś opowiedzieć o swoim świecie?

— To świat jak każdy inny.

— Nigdy żadnego nie widziałem — powiedziałem.

— Mieszkają w nim ludzie, jedni dobrzy, drudzy źli. Żyjemy i umieramy, kochamy się i nienawidzimy, mamy swoje kultury i boimy się. Staramy się przeżyć każdy dzień tak, by nie wyrządzić nieodwracalnej krzywdy tym, na którym nam zależy.

— Ale jak on wygląda? — spytałem.

— To są same rekwizyty — powiedział i wykonał ruch, który przypominał wzruszenie ramion, lecz ogarnął całe jego ciało, łącznie z pozbawionymi kości palcami u nóg. — Myślałem, że ty, w odróżnieniu od innych ludzi, uważasz cechy fizyczne za nieważne.

— Ale zwiedzanie innych światów — nalegałem. — To musi być...

— To są tylko sceny. Ważni są aktorzy.

— Dlaczego postanowiliście przylecieć tutaj?

Znowu wzruszył ramionami, w równie niepokojący sposób.

— Bo wy tu byliście. Bo nigdy tu nie byłem. Bo chciałem wiedzieć, jacy jesteście.

— A czy bardzo się różnimy od tych, których już znacie? — spytałem.

Pokręcił głową, a ja przez chwilę myślałem, że zaraz mu odpadnie.

— Nie. Ludzie są ludźmi. Mają swoje potrzeby i pragnienia, żądze i lęki. Muszę jednak wyznać, że ty jesteś dla mnie zagadką.

— Ja?

— Tak. Dlaczego jesteś taki zadowolony, kiedy on cię wykorzystuje?

— On? Masz na myśli Thaddeusa?

— Tak.

— Innych ludzi też wykorzystuje. Dlaczego wyróżniłeś mnie?

— Bo oni go nie znoszą, a ty go tolerujesz.

— Czy lubisz występować jako dziwoląg? — spytałem.

— Jest to kamuflaż, który daje się zaakceptować.

— Ale nie chciałbyś tego robić przez całe życie?

— Nie — odparł stanowczo.

— Ja też nie — odparłem. — Mam tutaj dom. To jest moja rodzina. Jestem jej częścią. Nawet widzowie tak mnie traktują.

— Rozumiem — odparł Człowiek Guma. — Ale dlaczego musisz być z Flintem? Dlaczego nie przyłączysz się do innego cyrku, innego gabinetu osobliwości?

— Bo nie opuszcza się rodziny tylko dlatego, że ktoś inny należy do szczęśliwszej — wyjaśniłem. To wydawało się znacznie bardziej przekonujące,

kiedy o tym myślałem niż kiedy wreszcie wydobyłem z siebie słowa. Jak powiedzieć pozbawionemu kości człowiekowi, którego dom jest oddalony o całą połowę galaktyki, co to znaczy znaleźć wreszcie własny dom?

Człowiek Guma obdarzył mnie spojrzeniem, którym dał do zrozumienia, że jestem jeszcze dziwniejszy niż przypuszczał, i odszedł do swoich towarzyszy.

Kilka minut później Duży Alvin i Wielkolud zaprowadzili ich na podwyższenia, a kiedy usłyszałem głos Thaddeusa dobiegający do namiotu sypialnego, poczułem oburzenie na myśl o tym, że Człowiek Guma nic potrafił mnie zrozumieć. I poczułem też coś innego: poczułem tę więź, która łączyła mnie z Thaddeusem Flintem i jego światem — moim światem — z jego niezliczonymi odmianami groteski. To była lina ratunkowa, dzięki której miałem komfort i środki do życia i wiedziałem, że nic nie jest w stanie zerwać moich zaciśniętych na niej palców.

I wtedy pomyślałem o Thaddeusie, poganianym przez nie wiadomo jakie diabły, które uczyniły go tym, kim jest. Wszyscy jesteśmy więźniami naszych pragnień, a ponieważ pragnienia Thaddeusa były znacznie większe od moich, Almy, Monka czy kogokolwiek innego, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że on ściska swój koniec liny mocniej niż my.

ROZDZIAŁ 7

W ciągu trzech dni Wielobarwny Człowiek wydobrał na tyle, że można go było pokazywać razem z pozostałymi kosmitami, choć pan Ahasuerus powiedział mi, że barwa jego skóry nie jest ani trochę tak żywa jak przed chorobą. Kobieta o Trzech Piersiach, kiedy już zrozumiała, co chciał z nią zrobić Thaddeus, stała się o wiele skromniejsza w obecności widzów i wręcz dziewczyna przy Thaddeusie. Pozostali pogodzili się ze swym losem, jedni z goryczą, inni z rezygnacją. Myślę, że wszyscy czekali, aż pan Ahasuerus wyciągnie jakiegoś królika z kapelusza i ich uwolni, ale Niebieski Człowiek wyraźnie nie miał ani chęci, ani zdolności do podjęcia jakiegoś działania. Poza tym tak samo jak oni, był uwięziony na obcej planecie i bardzo wątpię, czy znalazłby drogę do statku kosmicznego, obywając się przy tym bez pomocy tubylców —

a z doświadczenia wiedziałem, że ludzie prędzej zapłacą duże pieniądze, żeby móc się gapić na kogoś odmiennego, niż zdecydują się mu pomóc za darmo.

Po kilku dniach Pszczółka stwierdziła, że nasze „dziwolągi” — nikt prócz Thaddeusa i mnie nie wiedział, kim oni są — bardziej potrzebują kucharki niż nasze nagie tancerki kostiumologa. Ustawiła więc turystyczną kuchnię w namiocie sypialnym i zabrała się za przygotowywanie posiłków, dzięki czemu jakość jedzenia, podawanego kosmitom, poprawiła się w znacznym stopniu.

Dzień, w którym Wielobarwny Człowiek zaczął ponownie występować, był dniem wy-płaty i kiedy cyrk został już zamknięty, a kosmici ułożeni do snu, poszedłem do przyczepy Thaddeusa, aby odebrać swoje pieniądze. Kiedy wszedłem, zastałem u niego Jupitera Monka i Billybucka Dancera. Pili piwo, rozmawiali, Thaddeus namówił mnie, żebym się do nich przyłączył.

Widziałem, że Thaddeus jest w dobrym nastroju. Podczas ostatnich czterech dni zebrał więcej pieniędzy niż kiedykolwiek widział na oczy, więc cały czas błogo się uśmiechał. Monk natomiast opowiadał zabawne historie, które mu się przydarzyły podczas pierwszej wyprawy łowieckiej.

— W pewnym ogrodzie zoologicznym potrzebowali piętnaście gibbonów — mówił Monk — ale polowanie było obłożone tyloma zakazami, że nie mogłem mieć przy sobie nawet strzelby. Autentycznie. Wytropiłem w końcu dużą rodzinę gibbonów i już zacząłem wydawać rozkazy moim tragarzom i naganiaczom, gdy oni mi w zamian zaserwowali wykład z filozofii marksistowskiej i zorganizowali strajk. Negocjowaliśmy przez dwa dni, potem się zabrali i odjechali. Zostawili mi tylko ciężarówkę, kilka drewnianych klatek i mój własny zapas alkoholu.

— Więc w takiej sytuacji umyśliłem sobie, że jedyne, co mogę zrobić, to upić gibbony. Przygotowałem ogromną kadź z owocowym ponczem, dolałem do tego kilkanaście setek wódki i wystawiłem to dla nich. Czekałem cały dzień, ale w końcu podeszły, napiły się i po kilku godzinach całe to cholerne stado było tak pijane, że nie mogło ustać o własnych nogach. Potem wystarczyło je tylko wrzucać do klatek.

— Pozwoliły ci to zrobić? — spytałem.

— Cóż, niektóre z nich były tak pijane, że miały w nosie, co z nimi robię. Inne chciały się bić, ale ja byłem trzeźwy, a one pijane. Oberwałem nawet całkiem nieźle, ale minęło zaledwie pół dnia, jak miałem swoje piętnaście gibbonów. Dostarczyłem je i dostałem zamówienie na jeszcze dziesięć, więc się

skumałem ze starym naganiaczem, facetem, który nie słyszał o Marksie, Engelsie czy Lumumbie. Znajdujemy już te gibbony i wtedy ja wyciągam apteczkę i tłumaczę mu, jak ma mnie bandażować, kiedy już je powpycham do klatek, a on się tak jakby uśmiecha i mówi, że ludzie upijali mały od stuleci, ale ja jestem pierwszym facetem, który woli się z nimi siłować, zamiast wsadzić im drinki od razu do klatek! Zrobiliśmy to więc i po godzinie mieliśmy sprawę z głowy.

Thaddeus śmiał się tak serdecznie, że tylko czekałem, kiedy rozleje swoje piwo. Dancer uśmiechał się uprzejmie, ale jak zwykle miałem wrażenie, że myślami powędrował gdzieś bardzo daleko w przeszłość.

— A może ty coś opowiesz, Dancer? — powiedział Monk. — Strzelałeś kiedy do zwierząt z tych swoich pistoletów z perłową rękojeścią?

— Nie strzelałem do zwierząt — odparł, zaciągając śpiwnym, teksaskim akcentem.

— To co ci po umiejętności strzelania, jeśli nie polujesz? — dopytywał się Monk.

— Nie lubię strzelać do stworzeń, które nie mają szansy się bronić — oświadczył Dancer.

— Hej, Dancer — spytał Thaddeus — czy to prawda, że zastrzeliłeś w pojedynku jakiegoś bandytę w Południowej Ameryce?

Dancer wymijająco wzruszył ramionami.

— Cóż, ja na twoim miejscu, na pewno bym się tym chwalił — powiedział Thaddeus. — Jak ktoś jest najlepszy, to na pewno chce, żeby wszyscy o tym wiedzieli.

— Jeśli ktoś jest najlepszy — powiedział uprzejmie Dancer — to na pewno go nie obchodzi, co myślą inni.

— A ciebie co obchodzi? — spytał Thaddeus. — Na pewno nie pieniądze. — Spojrzał na nas. — Wiecie, że ja co tydzień wysyłam wypłatę Dancera jego matce?

Znowu się roześmiał, ale coś w wyrazie twarzy Dancera kazało mu spoważnieć.

— Dajesz mi wyżywienie, spanie, płacisz za moje naboje — powiedział Dancer po długiej, niemiłej ciszy. — Po co mi pieniądze?

— Każdy potrzebuje pieniędzy — odparł zapalczywym tonem Thaddeus. Dancer pokręcił głową.

— Każdy pragnie pieniędzy, a to nie to samo, Thaddeus. Co byś zrobił, gdybyś miał tyle pieniędzy, ile chcesz?

— Rzuciłbym ten interes w cholerę — odparł z przekonaniem Thaddeus.

— Nic, nic zrobiłbyś tego, Thaddeus — powiedział Dancer.

— Czyżby?

— Lubisz zdzierać forszę z ludzi i uwielbiasz udawać Boga — ciągnął Dancer. — Pieniądze są tylko wyznacznikiem tego, czy dobrze ci to wychodzi.

Thaddeus przez dłuższą chwilę wpatrywał się w swoją szklankę. Teraz przyszła na niego kolej, by wzruszyć ramionami.

— Może masz rację. Znaczy się, jeśli chodzi o zostanie w cyrku. Ale nie w sprawie pieniędzy. Czy jest coś innego, oprócz pieniędzy, za co można sobie kupić babkę z klasą?

— Babka z klasą oskubałaby cię szybciej niż Dancer wyciąga broń — zaśmiał się Monk. — Nie każdy jest taki wyrozumiały jak Alma, albo taki naiwny, jak te miejscowe, które tu przywlekasz, Thaddeus.

Thaddeus parsknął chrapliwym, pełnym pogardy śmiechem.

— Nie wszystkie kobiety dają sobą pomiatać — przekonywał go Monk.

Thaddeus popatrzył ze złością na Mońka i Dancera, a potem nagle spojrział na mnie.

— A ty? spytał podniesionym tonem.

— Co ja? — spytałem.

— Wszyscy się na mnie uwzięli. A ty?

— Sądzę, że traktujesz kobiety tak samo jak mężczyzn — powiedziałem ostrożnie.

— Trafieś w samo sedno — rzekł Monk z uśmiechem. — Toż, naprawdę szkoda, że jesteś takim kurduplem z przyrośniętym językiem. Powinni cię zatrudnić w Departamencie Stanu.

— On pracuje jako mój ambasador w namiocie dziwołągów — powiedział Thaddeus.

— A skoro mowa o dziwołągach, to jak im leci? — spytał Monk. — Od kilku dni nie miałem okazji, żeby do nich wpaść.

— W porządku — odparłem.

— A jak z tym Tęczowym Człowiekiem?

— Już mu lepiej.

— Ty — powiedział Monk — to całkiem niezłe imię dla niego.

— Tęczowy Człowiek? — powtórzył Thaddeus, rozważając ten pomysł.

— Och nie dla widzów — rzekł pośpiesznie Monk. — Jak go nie nazwiesz, dla nich to będzie jednakowo dobre. Ale zakładając, że nie masz zamiaru zwracać dziwolągów panu Ahasuerusowi — urwał, czekając, co usłyszy, ale Thaddeus nie zareagował — powinniśmy im dać cyrkowe imiona. No bo kto do diabła pójdzie i powie: Jak ci leci, Człowieku Gumo? Uważam, że powinniśmy nazwać chorego Tęcza.

— Mnie to pasuje — stwierdził Thaddeus. — A co z Człowiekiem Gumą?

— To łatwe: Guma — odparł Monk.

— Może oni już mają swoje imiona — zauważyłem.

— Może wszyscy je mamy — powiedział Monk. — Czy ty naprawdę masz na imię Tojo?

— Teraz tak — odparłem.

— Ja się teraz nazywam Jupiter — powiedział Monk. — Więc co złego, jeśli damy dziwolągom nowe imiona?

— Wszystkim z wyjątkiem Niebieskiego Człowieka — oświadczył Thaddeus.

— Znasz jego imię? — spytał Monk.

— Nie — odparł Thaddeus. — Nie chcę tylko, żebyście z nim rozmawiali.

No i przez pół godziny wymyślali różne przezwiska, ja tylko słuchałem, a Dancer wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w przestrzeń. W końcu wymyślili siedem nowych imion. Mieli już Tęczę i Gumę, a potem Chłopiec o Psim Pysku został Snoopym, Ludzka Poduszczyka do Igieł Kaktusem, Brakujące Ogniwo King Kongiem, Rogaty Demon Scratchem (chyba od Old Scratcha czyli Starego Szpona, jak gdzieniegdzie nazywa się diabła — zgodzili się przy tym tak szybko, że nie zdołałem się zorientować, skąd to się wzięło). Cyklop, jak nakazywała typowa cyrkowa logika został Sokolim Okiem, Człowiek Jaszczur Aligatorem Albertem (Monk był zagorzałym wielbicielem „Pogo”, mimo że ten komiks przestał wychodzić wiele lat temu, i raz nawet pokazał mi zeszyt, w którym miał powklejane wszystkie odcinki z trzech lat), a Sfinksa nazwano Numą (choć Thaddeus uważał, że bardziej przypomina konia niż lwa i chciał go nawet nazwać Postrachem z Seattle — ustąpił dopiero wtedy, gdy Monk mu wyjaśnił, co to jest Sfinks).

Zostały jeszcze dwie kobiety.

— Kiedy patrzysz na głowę Kobiety Słonia, co ci przychodzi do głowy? — spytał Monk.

— Że to jakiś koszmarny sen — odparł Thaddeus.

— No to kiedy na nią znowu spojrzysz, to pomyśl o arbuzie — powiedział Monk.

— Tak, rozumiem — zgodził się Thaddeus.

— Więc może nazwalibyśmy ją Melon?

— Kiepsko — powiedział Thaddeus, kręcąc głową. — Melony to ja widzę, kiedy patrzę na Kobietę o Trzech Piersiach.

— Masz rację — stwierdził Monk. — Ej, Dancer, co o tym myślisz?

Obydwaj spojrzeli na Dancera, ale ten wpatrywał się w jakąś wizję, dostrzegalną tylko dla niego, i zupełnie nie zwracał uwagi na to, co się do niego mówi.

— Jest z nim gorzej niż zwykle — zauważył Thaddeus.

— Zostaw go — odparł Monk. — Wszyscy próbujemy zapomnieć, że jesteśmy w cyrku. Jemu po prostu udaje się to lepiej niż pozostałym.

— Kiedy byłem młody i mieszkalem w Kalifornii, miałem takiego kumpla, który był do niego podobny — powiedział Thaddeus. — Któregoś dnia po prostu przestał jeść, mówić i ruszać się. Musieli go odwieźć do domu bez klamek. To znaczy po prostu zabrali go tak jak stał i zanieśli. W ogóle nie wiedział, co się z nim dzieje.

— Urodziłeś się w Kalifornii? — spytał Monk, porzucając temat transu Dancera.

— Tak. Nie wyczujesz chłopaka z plaży, kiedy go widzisz?

— Czym się zajmowali twoi rodzice?

— Rozwiedli się. Matka była pielęgniarką, a ojca nigdy dobrze nie poznałem.

— Umarł? — spytał Monk.

— Chyba tak. ZPA.

— Co to znaczy?

— Wietnam. Skrót od „zaginął podczas akcji”. Nigdy się nie dowiedzieli, co się z nim stało. Tylko przystali zawiadomienie.

— Ciężka sprawa — powiedział Monk. — Czy w Kalifornii są cyrki?

— Nie takie — odparł Thaddeus.

— Odkąd mamy dziwolągi, nic wyobrażam sobie, żeby ktoś miał podobny.

— Nie o tym mówię — odparł Thaddeus. — Mają gry i diabelskie koła, ale to wszystko jest jakieś takie wymyte, chyba rozumiesz, co mam na myśli? Trzeba być konkurencyjnym wobec Disneylandu.

— Żadnych rozbieranek?

— Żadnych. Dziwne, co? Przecież powinni dojść do tego, że będą konkurencyjni, jeśli pokażą to, czego nie ma w Disneylandzie, jak na przykład dziewczyny rozbierające się w tańcu albo pokazy dziwołągów.

— Może powinniśmy pojechać do Kalifornii — zaproponował Monk.

— Za dużo glin do przepłacania — powiedział Thaddeus.

— Masz teraz dziwołagi — zauważył Monk. — Mógłbyś się pozbyć dziewczyn i jechać tam legalnie.

Twarz Thaddeusa przybrała dziwny wyraz, jakby rzeczywiście to rozważał. Jednak po krótkiej chwili otrząsnął się z zamyślenia.

— Za dużo problemów — zawyrokował w końcu, a ja wiedziałem, że myśli o panu Ahasuerusie. — Poza tym dziewczyny ściągają więcej forsy niż ty i Dancer.

— Cóż, czasy mojej świetności minęły, ale odważę się stwierdzić, że gdyby Billybuck pozwolił damom robić z sobą to, co faceci robią ze stripteaserkami, zarobiłyby dokładnie tyle, co one.

Zerknąłem ukradkiem na Dancera, ale on nadal nie słuchał tego, co się mówi.

— Pewnie wszystkie by zastrzelił — odparł Thaddeus i zaśmiał się ochryple. — Ciekaw jestem, gdzie się tak nauczył strzelać.

— Może go zapytasz? — zaproponował Monk.

— Przyjrzyj mu się — powiedział Thaddeus. — On jest teraz w Dodge City albo Tombstone, broni panienki z dobrych domów i ich ciotki, stare panny, przed Braćmi Clayton.

Nie założyłbym się, że tak nie jest. Znowu patrzył nieobecny wzrokiem, wzrokiem marzyciela przy pracy. Moim zdaniem nasza praca robi z nas wszystkich marzycieli, z tym, że Dancer jest na to znacznie bardziej podatny. Ale w końcu Monk marzy o tym, by pracować na głównej arenie prawdziwego cyrku, Alma marzy o szacunku, Thaddeus marzy o Bóg wie czym. A ja... ja marzę o tym, że mam sześć stóp wzrostu i doskonałą dykcję. I wszystkich nas łączy wyłącznie to, że żadne z nas nigdy nie zrealizuje swoich marzeń.

— No, muszę iść i posprzątać po swoich zwierzętach — oświadczył Monk, wychylając ostatni łyk i odstawiając pustą szklankę na stół.

— Zabierz z sobą naszego Dzikiego Billa Hickoka — powiedział Thaddeus.

Monk szturchnął Dancera w ramię, a ten wstał z tą samą zwierzęcą gracją, z jaką poruszają się lamparty.

— Dziękuję za piwo, Thaddeus — powiedział, odruchowo dotykając swojego stetsona, i wyszedł. Monk tylko się zaśmiał, potrząsnął głową i ruszył w ślad za nim.

— A co z tobą? — spytał mnie Thaddeus. — Czy wszystkie twoje zwierzęta są czyste?

— Oni nie są zwierzętami — zaprotestowałem.

— A co z Kobietą Słoniem? Czy wymyśliliście już sposób, jak ją wykapać?

— Tak. Poprosiłem Glorię, żeby zajrzała do sklepu zoologicznego, kiedy szła do miasta na zakupy. Kupiła suchy szampon dla psów.

— Bardzo dobrze — pochwalił Thaddeus.

— Dziwię się, że w ogóle cię to obchodzi — odparłem.

Wyraźnie się zmieszał.

— Muszę chronić swoją inwestycję — zapewnił mnie pośpiesznie.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, ale widząc jego nastrój, czułem, że ma jeszcze ochotę na rozmowę. Zdawałem sobie sprawę, że o ile naprawdę tak jest, to jeśli będę chciał wyjść, nie zastanawiając się dwa razy, siłą zmusi mnie do zostania.

— Nigdy nie mówiłeś, że pochodzisz z Kalifornii — powiedziałem, żeby podtrzymać rozmowę.

— Tak trudno w to uwierzyć?

— Nie. Po prostu nigdy nie opowiadałeś o swojej przeszłości.

— Nie jest ważna — powiedział. — Liczy się tylko dziś i jutro. Kiedy zaczniesz myśleć o wczoraj, na pewno skończysz jak Dancer.

— Dobrze się tam żyło?

— Było cieplej — powiedział z uśmiechem. — A dziewczyny, cóż, piosenka nie kłamie. Lubiałem leżeć na plaży i patrzeć, jak przechodzą obok, kołysząc biodrami, wylewającymi się z bikini. Dobrze się tam mieszka. Powiem ci coś, Tojo: kalifornijskie dziewczęta nigdy nic mówią nie. Nigdy, przenigdy.

Oparł się wygodniej, przymknął powieki, a na twarzy miał taki uśmiech, jakby na nowo przeżywał chwile spędzone na plaży.

Nagle wyprostował się.

— Powiem ci coś jeszcze: żadnej byś nigdy nie namówił do zdejmowania majtek na scenie. One mają prawdziwą klasę.

— Nie powinieneś tak mówić o naszym pokazie striptease'u — zaprotestowałem. — Alma i pozostałe dziewczyny to porządne kobiety, a poza tym zarabiają na ciebie.

— Patrzysz na to ze złej strony, Tojo — powiedział. — Któregoś dnia przez to zwariujesz.

— Dlaczego tak mówisz?

Porządne kobiety nie robią tego, co one, żeby zarobić na życie — powiedział wolno, upijając duży łyk z butelki. — Słyszałeś, jak o tym mówią. Jakby to one były widzami, a widownia robiła przedstawienie. Tylko w ten sposób mogą żyć: żeby nie oszaleć, pozbywają się wszystkich emocji. Ty musisz postępować tak samo. Gdy zaczniesz je uważać za porządne kobiety, to potem stwierdzisz, że nie mogą już tak pracować jak teraz, a wtedy co się stanie z nami wszystkimi? — Nagle na jego twarzy pojawiło się zażenowanie, jakby powiedział więcej niż chciał. — Gadaj o czymś innym, ty przeklęty karle — powiedział z irytacją. — I przestań się tak na mnie gapić.

— O czym chcesz rozmawiać, Thaddeus? — spytałem.

— Nie wiem. Co porabiają dziwolągi?

— Są nieszczęśliwi. I nie są dziwolągami, tylko kosmitami.

— Jak sobie chcesz — mruknął. Dopił swoje piwo i otworzył następne. — Jak myślisz, po cholere tu przylecieli? No bo tam, gdzie żyli, nie mogło być tak wszawo jak tutaj.

— Z ciekawości — odparłem.

— Tak jak dziewczyny — powiedział. — Też pozwalają widowni, by występowała przed nimi.

Zmarszczył brwi, a ja zauważyłem, że używając tego porównania niechcący posunął się za daleko i pojąłem, że zmuszał się, by traktować ich tak, jak traktował stripteaserki.

— Wiesz, jesteś dziś wyjątkowo lichym towarzystwem — stwierdził.

— Przepraszam.

Wstał chwiejnie.

— Chyba poszukam Almę i sprowadzę ją tutaj — obieścił.

— Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł — powiedziałem.

— Czemu nie, do diabła?

— Jest wściekła na ciebie.

— Wielka sprawa — powiedział. — Ona jest wiecznie na mnie wściekła.

— Tym razem jest inaczej.

— Zawsze jest inaczej — stwierdził i zataczając się podszedł do wyjścia.

Poszedłem za nim i zasłoniłem sobą drzwi.

— Nie rób tego, Thaddeus — powiedziałem.

— Ty coś ukrywasz, ty pchło — powiedział. — O co chodzi?

- O nic.
- Gadaj zaraz! — wrzasnął.
- Spędza noc w przyczepie Pszczółki — powiedział cicho.
- Chcesz mi wmówić, że ona jest lesbą? — spytał i wybuchnął ostrym, donośnym śmiechem. — Bo tak się składa, że ja wiem, że nie jest.
- Nie — odparłem. — Chcę ci powiedzieć, że czuje się zraniona i samotna i że znalazła sposób, by nie odczuwać tego tak boleśnie.
- Znowu zmarszczył brew i przez chwilę myślałem, że zaraz mnie uderzy. Potem westchnął ciężko i usiadł z powrotem na krześle.
- Ty naprawdę nie żartujesz — powiedział cicho, po dłuższej chwili wpatrywania się w okno.
- Nie, Thaddeus.
- Aż tak bardzo mnie nienawidzi?
- To nie jest sprawa miłości czy nienawiści — powiedziałem. — To sprawa pragnień.
- Ale Pszczółka, na miłość boską?
- Pszczółce na niej zależy.
- Pszczółka może sobie na to pozwolić — powiedział z goryczą w głosie.
- Siedzieliśmy w milczeniu przez jakiś czas. Thaddeus wypił jeszcze dwa piwa i napoczął butelkę żyta. W końcu prawie bez ostrzeżenia zasnął.
- Wiedziałem, że nie jestem dostatecznie silny, by go zanieść czy nawet zawlec do sypialni, więc nakryłem go kocem, pogasiłem światła i wróciłem do namiotu sypialnego, zastanawiając się, czy śni mu się Alma czy też złotoskóre kalifornijskie dziewczęta w smakowitych bikini, z delikatnie rozkołysanymi piersiami i wstydliwymi rumieńcami, które rodziły się i umierały nie wiedząc, że kiedykolwiek żył ktoś taki jak Alma.

ROZDZIAŁ 8

Cyklop — myślę, że lepiej, jeśli odtąd zacznę go tak jak wszyscy nazywać Sokole Oko — bardzo się rozchorował następnego ranka.

Pan Ahasuerus obudził mnie przed świtem, przepraszając, że niepokoi i zaprowadził do Sokolego Oka. Nie musiałem być lekarzem z innej planety, by stwierdzić, że jest z nim źle. Trząsał się gwałtownie, miał zmętniałe tętno, obłożony język, ciało złane potem i rozpalone.

— Od jak dawna jest w takim stanie? — spytałem.

— Od jakichś dwóch godzin powiedział pan Ahasuerus.

Nie chciałem cię niepokoić, ale sprawa wygląda zbyt poważnie, żeby go tak zostawić.

— Co mu jest?

— Myślę, że jego organizm w końcu się zbuntował przeciwko jedzeniu, którym jest karmiony — odparł pan Ahasuerus. — Kiedy ci powiedziałem, że możemy tolerować pewne ilości tutejszego jedzenia, powinienem był zaznaczyć, że cały nasz pobyt na waszej planecie nie może trwać dłużej niż czternaście dni.

— Od jak dawna tu jesteście? — spytałem.

— Tylko jedenaście dni — wyjaśnił — ale najwyraźniej na niektórych to działa znacznie gwałtowniej niż na pozostałych.

Jeszcze raz spojrzałem na Sokole Oko.

— Lepiej sprowadzę Thaddeusa — stwierdziłem i ruszyłem w stronę przycepy.

Leżał dokładnie tak, jak go zostawiłem, wyciągnięty na małe kanapie z rękoma i nogami zwisającymi bezwładnie po bokach, nakryty spłóviałym, czerwonym kocem. Obudziłem go i powiedziałem, że powinien jak najszybciej pójść do namiotu sypialnego.

Nie raz widziałem, jak przez godzinę wypełza z łóżka, kiedy ma kaca, i byłem świadkiem, jak zapada w głęboki sen, mimo że za oknem ryczy lew Monka. Nie mniej jednak wystarczyła wzmianka, że w cyrku dzieje się coś złego, a wstawał i przytomniał w ciągu dziesięciu sekund. Dzisiaj też ubrał się, opryskał twarz zimną wodą i nawet nie założył kurtki, tylko pobiegł przez pokryty śniegiem główny plac do namiotu kosmitów, nie mówiąc ani słowa. Chyba myślał, że pan Ahasuerus wszczął bunt albo coś takiego, bo zdziwił się, że nie zastał żadnego poruszenia.

— Co się dzieje? — spytał mnie.

— Sokole Oko jest chory — powiedziałem.

- Który to, do diabła?
- Cyklop. Sam go tak nazwałeś ubiegłego wieczoru.
- A tak, racja. — Podeszedł do Sokolego Oka, potem spojrzał na pana Ahasuerusa.
- Bardzo z nim źle? — spytał ostrym tonem.
- Nie wiem — odparł pan Ahasuerus.
- Czemu nie do diabła? — zachnął się Thaddeus. — To pan jesteście przewodnikiem tej cholernej wycieczki, czy tak?
- Nie jestem lekarzem — odparł pan Ahasuerus. — A on potrzebuje lekarza.
- Cóż, tak się składa, że nie mamy żadnych lekarzy specjalizujących się w leczeniu jednookich ludzi z Marsa — powiedział Thaddeus. Wziął rękę Sokolego Oka i zmierzył mu puls. — Jakie jest normalne tętno tego faceta?
- Nie mam pojęcia — odparł Niebieski Człowiek.
- Czy jest coś, co pan wie na jego temat? — spytał z pogardą Thaddeus.
- Myślę, że rozchorował się od tutejszego jedzenia.
- Zauważyłem, że nikt inny się od niego nie rozchorował — oświadczył Thaddeus. — Czy może wszyscy zamierzacie dostać piany na ustach i mdleć?
- Każdy jest inny — odparł pan Thaddeus. — To obce środowisko. Oddziałuje na nas w różny sposób.
- Thaddeus puścił dłoń Sokolego Oka i zmarszczył brwi.
- Dowiedz się, czego on potrzebuje, to postaramy się to dostarczyć.
- Potrzebuje wolności — syknął Aligator Albert.
- Wolności się nie je — odparł zimno Thaddeus. Spojrzał na pana Ahasuerusa. — Niech się pan dowie, co to jest: potas, jod, bita śmietana, cokolwiek.
- A jeśli nie jest w stanie sam stwierdzić? — spytał pan Ahasuerus.
- Wtedy będzie pan musiał zdecydować, kto ponosi większą odpowiedzialność, pan czy ja — rzekł Thaddeus.
- Odwrócił się i ruszył do wyjścia. Podreptałem za nim i złapałem go jeszcze na progu.
- Thaddeus, ja myślę, że on umiera — powiedziałem.
- Gówno prawda — odparł Thaddeus. — Brzuch go tylko boli.
- Ale...
- Posłuchaj — powiedział — gdyby nasze jedzenie mogło go zabić natychmiast, już by nie żył. Jeśli zabija go powoli, to znaczy, że popełnił samobójstwo i nie możemy nic zrobić, żeby temu zapobiec. Ale jeśli naprawdę

chciał popełnić samobójstwo, to próbowałby to zrobić już wcześniej, więc teraz boli go brzuch. To jest pewnie tak, jak ktoś je za dużo: jeden posiłek jest okay, trzy są okay, a po dwudziestu pod rząd, żałujesz żeś nie skonał. Dowiedz się, czego on potrzebuje i daj mu to. I na litość Boską, nie pozwól mu jeść jedzenia Pszczółki, kiedy już wyzdrowieje.

— Mam nadzieję, że masz rację — powiedziałem.

— Mam — odparł z przekonaniem. — Powiem ci, ty mały draniu, chcę żeby najpóźniej jutro wieczorem znowu występował.

Okazało się, że Sokole Oko potrzebuje ogromnych ilości żelaza i sodu. Kiedy pan Ahasuerus przekazał mi tę informację, poprosiłem Glorię, żeby kupiła cały zapas i po kilku godzinach stan Cyklopa wyraźnie się poprawił.

Przez następne dwa dni wszystko szło gładko. Potem przeżyliśmy pierwszą tej zimy zamieć śnieżną. Wiatr wiał z prędkością pięćdziesięciu mil na godzinę, wszędzie gromadziły się śnieżne zasy i musieliśmy zamykać cyrk przed zapadnięciem zmierzchu.

W nocy zerwała się jedna z linii zasilania prądu. Miejscowi monterzy naprawili ją po kilku godzinach, ale do tego czasu Tęcza zrobił się znowu bladoniebieski.

— Czemu do diabła zgodziłeś się go zabrać? — spytał Thaddeus pana Ahasuerusa, obejrawszy Wielobarwnego Człowieka. — Niech mnie jasna cholera, jeśli widać w nim jakieś oznaki życia.

— W normalnych okolicznościach nic by mu się nie stało — powiedział cicho pan Ahasuerus.

Thaddeus obdarzył go groźnym spojrzeniem.

— Śnieg mógł zacząć padać już tydzień temu — oświadczył.

— Ale nie zaczął — odparł pan Ahasuerus.

Thaddeus spojrzał na mnie.

— Idź do dziewczyn i zobacz, czy któraś z nich ma elektryczny koc. Jeśli nie, to przynieś kilka butelek z gorącą wodą.

— Dziękuję — wymamrotał Tęcza.

— Nie potrzebuję podziękowań za ochronę własnej inwestycji — warknął Thaddeus. Rozejrzał się po namiocie. — Tęcza zostanie tutaj. Wszyscy pozostali do roboty. Zaczynamy w południe.

Wyszedł bez słowa.

Udało mi się pożyczyć elektryczny koc od Glorii, a po powrocie podłączyłem go do sieci i pokazałem Tęczy, jak używać przełączników. Dochodziło

wpół do jedenastej, postanowiłem zjeść śniadanie przed rozpoczęciem występów.

— Nie rozumiem go — powiedział Scratch, siadając obok mnie, gdy jadłem jajka na bekonie usmażone przez Pszczółkę.

Zwalczyłem w sobie odruch, nakazujący mi odsunąć się od niego. Podczas minionego tygodnia starałem się poznać wszystkich kosmitów, ale bałem się Scratcha. Nie tak jak pana Ahasuerusa na początku, ale w głębszy, bardziej mistyczny sposób. Był prawdopodobnie bardzo przyzwoitym człowiekiem i ktoś mi nawet mówił, że w swoim rodzinnym świecie jest matematykiem i poetą, ale z tą jego czerwonawą skórą i dwoma ogromnymi rogami, wyrastającymi z czoła do złudzenia przypominał diabła. Thaddeus dał mu ubranie z czerwonego atlasu oraz czarną pelerynę i wyglądał teraz tak, jakby naprawdę zasiadał na diabelskim tronie.

— Masz na myśli Thaddeusa? — spytałem, odsuwając się nieznacznie.

— Tak — powiedział Scratch. — Jesteś porządnym człowiekiem i nie nienawidzisz go, więc bez wątplenia ma w sobie jakieś godne podziwu cechy.

Trudno byłoby mi określić, jakie to cechy, więc tylko patrzyłem na niego i czekałem, aż znowu coś powie.

— A jednak uważam go za zbiór sprzeczności — kontynuował sataniczny kosmita. — Leczy nasze choroby, a nie chce nas uwolnić. Pozwala swojej partnerce, by wykonywała to, co w waszym społeczeństwie jest uważane za akt degradacji, ale daje się jej przekonać, że Kobieta o Trzech Piersiach nie powinna przechodzić takiego doświadczenia. Traktuje nas jak zwierzęta, ale wczoraj zagroził jednemu widzowi, że użyje fizycznej przemocy za wygłoszenie uwagi znacznie mniej obraźliwej niż te, które sam systematycznie wygłasza. Dlaczego?

Wzruszyłem ramionami.

— Nie wiem. Życie nie jest takie proste, jak kiedyś myślałem. A tak nawiasem mówiąc, Alma nie jest jego partnerką.

— Ale wydawało mi się, że mówił...

— On nie zawsze mówi prawdę — wyjaśniłem.

— Czy on nas kiedykolwiek uwolni? — spytał Scratch.

— Nie wiem — odparłem zgodnie z prawdą.

— Prędzej czy później zaczniemy umierać — stwierdził beznamiętnym tonem. — Zniszczy nas pożywienie, powietrze, temperatura, grawitacja, a

nawet stress. On spowoduje śmierć dwunastu inteligentnych istot. Czy to go nie martwi?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, więc nic nie mówiłem.

— Nie, sądzę, że nie — kontynuował. Mruknął do siebie coś, co uznałem za przekleństwo. — Tęsknię do mojej partnerki i moich dzieci. Muszę wrócić do pracy. Co ja mam robić?

— Dziwię się, że jeszcze nie próbowaliście uciec — zauważyłem najwykolejszym tonem, na jaki mnie było stać.

— W jakim celu? — spytał. — Och, przecież my jesteśmy w stanie stąd odejść, nawet gdyby Flint próbował nas zatrzymać. Ale dokąd byśmy poszli? Nigdy nie znaleźlibyśmy naszego promu i niebawem wasza rasa dowiedziałyby się o naszej obecności.

— Czy to by było takie straszne? — spytałem.

— Ja osobiście uważam, że nie, ale mówiono mi, że te nieliczne świąty, które dowie-działy się o nas, zmieniły się radykalnie i nienaturalnie z powodu tej wiedzy. Przed podjęciem tego przedsięwzięcia złożyliśmy uroczystą przysięgę, że za wszelką cenę dochowamy tajemnicy.

Nagle przestał mi się wydawać tak sataniczny.

— Pewnie wielu ludzi pomyślałoby, że jesteście diabłami — roześmiałem się.

Nie pojął tego naturalnie, więc musiałem mu wyjaśnić, co to jest diabeł. Nawet go to rozbawiło.

— W naszej religii mamy trzech diabłów — powiedział z uśmiechem. — Jeden z nich wygląda dokładnie tak jak Monk, a inny mógłby być kuzynem Almy.

— Dlatego mam nadzieję, że rozumiesz, dlaczego jestem trochę nerwowy w twojej obecności — wyznałem.

— Pewnie nie przyjrzałeś mi się zbyt uważnie, kiedy Monk wsadzał nas do klatek — powiedział Scratch. — Ze strachu tak się trząsałem, że bałem się, iż zemdleję.

— Trzy diabły — powtórzyłem — Jest się kogo bać.

— I żaden z nich nie przypomina Flinta — powiedział, spoglądając w stronę drzwi. Po chwili dodał nieobecnym głosem: — Czy to nie ciekawe?

Siedział w milczeniu jeszcze kilka chwil, po czym odszedł. Zajrzałem do Tęczy, którego samopoczucie było dalej bardzo złe, ale nic nie mogłem dla niego zrobić, więc przeszedłem się do kuchni i poprosiłem Pszczółkę o kawę.

- Ach, wrócił nasz giermek — rzuciła pogardliwie.
- Nie jestem jego giermkim, Pszczółko — powiedziałem.
- Wolisz, żebym nazywała cię lokajem? — spytała.
- Wolę, żebyś mówiła na mnie Tojo — odparłem. — To jest moje imię.
- Czy on ci je dał?
- A jeśli tak?
- Jemu całkiem nieźle idzie z wymyślaniem imion — powiedziała Pszczółka. — Mówi dziewczynie, którą ledwo co poznał, że ją kocha, a potem nazywa ją Różą Północy i każe jej wyjść na scenę, żeby robiła Bóg wie co dla bandy obrzydliwych, jełopowatych wsioków.
- Nie wiem, co chcesz ode mnie usłyszeć.
- Chcę, żebyś powiedział, że on jest złym sukinsynem, któremu powinno się obciąć jaja! — krzyknęła. — Chciałabym, żebyś choć raz mu się sprzeciwił!
- Wciąż dla niego pracujesz — zauważyłem cicho.
- Tylko dlatego, że Alma wciąż tu jest — powiedziała. — Tak jej namieszał w głowie, że już sama nie wie, czy idzie, czy stoi. Ale powiem ci jedno: niech tylko raz jeszcze tknie choć palcem moją Almę, to go zabiję!
- To ona jest teraz twoją Almą? — spytałem.
- Tak.
- I zgodziła się na to?
- Nie sprzeciwiła się. — Zaczepnie wyprostowała głowę. — Coś ci się nie podoba?
- Jeśli jest szczęśliwa, to nic — powiedziałem.
- Uczynię ją szczęśliwszą niż on, to jest pewne — zapewniła Pszczółka.
- Czy ona będzie dalej występowała?
- Jej jest obojętne, do czego ją zmuszają — powiedziała Pszczółka, a ja przez chwilę myślałem, że zaraz się rozplacze. Potem jej twarz na powrót stwardniała. — To przez Thaddeusa. Ale niech tylko zacznie ją na nowo obchodzić, odejdzie.
- Mam nadzieję — powiedziałem.
- Wiem, że masz — odparła łagodnie. — Przepraszam, Tojo. Czasami nie mogę znieść, że tak z nim trzymasz. Boże, czy ty wiesz, co to znaczy leżeć z nią w łóżku i widzieć, jak z twarzą zalaną łzami patrzy przez okno na przyczepę?
- Wiem, jak wygląda jej zalana łzami twarz — powiedziałem.
- To nie to samo.

— Nie, pewnie nic — przyznałem cicho. Podziękowałem jej za kawę i spędziłem następną godzinę przy łóżku Tęczy, obserwując czy zmienia barwę. Nic się nie zmieniło, ale odniosłem wrażenie, że jest mu trochę lepiej. W południe wyprowadziłem pozostałych kosmitów do namiotu, gdzie miał się odbyć pokaz.

Thaddeus spóźnił się dziesięć minut i wyglądał na bardzo poruszonego. Nie był taki wymowny jak zwykle i omal nie wdał się w bójkę z widzem. Wreszcie, tuż przed trzecią, powiedział Szwedowi, który sprzedawał bilety, żeby zamknął kasę, potem pośpiesznie wyprowadził ostatnią grupę widzów i kazał mi przyprowadzić kosmitów do namiotu sypialnego.

Wszedł tam minutę później, z taką miną, jakby miał zaraz zionąć ogniem z nozdrzy, strażnicy zostali na zewnątrz. Potem ustawił kosmitów w szeregu i stanął przed nimi ze złowieszczym uśmiechem.

— Właśnie odebrałem telefon z Vermont — powiedział, patrząc kolejno po ich twarzach. — Dziś rano wypuścili Romany'ego. — Umilkł na kilka sekund, po czym kontynuował. — Mówił, że jedzie nas szukać w Maine.

Nikt z kosmitów nie wypowiedział słowa komentarza, żaden się nawet nie poruszył.

— Więc zacząłem się nad tym zastanawiać — rzekł Thaddeus. — Skąd on do diabła wie, że ma nas szukać w Maine, skoro logika nakazywała, żebyśmy się skierowali na południe. Postanowiłem, że jedziemy do Maine dopiero wtedy, kiedy go aresztowali. Nie mówiłem gliniarzom, że jedziemy do Maine i jestem pewien, że żaden z was tego nie zrobił. Więc skąd on to wie-dział?

Milczenie.

— Wiedział — powiedział triumfalnie Thaddeus — bo jeden z was, wy cholerne dziwolągi, jest telepatą! To on mu powiedział, gdzie jesteśmy i daje mu wskazówki, jak ma nas szukać.

Założył ręce na piersi i spojrzał na nich groźnie.

— W porządku — powiedział. — Który to?

Nikt się nie ruszył.

— Ktoś będzie miał kłopoty — oświadczył. — To, co ma się z nim stać, stanie się na pewno, choćby miało się to stać wam wszystkim.

— Porwano nas i jesteśmy źle traktowani — przemówił w końcu pan Ahasuerus. — Nie możemy zaspokoić naszych potrzeb fizycznych i duchowych. Czym jeszcze może nam pan zagrozić?

— Nadal żyjecie — oświadczył ponuro Thaddeus. — Ale ten stan nie musi trwać wiecznie.

— Pan nas nie zabije — odparł pan Ahasuerus z krzywym uśmiechem. — Co by się stało z pańskimi zyskami?

— To zastanów się pan, czy wystawiając tylko sześciu dziwolągów, będę miał o wiele mniejszy zysk niż z dwunastu. Jak już pan znajdzie odpowiedź, to proszę mnie łaskawie powiadomić — powiedział Thaddeus.

— A pan niech się zastanowi, jak nas będzie pokazywał, jeśli na przykład zaczniemy strajk głodowy — odparł pan Ahasuerus.

— Semantyka — rzekł Thaddeus.

— Nie rozumiem.

— Czy to wy zrobicie strajk głodowy, czy to ja was skażę na głodową dietę, rezultat będzie ten sam: nie będziecie mieli całych fur żarcia.

— Będzie, co ma być — odparł Niebieski Człowiek.

— Niech pan się nad tym porządnie zastanowi — groził Thaddeus. — Jak długo, pana zdaniem, wytrzyma Tęczowy Człowiek bez jedzenia w jego obecnym stanie? Ile czasu wytrzyma Cyklop bez swoich pigułek? Chcę to wiedzieć dzisiaj! — Potem spojrzał na mnie. — Idziesz ze mną! — warknął, wyszedł z namiotu i ruszył w stronę swojej przyczepy. Nie widziałem sensu w sprzeciwianiu się, stałem więc jeszcze przez kilka sekund, po czym ruszyłem w ślad za nim.

Spodziewałem się, że zacznie wygłaszać tyrady, wściekać się i rzucać przedmiotami o ścianę, ale on tylko usiadł na kanapie z uśmiechem samozadowolenia na twarzy.

— Ale im napędziłem strachu! — zaśmiał się, zapalając papierosa.

— A nie mówiłeś tego serio? — spytałem.

— Jasne że nie! Kto będzie bulił forsę za oglądanie kupy zdychających kosmitów?

— Więc czemu to powiedziałeś?

— Trzeba im pokazać, kto jest tu szefem, Tojo — powiedział. — A poza tym, nie chciałem, żeby pomyśleli, że jestem taki głupi i nie wiem, co się dzieje.

— Ale kiedy się dowiedzą, że nie masz zamiaru nic zrobić...

— Mój Boże, jesteś równie głupi, jak oni! — rzekł z irytacją. — Naprawdę myślisz, że tak bym się wygłupiał, gdybym nie miał nad nimi przewagi?

— Nie rozumiem, o co ci chodzi — powiedziałem.

— Powiedziałem im, że chcę wiedzieć, który jest telepatą oświadczył, szczerząc zęby w uśmiechu. — I oni mi to powiedzą.

— Nigdy ci nie powiedzą — odparłem.

— Już to wiem — odparł ze śmiechem. — To na pewno jest Poduszcзка do lgieł.

— Kaktus? — spytałem. — Skąd to wiesz?

— Bo on jest jedynym, który nie mówi. Więc jak inaczej miałyby się porozumiewać?

— Więc czemu go nie oskarżyłeś?

— Jak ich skłóćę, to ich pokonam — odparł Thaddeus. — Wezmę na spytki każdego osobno. Kiedy już skończę, ogłoszę, że jeden z nich mi powiedział.

— Ale dlaczego?

— Każdy tai w sobie złość i podejrzenia — powiedział. — Dlaczego wszystko musi być skierowane przeciwko uczciwemu biznesmanowi, który tylko wykonuje swoją pracę? Trochę niezgody, trochę braku zaufania, trochę sceptycyzmu wobec braci z placu boju, a wszystko pójdzie lepiej. Kto do diabła zorganizuje rewolucję, jeśli w szeregach jest donosi-ciel?

Prawdopodobnie w głębi duszy wiedziałem to cały czas, ale w tym momencie uświadomiłem sobie bez cienia wątpliwości, że to, co czeka pana Ahasuerusa i pozostałych, znacznie przerasta ich siły.

ROZDZIAŁ 9

Thaddeus przepytał kolejno wszystkich kosmitów, potem obwieścił, że jeden z nich mu zdradził, kto jest telepatą, i zasiadł wygodnie, żeby bawić się widowiskiem. Nic nie powie-dzieli, ale poczułem, jak w namiocie wzrosło napięcie. Zdałem sobie sprawę, że pan Ahasuerus wie dokładnie, jaka jest prawda, ale z jakiegoś powodu nie próbował wyjaśnić swym towarzyszom prawdziwego scenariusza.

Stan Tęczy nie pogorszył się, ale też nie zrobiło mu się lepiej, a kiedy Sokole Oko już zupełnie wyzdrowiało, mieliśmy następnego chorego. Tym razem padło na Dynię, czyli Kobietę Słonia, tak ostatecznie nazwaną przez Monka. (To imię nawet mi się podobało: było żeńskie i jednocześnie lepiej niż inne słowa opisywało jej głowę). Okazało się, że od suchego szamponu nabawiła się ostrej wysypki, a ponieważ jej skóra miała wyjątkowo dziwną fakturę i barwę, chorowała przez dwa dni, zanim zdołaliśmy wreszcie ustalić, co jej dolega.

W pierwszym odruchu Thaddeus chciał ją umyć i nasmarować jakąś maścią, ale pan Ahasuerus zapewnił go, że Dynia zareaguje na wodę jeszcze gwałtowniej niż na szampon dla psów.

— No to czym do diabła mamy ją leczyć? — dopytywał się Thaddeus.

— Czas — odparł Niebieski Człowiek. — Myślę, że każda obca substancja, a musicie zrozumieć, że wszystkie substancje są dla niej obce, tylko rozjątrzy problem.

Nie sądzę, by Thaddeus wiedział, co znaczy „rozjątrzyć”, ale mruknął przyzwalająco i kazał Dyni zostać w namiocie dopóki się jej nie polepszy.

Ponieważ Tęcza nadal czuł się kiepsko, a Thaddeus ani razu nie pokazał na wystawie pana Ahasuerusa, z powodu choroby Dyni publiczność mogła oglądać tylko dziewięciu kosmitów. Ruch w interesie uległ pewnemu zastopowaniu. Tłumaczyłem to sobie coraz gorszą pogodą oraz faktem, że w tym miasteczku przebywaliśmy już od ponad tygodnia, lecz Thaddeus był przekonany, że nieobecność dwóch z reklamowanych dziwolągów doprowadziła niektórych ludzi do wniosku, że oglądane przez nich eksponaty były podrabiane. Uznał więc, że koniecznie muszą znowu wystąpić i odtąd spędzał wiele czasu w namiocie sypialnym, doglądając ich leczenia.

Dynia nie pozwalała mu się dotknąć i odsuwała się nawet wtedy, gdy tylko obok niej przechodził, ale Tęczy było zupełnie obojętne, kto go dogląda, jeśli od tego robiło mu się choć trochę cieplej, i kiedy któregoś wieczoru wszedłem do namiotu zastałem półnagiego i ociekającego potem Thaddeusa, który energicznie rozcierał Wielobarwnego Człowieka. Podczas tej operacji barwa skóry chorego wydawała się intensywniejsza, lecz kiedy Thaddeus odpoczywał, na powrót blakła. Przypominało to wojnę na wyczerpanie, którą Tęcza niebawem wygrał, ponieważ Thaddeus, choć silny i tryskający energią, nie był w stanie przez całą noc wcierać życia i koloru w jego ciało.

— Jak się teraz czujesz? — spytał zdyszany, kiedy wreszcie się poddał.

— Lepiej, dziękuję — odparł Tęcza, choć barwa jego skóry zaprzeczała słowom.

— To jak jest gorąco tam, gdzie ty żyjesz? — spytał Thaddeus, schwycił ręcznik i zaczął się wycierać.

— To jest dość względne — powiedział słabo Tęcza. — Dla mnie tam wcale nie jest gorąco, ale ciebie by pewnie zabiło.

— Więc po co tu w ogóle przyjechałeś? — wypytywał go dalej Thaddeus.

— Żeby zobaczyć — odparł Tęcza.

— I teraz, kiedy już zobaczyłeś, uważasz, że warto było?

— Nie — powiedział Tęcza. — Nie, nie było warto. — Spojrzał na Thaddeusa. — Czy uwolnisz nas kiedykolwiek?

— Niech to pozostanie jedną z życiowych tajemnic — odparł Thaddeus.

Założył koszulę i podszedł do mnie.

— Jeśli potem nie będziesz miał nic do roboty, to zrób mu jeszcze jeden masaż — rozkazał.

— To się na nic nie zda — odparłem. — Przyjrzyj mu się.

— Jest taka stara przypowieść o pająku, który stale usiłował przeskoczyć jakąś dziurę czy też z niej wyleźć — powiedział Thaddeus. — Nie pamiętam dokładnie, jak to szło, ale sens jest taki, że jeśli nie będziesz chciał pomóc, żeby Tęcza na nowo zaczął występować, to tak cię kopnę, że przelecisz przez cały namiot.

— W porządku, Thaddeus — odparłem. — Zrobię to.

— Wiedziałem, że to przemówi do twojej chrześcijańskiej potrzeby czynienia dobra — zaśmiał się i wyszedł z namiotu.

Natarłem Tęczę jeszcze raz tej nocy, potem następnego ranka i o dziwo po każdym masażu jego barwa ulegała wzmocnieniu.

Ponieważ przychodziło coraz mniej ludzi, Thaddeus stwierdził, że pora już ruszać w drogę. Uważał, że powinniśmy przejechać co najmniej sto mil, ponieważ Maine jest rzadko zaludnione i większość naszych gości jechała przez godzinę, aby nas obejrzeć. Zadzwonił do informacji z prognozą pogody, dowiedział się, że jest za zimno, by jechać dalej na północ i postanowił, że wracamy do Vermont. Ani razu o tym nie wspomniał, ale jestem pewien, że ta decyzja była związana z panem Romanym, szukającym nas w Maine. Najwyraźniej Kaktus nie wiedział dokładnie, gdzie jesteśmy i nie nadał odpowiedniego sygnału, bo inaczej pan Romany już by nas znalazł. Sądzę, że „okolice Maine” nie były dostatecznie dokładną informacją.

Wróciliśmy do Vermont i kiedy Diggs zdobył dla nas wymagane zezwolenie, rozbiliśmy obóz w wiejskiej okolicy. Thaddeus powiedział kosmitom, że wciąż jesteśmy w Maine, a potem pozwolił, by Kaktus „podśłuchał”, jak mówi, że naprawdę jesteśmy w New Hampshire i że teraz pan Romany już nie będzie w stanie nas znaleźć.

W namiocie sypialnym robiło się coraz brudniej, powoli wszystko niszczało. Meble, których nie konstruowano z myślą o kosmitach, łamały się. Większość dziwolągów doświadczała już kłopotów z trawieniem, a ponadto stwierdziliśmy, że zima dotarła w ślad za nami do Vermont. Wiał tak zimny wiatr, że pomimo grzejników i dmuchaw przemarzaliśmy do szpiku kości i chociaż Dynia wykazywała pewne oznaki poprawy, skóra Tęczy wciąż miała upiorny odcień jasnego błękitu.

Drugiego dnia pobytu na nowym miejscu King Kong, czyli Brakujące Ogniwo, przestał w ogóle jeść. Siedział bez ruchu na brzegu łóżka, z twarzą ukrytą w dłoniach, i za nic nie chciał się ruszyć. Przypuszczalnie fizycznie nic mu nie dolegało — przynajmniej niczego nie dostrzegliśmy — toteż w końcu Thaddeus postanowił, że jest wystarczająco zdrowy, by pracować. King Kong jednak nie zareagował na polecenie Thaddeusa, więc Duży Alvin musiał go tam zaciągnąć, a właściwie zanieść.

Gdy po pierwszym pokazie Thaddeus kazał Alwinowi sprowadzić go z powrotem do namiotu, ponownie padł na łóżko i odtąd leżał na nim bez ruchu. Thaddeus skończył pracę dopiero późnym popołudniem, kiedy tłumy widzów już się rozeszły. Po chwili był już w namiocie i natychmiast podszedł do King Konga.

— W porządku! — wrzasnął. — Gadaj! Co chcesz przez to osiągnąć, do cholery?

King Kong nie odpowiedział.

— Przecież nic ci, do diabła, nie jest! — ciągnął Thaddeus. Schwycił King Konga za ramiona i silnie nim potrząsnął. — Przyznaj się, ty pieprzona małpo! Jesteś równie zdrowy jak ja!

King Kong nie próbował się uwolnić, lecz tylko patrzył w rozwścieczone oczy Thaddeusa z wyrazem, który na jego dziwacznej twarzy mógł oznaczać wszystko, począwszy od rezygnacji a skończywszy na nudzie.

— Posłuchajcie mnie wszyscy! — zawył Thaddeus co sił w płucach i wszyscy kosmici spojrzeli na niego. — Pozwoliłem Dyni i Tęczy zostać tutaj na czas choroby, a tu nagle ta małpa chce mi wyciąć jakiś numer! To cała nagroda za to,

że jestem takim zgodnym człowiekiem. Jeśli wy, pieprzone dziwadła, myślicie, że uda wam się z takimi chwytami, to czeka was niespodzianka. Albo King Kong będzie jutro pracował, albo może sobie zostać i się boczyć w namiocie, a za niego pójda Tęcza i Dynia.

— Zabijesz ich — ostrzegł go pan Ahasuerus.

— Nie ja, przyjacielu — wściekł się Thaddeus. — Jeśli Tęcza wyjdzie się pokazać i zmieni się w sine truchło, to będziecie wiedzieli, kogo winić. Winny leży tu, na swoim łóżku. Słyszysz mnie, małpoludzie? Ja ci dam żarcie, spanie i lekarstwa, kiedy będziesz tego potrzebował, ale ty będziesz pracował tak ciężko jak ja, bo inaczej pożałujesz. Nie ma trzeciego rozwiązania.

Wyszedł z namiotu, a pan Ahasuerus stanął obok King Konga. Pozostali kosmici pilnie odwrócili się w inną stronę.

— O co chodzi? — spytał łagodnie Niebieski Człowiek.

— Nie mogę dłużej tolerować tej sytuacji — powiedział Brakujące Ogniwo. — Pozwólcie, żeby mnie zabił, jeśli chce. Patrzę na niebo i nawet nie mogę się doszukać swojej rodzinnej gwiazdy. Nigdy już nie zobaczę rodziny. — Urwał i spojrzał w oczy panu Ahasuerusowi. — Nie spędzę reszty życia jako zwierzę uwięzione w klatce i uzależnione od kaprysu szaleńca, w zamian za to minimum wygód, jakie on zechce mi dać.

— Nie możemy nic zrobić — powiedział pan Ahasuerus.

— Możemy uciec! — rzekł z pasją King Kong. — Możemy zabić tego złego człowieka i odejść.

Pan Ahasuerus ze smutkiem pokręcił głową.

— Nie, nie możemy.

— Ale dlaczego? — błagał King Kong ze łzami w oczach. — Dlaczego mam umierać bez sakramentów mojej religii? Dlaczego mam umierać na tym kawałku brudu, obracającym się wokół gwiazdy, której nie ma nawet na mapach mego świata? Dlaczego moja dusza ma być skazana na wieczną wędrówkę po próżni, oddalona o niewiarygodne przestrzenie od innych dusz mojej rasy?

— Przysięgliśmy utrzymać nasze istnienie w tajemnicy — rzekł pan Ahasuerus.

— To ty przysięgałeś! — wykrzyknął King Kong.

— Ty też — zauważył pan Ahasuerus.

— Ja złożyłem przysięgę, że będę czcił mego Boga w moim rodzinnym świecie — powiedział King Kong. — Złożyłem przysięgę, że dokonam żywota

wśród tych, których ko-cham. Czemu ta przysięga miała być ważniejsza? Została odebrana przez bezduszną agencję, która nie miała pojęcia, jakie będą konsekwencje naszej wyprawy na tę planetę.

Zgrzytliwe westchnienie pana Ahasuerusa stanowiło dźwięk nad wyraz nieprzyjemny, ale kryło się w nim coś wzruszającego.

— Nie mogę cię powstrzymać — powiedział w końcu. — Jesteś istotą myślącą, obdarzoną wolną wolą, i tak samo jak Flint, nie mam prawa kierować twoim życiem. Ale ani ja, ani nikt z pozostałych, nic pomoże ci. Musimy dotrzymać słowa, niezależnie od tego, co ty o tym myślisz. — Zwrócił się w moją stronę. — Tojo, jak daleko udałoby mu się dotrzeć, gdyby stąd uciekł?

— Raczej niedaleko — powiedziałem. — Niektórym z waszej grupy mogłoby się powieść, o ile ludzie nie strzelaliby do nich ze strachu, ale nie King Kongowi. On, bardziej niż ktokolwiek z was, przypomina dzikie ziemskie zwierzę. Moim zdaniem zastrzeli go pierwszy farmer, który go napotka. A pierwsza osoba, która go zobaczy i nie będzie miała broni, zadzwoni na policję, która z pewnością go zabije.

— A nawet gdybyś im umknął — łagodnie dodał pan Ahasuerus — to dokąd byś poszedł? Jakie ma szanse na przetrwanie kosmita w obcym, wrogim świecie? Nawet nie wiesz, gdzie jesteś, więc jakbyś znalazł nasz prom?

— Skoro więc nie ma żadnej nadziei, umrę tutaj, a moja dusza będzie się błąkała bez celu całą wieczność — powiedział King Kong. Ułożył się z powrotem na swoim łóżku, przybierając dziwną i pozornie niewygodną pozycję. Domyśliłem się, że to dla jego rasy odpowiednik pozycji embrionalnej.

— Proszę cię, byś pomyślał o swoich towarzyszach rzekł pan Ahasuerus. — Jeśli jutro nie pójdziesz na występ, jedno z nich z pewnością umrze, a drugie w najlepszym przypadku rozchoruje się jeszcze bardziej.

King Kong leżał zupełnie nieruchomo. Nic nie powiedział i nie dał po sobie znać, że słyszy słowa Niebieskiego Człowieka.

Pan Ahasuerus spojrzał na mnie.

— Jaka jest prawda, Tojo, czy Flint robi to, co powiedział?

— Nie wiem — odparłem zgodnie z prawdą. — Ale wątpię. On nie ma powodu, by chcieć śmierci Tęczy, ma zaś z kolei dobry finansowy powód, aby utrzymać go przy życiu. Ale jeśli uzna, że pójdzie na ugodę będzie się wiązało z osłabieniem jego władzy... — Zawiesiłem głos, co nie było trudne, bo on stale mi się zawiesza, a potem spojrzałem na Ahasuerusa. — Naprawdę nic wiem.

— Wiem, że to chciwy człowiek — rzekł pan Ahasuerus. — Wiem, że jest skąpy i nieobliczalny.

— Z całą pewnością nie jest, jak to się mówi, ludzkim człowiekiem — wtrąciłem.

— Jednakże nie wydaje mi się, że jest złym człowiekiem, który chętnie odebrałby komuś życie, chcąc tylko udowodnić, że ma rację.

— Mam nadzieję, że się nie mylisz — powiedziałem. — Ale na wszelki wypadek może byś jednak spróbował przekonać King Konga, żeby jutro pracował.

— Nie mogę go zmusić, by zrobił to, czego zrobić nie chce — odparł pan Ahasuerus. — Flint jest przebiegły i sprawnie manipuluje ludźmi, ale sedno sprawy tkwi w tym, że jeśli Wielobarwny Człowiek umrze, to nikt inny, tylko Flint będzie ponosił za to odpowiedzialność.

— Może umrzeć z tego, czy innego powodu — powiedziałem. — Myślę, że powinieneś pogadać z King Kongiem.

Suchy śmiech Niebieskiego Człowieka zabrzmiał jak skrzek duszonej żaby.

— Nawet z ciebie zrobił pragmatyka, prawda?

— Chyba tak — przyznałem.

Pan Ahasuerus ruszył w stronę przeciwległej ściany namiotu.

— Dajmy mu pomyśleć — powiedział cicho. — Później z nim porozmawiam.

Miałem około pół godziny czasu do zabicia przed następnym występem, więc skorzystałem z okazji, by obejść cyrk, czego nie robiłem od wielu dni. Zobaczyłem Mońka, który odprowadzał niedźwiedzia Bruno do autobusu, więc wiedziałem, że Billybuck Dancer zaraz zrobi przedstawienie w namiocie specjalnych atrakcji i poszedłem rzucić na to okiem.

Jego asystentka — jedna ze stripteaserek, ubrana w kowbojskie ubranie o metalicznym połysku — uniosła w górę cztery karty tak, by publiczność mogła widzieć figury. Potem spytała Dancera, czy jest gotowy. Skinął lekko głową — co było jedynym widocznym znakiem, że nie śpi, wsparty o maszt podtrzymujący namiot — i wtedy podrzuciła te cztery karty w górę. Strzelił tak płynnie i zręcznie, że jeśli się nie sprawdziło rezultatu, można było odnieść wrażenie, że porusza się wolniej niż w rzeczywistości ale wyniki były takie same jak zawsze: cztery kule, jedna po drugiej, przeszły wszystkie cztery karty.

Następnej sztuczki nigdy nie lubiłem oglądać. Dancer przywiązał dziewczynę do ogromnego koła, włożył jej do rąk po jednej karcie i puścił koło w ruch. Zaczęło się kręcić tak szybko, że dziewczyna stała się jedną zamazaną plamą. Dancer oddalił się na odległość jakichś czterdziestu stóp, stanął tyłem do niej, wyciągnął dwa noże i pokazał je publiczności. Potem odwrócił się błyskawicznie i cisnął je w jej stronę, w odstępie czasu nic dłuższym niż pół sekundy. Publiczność głośno zaszemrała z podziwu, a jakaś kobieta krzyknęła donośnie, ale obydwie noże utkwiły we właściwym miejscu, przybijając karty do szprych koła. Dancer uchylił kapelusza i skłonił się głęboko, jak zwykle z lekko nieszczęśliwym wyrazem twarzy, i przygotował się do następnego numeru. Miał on polegać na strzelaniu do papierosa tkwiącego w ustach dziewczyny, więc postanowiłem, że nie będę tego oglądał i poszedłem popatrzeć na strip-tease.

Gloria została właśnie przedstawiona jako Motyl Rozkoszy, a widzowie — w dziewięć-dziesięciu pięciu procentach mężczyźni — głośno jej wiwatowali. Kiedy stało się jasne, że nie wykona nic innego oprócz strip-tease'u i że uwinie się z tym dość szybko, tak jak inne dziewczęta, oklaski ucichły, lecz Gloria nie zwracała uwagi na pomruki rozczarowania. Wyginała się, przysiadła i podpuszczała ich, jakby chciała naśladować występy Ann Corio albo Gypsy Rose Lee sprzed dobrych pięćdziesięciu lat. Bałem się, że wygwizdają ją ze sceny — zawsze się bałem, że ją wygwizdają ze sceny ale i tym razem tak się nie stało. Kilku widzów doceniło jej pracę, którą ona traktowała tak rutynowo, a pozostali z zadowoleniem czekali na następny występ. Miałem nadzieję, że to nie będzie Stogie: kiedy się sprzedaje tak prymitywne widowiska, nie chciałbym być komikiem, który musi zabawiać widzów przez dziesięć minut po tym jak Gloria próbowała dodać trochę klasy do swojego występu.

Wyszedłem z namiotu i ruszyłem przez plac, sprawdzając co się dzieje przy salonie gier. Diggs zwolnił swych najmniej zręcznych pomocników, a na ich miejsce zatrudnił dwóch potrafiących szybko mówić młodych mężczyzn, więc interes kwitł — kwitł tak, jak może kwitnąć biznes jesienią w Vermont. Sam Cwaniak miał trudności z namawianiem klientów, żeby sypali groszem, a ponieważ nie byłem w salonie, odkąd tu przyjechaliśmy, postanowiłem mu pomóc. Spojrzałem na niego i po chwili zaczął mnie nagabywać i podpuszczać, aż wreszcie zgodziłem się wziąć udział w grze. W niecałe pięć minut wygrałem dwieście dolarów, które udało mi się ukradkiem zwrócić, a w tym

czasie gapie stłoczyli się już wokół Cwaniaka, aż się paląc do gry, w której wygrać potrafił nawet kaleka.

Usłyszałem dobiegający z megafonu głos Thaddeusa i wiedziałem, że czas wracać do gabinetu. Kiedy tam przyszedłem, dowiedziałem się, że Snoopy — Chłopiec o Psim Pysku — zemdlał podczas mojej nieobecności. Twierdził, że to z powodu skurczów żołądka, ale pan Ahasuerus uważał, że powodem była nasza grawitacja, najwyraźniej silniejsza od tej, do jakiej przywykł Snoopy.

Trzymaliśmy to w tajemnicy przed Thaddeusem dopóki się dało, ale w końcu musiałem mu powiedzieć, że Snoopy nie będzie w stanie pracować. Bałem się, że wpadnie w gniew w obecności widzów, ale on tylko pokręcił głową z obrzydzeniem i dalej kierował występami.

Po skończeniu ostatniego pokazu, poszedł ze mną do namiotu sypialnego, żeby osobiście zbadać Snoopy'ego. Chłopiec o Psim Pysku dyszał ciężko i ślinał się, więc nie ulegało wątpliwości, że cierpi na jakąś poważną dolegliwość.

— I co? — spytał Thaddeus, zwracając się do pana Ahasuerusa.

— Nie mam pewności — rzekł Niebieski Człowiek — ale wydaje mi się, że to z powodu tutejszej grawitacji.

— To czemu nie zachorował wcześniej?

— Z tego samego powodu, dla którego ty nie umierasz podczas pierwszych kilku sekund, gdy się zanurzysz w wodzie.

— Próbujesz mi wmówić, że on umiera? spytał podniesionym tonem Thaddeus.

— Nie. Ale potrzebuje wypoczynku. Jego ciało uległo wielkiemu naciskowi.

— Ile to potrwa?

— Dzień, tydzień, miesiąc — powiedział Niebieski Człowiek. — Kto to może wiedzieć?

— Ja wiem — odparł Thaddeus. — Jutro wieczorem będzie pracował.

— A jeśli nie będzie mógł?

— To wtedy sam się dowie, o co chodzi z tym naciskiem na ciało! — obiecał Thaddeus.

Stał na środku namiotu i zagwizdał przenikliwie.

— To się musi skończyć! — obwieścił, kiedy już wszyscy patrzyli w jego stronę. — Jeśli nic chcecie, żeby między występami zamykano was w klatkach

i karmiono żarciem dla psów oraz zwykłą wodą, to niech lepiej Snoopy będzie ostatni, któremu się zachciało chorować. — Powoli potoczył wzrokiem po wszystkich zebranych. — Ja nie żartuję — dodał na koniec. — Jeśli jeszcze ktoś z was zachoruje albo będzie się starało mnie przekonać, że jest chore, wszyscy za to oberwą.

Usiadł przy jednym ze stołów i rozkazał, żebym mu przyniósł kubek kawy.

— Oni naprawdę są chorzy, Thaddeus — powiedziałem, spełniwszy jego żądanie. — To są kosmici. Nie było im przeznaczone żyć tutaj.

— Nikt ich nie zmuszał, żeby tu przylatywali — powiedział z irytacją.

— Ale ty ich zmuszasz, żeby tu zostali — zauważyłem.

— Tylko nie zwalaj całej winy na mnie, ty głupi karle! — wrzasnął. — Ja nie przeleciałem połowy galaktyki. To oni chcieli na tym coś wygrać, ale przegrali.

— Więc naprawdę masz zamiar ich zamykać w klatkach, jeśli któryś zachoruje?

— Powiedziałem im, że to zrobię — powiedział. — Czemu miałbyś wątpić?

— Nie byłby to pierwszy raz, kiedy powiedziałeś coś, czego nie masz zamiaru zrobić — odparłem.

— Z ilu rzeczy, do cholery, mam się wycofywać? Te sukinsyny wpadły na pomysł, że mogą mnie rozstawiać po kątach. Jeszcze trochę, a będą chcieli pokazywać nas na Księżycu.

Widziałem, że tłumaczenie nie zda się na wiele, więc na chwilę umilkłem. Potem Thaddeus posłał mnie do swojej przyczepy po kontener z piwem i kiedy wróciłem, spędził następne dwie godziny na opróżnianiu jednej puszki za drugą, rzucając co jakiś czas pogardliwe spojrzenia w stronę King Konga.

W końcu poszedł do swojej przyczepy, a kiedy odkryłem, że pan Ahasuerus sporządził całodobowy plan dyżurów przy chorych i rozdzielił je między zdrowych kosmitów, załamane się i poszedłem za Thaddeusem. Nie przepadałem za dzieleniem z nim mieszkania, nawet jeśli nie sprowadzał sobie na noc kobiety, ale od prawie dwóch tygodni spałem na łóżku polowym i moim plecym nie wyszło to bynajmniej na dobre. Od czasu kiedy mój kręgosłup uległ wykrzywieniu, już nigdy nie czułem się dobrze, ale nie pamiętałem, by kiedykolwiek bolał mocniej, niż rankiem po nocy spędzonej na polowym łóżku.

— Patrzcie, kto do nas zawitał — powiedział Thaddeus, kiedy wszedłem do przyczepy. — Już myślałem, że nigdy się tu nic zjawisz.

— Mam kłopoty z plecami — wyjaśniłem.

— Nie mówiąc już o kłopotach ze smrodem — powiedział i skrzywił się. — Mój Boże, ale ta Dynia śmierdzi, co nie?

— To wysypka — powiedziałem. — Nie mamy dla niej żadnego lekarstwa.

— Jeśli oni wszyscy są tacy słabi, to człowiek podbije cały wszechświat w dziesięć lat po tym, jak wynajdzie coś, co go przeniesie z jednej gwiazdy na drugą — stwierdził Thaddeus. — Nigdy w życiu nie widziałem bardziej chorego towarzystwa.

— Zabierz kilku ludzi na któryś z ich światów i wtedy zobaczysz — powiedziałem.

Wzruszył ramionami.

— Może masz rację.

Już miał coś dodać, ale wtedy rozległo się pukanie do drzwi.

— Otwarte! — wrzasnął Thaddeus.

Usłyszałem, że drzwi otwierają się, zamykają, a potem do pokoju weszła Alma, ubrana w gruby sweter i spłowiałe jeansy. Thaddeus przez chwilę wyglądał na zdziwionego, po czym jego twarz zubożniała.

— Czy mogę usiąść? — spytała.

Gestem ręki wskazał jej krzesło.

— Dziękuję. Chciałam z tobą porozmawiać, Thaddeus.

— Lepiej wyjdę — powiedziałem i wstałem z kanapy, ale Thaddeus popchnął mnie na nią z powrotem.

— Siedź tu, Tojo — powiedział. — To jest też twoja przyczepa.

— Wolalabym porozmawiać z tobą w cztery oczy — powiedziała niepewnie.

— Pewnie, że byś chciała — odparł Thaddeus. — Ale między nami nie ma już żadnych intymnych tajemnic, prawda? No chyba, że masz mi kilka nowych do opowiedzenia.

— Bardzo mi wszystko utrudniasz, Thaddeus — powiedziała Alma.

— Nie rozumiem dlaczego — rzekł kwaśnym tonem. — Nic mamy już z sobą wiele wspólnego, więc czemu rozmowa miałaby być trudna?

— Wczoraj zatrzymałam się przy namiocie — powiedziała.

— Ach tak? — odparł Thaddeus, zapalając papierosa. — Przy którym namiocie?

- Wiesz, przy którym — powiedziała. — Czy to prawda?
- Prawdopodobnie. Ale tak na wszelki wypadek, co ma być prawdą?
- Że powsadzasz ich do klatek Monka, jeśli jeszcze jeden się rozchoruje?
- Czemu się tym interesujesz? — spytał.
- Nie odpowiedziałeś mi — oświadczyła Alma.
- Zauważyłaś — powiedział z wilczym uśmiechem. — Czemu nie spytałaś Pszczółki? Jak rozumiem, ona ostatnio zna wszystkie odpowiedzi.
- Czy masz zamiar zmusić jutro Tęczę do pokazu, jeśli King Kong odmówi wyjścia?
- Lepiej w to uwierz! — wściekł się Thaddeus. — Choroba to jedna rzecz, a strajk to zupełnie coś innego.
- Czy ty nie widzisz, że King Kong jest najbardziej chory z nich wszystkich?
- Jest tak samo zdrowy jak ja — rzekł Thaddeus.
- Fizycznie tak, ale on uważa, że umrze i że ty skazałeś jego duszę na wieczne potępienie.
- Kto ci to powiedział? — spytał podniesionym tonem Thaddeus, nagle bardzo spięty.
- Pan Ahasuerus.
- Czy on ci powiedział, jaką religię praktykuje King Kong?
- Nie — odparła Alma. — Ale myślę, że jakąś wschodnią. Jaka to różnica? Jemu się wydaje, że ty go wysyłasz do piekła. Tylko to jest ważne.
- Widziałem, jak napięcie wycieka z niego, kiedy pojął, że jej zdaniem oni są zwykłymi dziwolągami: dziwnymi i zdeformowanymi, ale z tego świata.
- Co chcesz, żebyśmy zrobili? — spytał wreszcie. — Mam zamykać pokaz za każdym razem, gdy jeden z nich zacznie żałować, że nie jest gdzie indziej? Potrząsnęła głową.
- Traktuj ich po prostu jak ludzi. Oni może są inni, Thaddeus, ale nie są jakimiś potworami. Musisz im pozwolić, żeby mieli swoją godność.
- No proszę, i kto tu mówi o godności! — wycodził Thaddeus z grymasem okrucieństwa na twarzy. — Codziennie rozkładasz nogi przed dwoma tysiącami obcych mężczyzn, potem idziesz do domu i włączysz do wyra z tłustym, pięćdziesięcioletnim babskiem, która, kiedy ją znalazłem, nawet nie potrafiła podpisać czeku z opieki społecznej. To jest ta twoja cholerna godność!

— Kto mnie nauczył rozbierania? — spytała Alma bez cienia gniewu. — A jeśli chodzi o Pszczółkę, to ona mnie kocha.

— Ach tak! — warknął Thaddeus.

— Ona naprawdę mnie kocha, Thaddeus. Jestem dla niej ważna. Traktuje mnie jak człowieka, a nie jak ciało. Ty mnie traktowałeś tak samo, jak ich. Nie możesz iść przez życie, wykorzystując w ten sposób ludzi. To się musi skończyć!

Wyciągnęła z kieszeni zmiętą chusteczkę i wytarła nos.

— Nie chciałam ci prawić kazania, Thaddeus — powiedziała powoli. — To się nigdy na nic nie przydaje, a poza tym nic po to tu przyszłam.

— Więc skoro już jesteśmy przy temacie, to co ty tu robisz, do diabła, oprócz tego, że mówisz mi, jak prowadzić interesy?

— Przyszłam zawrzeć umowę — powiedziała. — Lubisz umowy, prawda?

— Słucham.

Niepewnie poruszyła się na krześle i wbiła wzrok w podłogę.

— Jeśli obiecasz, że nie powsadzasz ich do klatek i nie będziesz zmuszał Tęczy do pracy, dopóki nic wyzdrowieje, wprowadzę się znowu do ciebie.

Nie wiem, czego się spodziewał Thaddeus, ale z pewnością nie tego. Przez sekundę wydawał się zaskoczony, a potem na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz — zaniepokojenia, a może jeszcze czegoś innego.

— Pokłóciłaś się z Pszczółką? — spytał po długim, nieprzyjemnym milczeniu.

— Nie — odparła Alma, nadal wpatrując się w podłogę.

— Czy ona wie, co mi proponujesz?

Alma potrząsnęła głową, a po jej policzku spłynęła łza.

— Czy ty ją kochasz? — spytał łagodnie.

— Potrzebuję jej. Potrzebuję kogoś — wyszeptala i w ślad za pierwszą łzą polały się następne.

— I proponujesz, że wrócisz tylko z powodu bandy dziwolągów?

Zmusiła się, by spojrzeć na niego.

— Czy zgadzasz się na taki układ? — spytała. Jej twarz była bardzo blada i zupełnie mokra.

— Będziesz przeze mnie nieszczęśliwa.

— Jestem przez cały czas.

— Będę dalej sypiał z innymi kobietami — powiedział. — Za stary już jestem, żeby się zmienić.

- Wiem — odparła i znowu wytarła nos.
- Pszczółka znieawidzi cię bardziej, niż nienawidzi mnie — zauważył.
- Jeśli się tu przeprowadzisz, już nigdy nie weźmie cię z powrotem. Nic jest taka wspaniałomyślna jak ja.
- Pszczółka może żyć beze mnie. Te biedne stworzenia nie.
- Naprawdę myślisz, że bym ich zabił?
- Zabijasz wszystko, czego dotkniesz, w taki czy inny sposób — oświadczyła Alma, cały czas patrząc mu prosto w oczy. — Dla mnie to nie będzie gorsze niż rozbieranie się na scenie.
- Ani lepsze? — spytał z krzywym uśmiechem.
- Ani lepsze.
- A jednak — powiedział, autentycznie zdziwiony — wracasz. Dla nich.
- Tak. — Otarła ramieniem łzy z twarzy. — Wiesz co, Thaddeus? — powiedziała ze smutnym uśmiechem. — Kiedy miałam dziewięć czy dziesięć lat, udawałam, że jestem chłopcem. Grałam w piłkę z najlepszymi i stale wracałam do domu cała posiniaczona i podrapana, ale nigdy nic płakałam, ani razu. — Przyłożyła przemoczoną chusteczkę do twarzy. — Dopóki nie poznałam ciebie.
- Patrzył na nią i nic nie mówił. Myślę, że musiała się czuć bardziej obnażona niż na scenie, gdyż niespokojnie drgnęła.
- I co? — spytała wreszcie, a jej głos drżał już tylko trochę. — Umowa stoi?
- Wracaj tam, gdzie twoje miejsce — powiedział znużonym głosem. Mogło to zabrzmieć nieprzyjemnie, ale jakoś nic zabrzmiało.
- Co? — spytała, jakby nie była pewna, czy go rozumiała.
- Wracaj do Pszczółki.
- Nic chcesz mnie? — spytała, a na jej twarzy wykwitł rumieniec wstydu.
- Ja nie wchodzę w żadne układy.
- Odwróciła się do mnie i widziałem, że zaraz znowu się rozpłacze.
- Dobranoc, Tojo. Przykro mi, że musiałeś tego wysłuchać.
- Dobranoc, Almo — powiedziałem. — Uważaj na siebie.
- Odwróciła się i wyszła z przyczepy, nie mówiąc już ani słowa.
- Ona naprawdę myślała, że pozamykam ich do klatek — i powiedział Thaddeus, patrząc na nią przez okno, kiedy biegła do przyczepy Pszczółki.
- A nie zrobiłbyś tego? — spytałem.

— Po tym wszystkim, co zrobiłem, chciała wrócić i oberwać jeszcze gorzej, po to tylko, żeby im pomóc — powiedział, ignorując moje pytanie. — Czy to nie dziwne?

Zapalił następnego papierosa i patrzył przez dłuższą chwilę przez okno na namiot dziwołagów.

— Znowu pada śnieg — zauważył.

— Wiem — odparłem.

— Tojo — powiedział nieobecny głosem — wstań i idź powiedz Tęczy, że ma jutro nie wstawać z łóżka. Zapowiada się zimny dzień.

Nadal patrzył w stronę namiotu, kiedy wychodziłem z przyczepy, aby wykonać jego polecenie.

ROZDZIAŁ 10

O trzeciej w nocy King Kong próbował popełnić samobójstwo.

Duży Alvin długo łomotał do drzwi przyczepy, zanim nas wreszcie obudził. Miał na sobie tylko koszulkę trykotową oraz jeansy i zupełnie nic zwracając uwagi na wiatr i śnieg krzyczał, że Thaddeus ma natychmiast przyjść do namiotu sypialnego.

Jak zawsze, gdy w cyrku zdarzał się jakiś nagły wypadek, Thaddeus wstał, ubrał się i obudził w niecałą minutę. Ja nie potrafię się poruszać tak szybko jak inni ludzie, więc zdjęcie piżamy i założenie ubrania zajęło mi trzy minuty i jeszcze jednej potrzebowałem na dojście do namiotu. Kiedy tam wszedłem, Thaddeus już się zajmował Brakującym Ogniwem, który bezsilnie próbował go odepchnąć.

— Musztarda! — krzyknął do Alvina. Wielki mężczyzna stał nieruchomo z wyrazem oszołomienia na twarzy. — Alvin, do jasnej cholery! Przynieś mi słoik z musztardą!

— Obojętnie jakiego gatunku? — spytał Duży Alvin.

— Po prostu mi ją przynieś, ty głupi sukinsynu! — zawył Thaddeus.

Alvin wzruszył ramionami i wyszedł, kierując się najwyraźniej do jednego ze straganów z jedzeniem. Poszedłem do kuchni Pszczółki, znalazłem słoik musztardy i przyniosłem go Thaddeusowi.

Wziął go bez słowa i wlał połowę zawartości do ust King Konga. Brakujące Ogniwo bronił się, ale w końcu musiał połknąć brunatną maź.

— Odsuńcie się! — rozkazał Thaddeus pozostałym kosmitom, którzy tłoczyli się dookoła. — Pozwólcie mu oddychać!

Chwilę później King Kong schwycił się za brzuch, a po kilku sekundach zaczął wymiotować. Thaddeus z wyrazem obrzydzenia na twarzy przytrzymał mu głowę, dopóki nie skończył.

— Nie stój tak, Wielkolud! — warknął. — Przynieś coś, żeby to zmyć! — Zwrócił się do mnie. — Wiesz, co zrobił ten sukinsyn? Zjadł całe opakowanie sodu Sokolego Oka. Połknął wszystkie tabletki. — Położył dłoń na ramieniu King Konga i spojrzał na niego z politowaniem. — Ty biedny, głupi małpoludzie. Jeśli chcesz się zabić, to nie mów wszystkim, że wzięłeś pigułki, dopóki nie przenikną do organizmu. Teraz będzie cię tylko potwornie bolał brzuch. — Jego głos nieco przycichł. — Lepiej się trochę czujesz?

King Kong nic odpowiadał.

— Czy sód mógłby go zabić? — spytałem z powątpiewaniem w głosie.

— Kto wie? — odparł Thaddeus zmęczonym głosem. — Myślę, że świeże powietrze i słońce mogłoby zabić połowę grupy. Z tego co wiem, on się normalnie odżywia ptasim gównem.

— Spróbuj jeszcze raz — rzekł cicho King Kong.

— Nie wątpię — odparł Thaddeus.

King Kong spojrzał na niego.

— Dlaczego nie pozwoliłeś mi umrzeć?

— Może następnym razem pozwolę — odpowiedział Thaddeus.

— Mam nadzieję — wyszeptał King Kong.

— Jezu Chryste, co jest z tobą, do cholery? — warknął Thaddeus. — Jesteś karmiony, nikt cię nic bije, zawsze jest szansa, że Romany was znajdzie. Dlaczego do diabła chcesz umierać?

— Zostaw go w spokoju Thaddeus — powiedziałem.

— Pozwól, że ci coś powiem, ty Tarzanie — kontynuował, zupełnie mnie ignorując. — Ja na twoim miejscu już ze dwadzieścia razy próbowałbym uciec. Zaczynałbym się za każdym razem, kiedy ja wchodzę do namiotu. Zrobiłbym strajk głodowy zamiast tylko nim grozić. Nie trzeba specjalnego rozu-

mu albo odwagi, żeby się zabić, chociaż być może nawet trzeba, zważywszy, jak ci to źle poszło. Co z was w każdym razie za ludzie?

King Kong patrzył tak, jakby miał zamiar coś powiedzieć, ale nagle znowu schwyciły go torsje. Nic więc z tego nie wyszło, w końcu wyczerpany położył się na łożku.

— Leż spokojnie i spróbuj się odprężyć — powiedział Thaddeus, podnosząc ręcznik i wycierając nim twarz Brakującego Ogniwa. — Jak tylko się poruszysz, znowu zacnie tobą targać. Dostyc głupstw jak na jedną noc.

— Proszę, odejdź — wyszeptał King Kong.

— Ależ ja już idę — odparł Thaddeus. Usiadł na skraju łożka i zmierzył King Kongowi puls. — Szkoda, że nie wiem, jaki masz normalnie — powiedział po kilku chwilach. Potem wyciągnął z kieszeni papierosa, zapalił go i głęboko się zaciągnął. — Ale to musi być dziwny świat, z którego pochodzisz, małpoludzie.

— Co masz na myśli? — wyszeptał King Kong.

— Skoro wolisz się zabić niż żyć z dala od niego.

— Wolę umrzeć niż żyć w niewoli — odparł King Kong.

— Interesujące wnioski wyciągasz po zaledwie dwóch tygodniach takiego doświadczenia. Czy w twoim świecie nie mają więzień?

— Nie.

— No chyba żartujesz! — zgromił go Thaddeus. — To co robicie, gdy ktoś naruszy prawo?

— Nikt tego nie robi — powiedział King Kong.

— Nie wierzę.

— To, w co ty wierzysz, zupełnie mnie nie obchodzi.

— A prócz tego, że wolisz być dziwolągiem w gabinecie Ahasuerusa niż w moim — rzekł Thaddeus — to co jest dla ciebie ważne?

— Moja rodzina i mój Bóg — odparł King Kong.

— W takiej kolejności?

— Nie ma kolejności. Oni są tym samym.

— Kult przodków?

King Kong słabo pokręcił głową.

— Nie rozumiałbyś.

— Spróbuj.

— W jakim celu? Czy umrę teraz, czy później, swojego Boga będę szukał sam.

— Mówisz tak, jakby on się gdzieś zgubił — rzekł Thaddeus z uśmiechem.

— Bóg się nie zgubił — powiedział King Kong tak cicho, że ledwie go słyszałem. — To ja.

— Co to do diabła ma znaczyć? — spytał Thaddeus.

King Kong tylko zamknął oczy i przewrócił się na bok.

— Słyszałem, jak o tym mówił dziś wieczorem — powiedziałem. — O ile rozumiem, on wierzy, że jego dusza będzie zgubiona, jeśli umrze bez sakramentów.

— Zgadza się? — spytał Thaddeus.

— On jest bardzo przygnębiony myślą o śmierci z dala od domu — wyjaśniłem.

— Dlatego woli się zabić zaraz, niż skorzystać z szansy, że umrze później — powiedział Thaddeus. — Doprawdy, cóż za niezwykła logika.

— On jest naprawdę bardzo przygnębiony, Thaddeus — powiedziałem. — Dlatego chyba niezbyt jasno myśli.

— Cóż, wydaje się jednak, że jedna rzecz jest dla niego jasna — stwierdził Thaddeus, a na jego twarzy pojawił się dziwny grymas. Delikatnie dotknął ramienia King Konga. — Naprawdę wolałbyś iść na całą wieczność do piekła niż spędzić tu choć jeszcze jeden dzień?

— Tak! — zaklął Brakujące Ogniwo.

Jego ogromnym włochatym ciałem targnął spazm, a Thaddeus zerwał się tak nagle, jakby go poraził prąd elektryczny. Przez moment wydawało się, że nie wie, co ma teraz zrobić. Potem oparzył się w palec papierosem, zaklął, rzucił go na ziemię, przydepnął i ta chwila minęła.

— On chyba ześwirował — powiedział, wpatrując się w ogromnego komitę zapłakującego się nad swoim nieszczęściem, po czym usiadł przy stole. — Dzięki Almie i małpoludowi był to niezwykle pouczający wieczór — stwierdził sarkastycznym tonem. — Toż, przynieś mi kawy.

Kiedy nalewałem kawę, do Thaddeusa podszedł pan Ahasuerus. Przysunął sobie krzesło, o wiele dla niego za małe, i przysiadł na nim niezdarnie.

— On będzie znowu próbował — oświadczył Niebieski Człowiek.

— To nie ma żadnego sensu — powiedział Thaddeus. — Jeśli boi się umierać z dala od domu, to zabijanie się jest ostatnią rzeczą, na którą powinien się decydować.

— On doskonale zdaje sobie z tego sprawę, ale ogarnęło go wielkie przygnębienie odparł pan Ahasuerus.

Przyszedłem z kawą.

— Dzięki — powiedział Thaddeus. Spojrzał na Niebieskiego Człowieka. — Chce pan kawy?

— Nie, dziękuję.

— Czy King Kong ma jakiegoś przyjaciela w tej grupie, kogoś, kto by przemówił mu do rozsądku? — spytał Thaddeus. — Mógłbym go kazać obserwować przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, ale będzie nam wszystkim o wiele łatwiej, jeśli nie będę musiał tego robić.

— Dużo rozmawiał z Człowiekiem Jaszczurem i Sfinksem podczas lotu — odparł pan Ahasuerus.

— Tożo — powiedział Thaddeus — sprowadź tu Numę i Alberta.

Poszukałem obydwu kosmitów. Numa nie chciał rozmawiać z Thaddeusem, ale Albert przyszedł ze mną do stołu.

— Twojemu przyjacielowi, King Kongowi, odbija palma — rzekł Thaddeus, kiedy Człowiek Jaszczur usiadł.

— Nie rozumiem.

— Postępuje nieracjonalnie.

— Dlaczego? — wysyczał Albert Aligator. — Bo nie lubi niewoli?

— Bo próbował się zabić — wyjaśniał cierpliwie Thaddeus. — A z tego co wiem o jego religii, nie jest to najlepszy sposób na szczęśliwe życie po śmierci.

— On i tak umrze w waszym świecie — odparł Albert swym przenikliwym, świszczącym szeptem. — Więc czemu nie zrobić tego jak najszybciej, żeby móc natychmiast zabrać się za szukanie swojego Boga?

— Jesteś równic stuknięty jak on! — wykrzyknął Thaddeus ze zniecierpliwieniem.

— Dlatego, że nie widzę nic złego w tym, iż wolał śmierć niż życie w poniżeniu? — wysyczał Albert.

— Jeśli to taka kusząca alternatywa, to czemu sam nie spróbowałeś tego zrobić? — spytał Thaddeus.

— Bo moja sytuacja jest inna — odparł Albert. — To doświadczenie, choćby nie wiem jak było tragiczne w skutkach, stanowić będzie jedynie część całego mojego życia. Ja będę żył jeszcze całe wieki po tym, jak ty staniesz się wyłącznie nieprzyjemnym wspomnieniem.

Thaddeus rzucił szybkie spojrzenie w stronę pana Ahasuerusa i Niebieski Człowiek skinął głową.

— Jakie to krzepiące — rzekł oschle Thaddeus. — Ale nie sądzę byś wśród swych długoletnich doświadczeń znalazł jakieś wskazówki odnośnie do sytuacji King Konga?

— Jego sytuacja jest nieznośna — powiedział Albert, wpatrując się uparcie w Thaddeusa swoimi zimnymi, martwymi oczyma. — Będzie nieznośna, dopóki go nie uwolnisz.

— Raczej nie o taką odpowiedź mi chodziło — rzekł Thaddeus. — Czy nie mógłbyś z nim porozmawiać, opowiedzieć mu o wspaniałościach jego rodzinnego świata i wszystkich tych cudownych rzeczach, które go tam czekają?

— W jego planecie nie ma nic cudownego — wysyczał Człowiek Jaszczur.

— Może nic dla uchodźcy z terrarium — powiedział Thaddeus — ale dla niego musi to być upragnione miejsce.

— Wątpię — odparł Albert. — Jest to świat, na którym panują wielkie skrajności klimatyczne i teokracja totalitarna.

— W którą on wierzy — zauważył Thaddeus.

— Wiara nie sprawia, że religia staje się mniej opresywna — stwierdził obojętnie Albert.

— No to pogadaj z nim o jego rodzinie, o tym, jak za nim tęsknią.

— Nie tęsknią — odparł Albert.

— O czym ty mówisz?

— On jest wygnańcem.

Thaddeus spojrzał na pana Ahasuerusa.

— Jak pan do diabła zmontował tę grupę: opróżnił pan więzienia i domy wariatów?

— Nic mi o tym nie wiadomo — zareplikował pan Ahasuerus.

— Sądzę, że nas oświecisz — powiedział Thaddeus, zwracając się do Człowieka Jaszczura.

— Został wygnańcem w chwili, gdy postanowił tu przyjechać — powiedział Albert. — Od czasu, gdy zaprzestał przyjmowania codziennych sakramentów religijnych, przestał istnieć dla swojej rodziny.

— Więc po cholere tu przyleciał? — spytał Thaddeus.

— Gdyby powrócił, mógłby odprawić pokutę, dość obrzydliwą nawet w porównaniu z waszymi normami, i zostałby rozgrzeszony. Ale zanim to nastąpi, dla swojej rodziny i przyjaciół jest martwy. W rzeczy samej jest z nim jeszcze gorzej niż gdyby był martwy.

— I zgodził się na to, tylko po to, by postawić stopę na tej kuli gówna obracającej się wokół dalekiego słońca? — spytał z niedowierzaniem Thaddeus i spojrzął na mnie. — Ten małpolud musi być teraz rzeczywiście nieszczęśliwy.

— To prawda — powiedziałem cicho.

— Ciekaw jestem, co spodziewał się tu znaleźć? — zadumał się Thaddeus.

— Coś innego niż to, co znalazł — wyszczał chłodno Albert.

— A ty? — spytał Thaddeus, najwyraźniej chętnie zmieniając temat. — Dlaczego tu jesteś?

— Jestem egzobiologiem.

— Czym?

— Moja praca polega na badaniu obcych form życia. Dano mi możliwość zwiedzenia planety, na której nigdy nie byłem. Skorzystałem z tego.

— To znaczy, że ty od razu mogłeś nam powiedzieć, dlaczego niektórzy z was chorują i jak ich leczyć? — spytał podniesionym głosem Thaddeus.

— Prawdopodobnie.

— To dlaczego do cholery tego nic robiłeś?

— Dla większości z nich, na przykład dla Brakującego Ogniwą, lepsza jest śmierć — odparł Albert.

— Ach tak? — powiedział Thaddeus. — Cóż, mam nadzieję, że ty jesteś równie nie-szczęśliwy jak on.

— Dlaczego?

— Bo nie za bardzo cię lubię — odparł Thaddeus. — Nie podoba mi się twój wygląd i sposób, w jaki mówisz, ani też twoje nastawienie.

— Czy zastanawiałeś się, jak my możemy odbierać twoje nastawienie? — spytał Albert.

Przez chwilę Thaddeus patrzył na niego groźnie.

— Zmieniamy temat — powiedział w końcu. — Pogadasz z nim?

— Nie.

— A pan? — powiedział, patrząc na pana Ahasuerusa.

— Spróbuję — odparł Niebieski Człowiek. — To mój obowiązek.

— Dobrze stwierdził Thaddeus i wstał. — Hej, Alvin!

Wielki mężczyzna podszedł do niego pośpiesznie.

— Alvin, przez następnych kilka dni nie spuszczaaj oka z King Konga. Jak będzie próbował coś sobie zrobić, to zwiąż go. I niech Pszczołka powie Glorii, żeby wybrała się jutro do miasta po sól.

Alvin skinął głową, a Thaddeus podszedł do Brakującego Ogniwia. Nie powiedział ani słowa, tylko stał i patrzył. King Kong już spał, oddychając głęboko i miarowo, ale na jego twarzy widniał niepokój, jakby śniło mu się coś złego. Thaddeus wyciągnął rękę, jakby chciał uspokajająco poklepać Brakujące Ogniwie po ramieniu. W połowie drogi cofnął dłoń.

— Chodź, Tojo! — warknął. — Nic tu po nas. Wszystko się uspokoiło.

Poszedłem z nim do przyczepy. Żadnemu z nas nie chciało się spać, więc wyciągnął kilka puszek piwa. Kiedy piliśmy w milczeniu, do przyczepy wszedł Monk.

— Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko temu najściu — powiedział, rozcierając i chuchając na swoje dłonie — ale stary Alvin obudził wszystkich kilka minut temu, szukając nie wiedzieć czemu musztardy, a ponieważ zobaczyłem u was światło, pomyślałem...

— Przestań tyle gadać i bierz piwo — rzekł Thaddeus.

— Już myślałem, że mnie nie poczęstujesz — uśmiechnął się szeroko Monk, podchodząc do lodówki. — Ach, widzę, że przerzuciłeś się z butelek na puszki.

— Tylko takie mieli — odparł Thaddeus i wzruszył ramionami.

Monk otworzył puszkę z trzaskiem i usiadł razem z nami w salonie.

— Ale też zimna noc, co? — zagaił. — Od razu przypomina mi się Klondike, tylko że tam człowiek się przejmował tylko niedźwiedziami polarnymi, wilkami i czasem łosiami.

— A czym się tutaj trzeba martwić? — spytałem.

— Gliniarzami, widzami, chłopstwem, Thaddeusem. Jeśli chodzi o bezpieczeństwo, to sto razy wolę Klondike.

— Co to niby miało znaczyć? — spytał z irytacją Thaddeus.

— Cóż, musisz przyznać, że z tobą nie żyje się tak łatwo jak z niedźwiedziem polarnym — zaśmiał się Monk.

— Jeśli tu przyszedłeś na mnie narzekać, to lepiej zaraz wracaj tam, skąd przyszedłeś — powiedział Thaddeus. — Jak na jedną noc dość już mam ludzi, którzy mi mówią, co o mnie myślą.

— Prawdę powiedziawszy przyszedłem, bo wreszcie wymyśliłem ostatnie imię.

— O czym ty gadasz?

— Kobieta o Trzech Piersiach — powiedział Monk. — Nie mogliśmy wymyślić dla niej imienia.

— I już masz?

— Aha.

— Ile godzin nad tym myślałeś? — spytał sarkastycznie Thaddeus.

— Przyszło mi do głowy w mgnieniu oka — oświadczył Monk.

— No więc co to za imię?

— Dla mnie każda z tych piersi wygląda jak pik w kartach

— powiedział Monk, a na jego twarzy wykwitł uśmiech, kiedy to sobie wyobrażał — więc może tak Dama Pikowa?

— To okropne — warknął Thaddeus. — Brzmi jak numer z filmu.

— Masz coś lepszego?

Nie miał i nikt z nas nie wymyślił nic lepszego, więc została Damą Piko-
wą i cała trupa miała w końcu cyrkowe imiona.

Wypiliśmy jeszcze kilka piw, po czym Monk spojrzął na zegarek i stwier-
dził, że jest już prawie wpół do szóstej rano.

— Lepiej już pójdę — powiedział, wysączając ostatnie krople ze swojej
puszki. — Jeśli się pośpieszę, to może zdołam przyłożyć łeb do poduszki, za-
nim odezwie się budzik. — Wyjrzał za okno. — Cholera! Znowu pada śnieg.
Po coś ty wyjechał z Kalifornii, Thaddeus? Musiałeś upaść na głowę.

Thaddeus tylko wzruszył ramionami.

— Gdzie mieszkałeś, na północy czy na południu?

— Na południu — odparł Thaddeus. — Na przedmieściach Los Angeles.

— Anaheim?

— Santa Cruz.

— Szkoda, że nie w Anaheim — powiedział Monk. — Tam są Anioły, Di-
sneyland i wszystkie najlepsze rzeczy.

— To było tylko parę mil stamtąd — powiedział Thaddeus.

Monk założył płaszcz i pozapinał guziki.

— Żaden z nas nie wybrał najlepiej. Ja powinienem polować na małpy w
Afryce, a ty powinieneś patrzeć na stado podskakujących dam pikowych na
kalifornijskiej plaży. — Otworzył drzwi. — Do zobaczenia jutro.

— Zamknij te cholerne drzwi! — krzyknął Thaddeus. — Mróz!

Monk zaśmiał się i po chwili zatrzasnął za sobą drzwi.

Thaddeus chciał mi podać następne piwo.

— Nie, dziękuję — odparłem.

— Napij się — namawiał, wpychając mi je do ręki. — Nie lubię pić sam.

— Thaddeus — powiedziałem powoli — gdzie ty się wychowałeś?

- A co to za różnica?
- Żadna. Ale ja wiem, gdzie jest Santa Cruz: to są przedmieścia San Francisco.
- No i co z tego.
- Ale wydawało mi się, że powiedziałaś...
- Skąd ty do diabła wiesz, gdzie jest Santa Cruz? — warknął. — Ja to usłyszałem na filmie.
- To nie mieszkałaś tam?
- Nigdy w życiu nie byłem w Kalifornii — powiedział z goryczą. Siedzieliśmy, nic nie mówiąc i nie ruszając się, przez jakieś dziesięć minut, a tymczasem wiatr tłukł w szyby i dookoła rosły śniegowe zaspas.
- Urodziłem się w Trenton, w stanie New Jersey — powiedział w końcu.
- Moja matka była najtańszą dziwką w całym mieście. Nie dotykali jej nawet czarni faceci. Łapała tylko kaleki i pijaków.
- A twój ojciec? — spytałem cicho.
- Nie jest to aż tak duży kapelusz, żeby wyciągać jego imię — powiedział Thaddeus, niskim i bezdźwięcznym głosem. — Wychowałem się w jednopokojowym mieszkaniu, oglądając, jak moja matka pieprzy się z dwustoma albo trzystoma facetami tygodniowo i przepija każdy zarobiony od nich grosz. Władze stanowe stale mnie zabierały i umieszczaly w rodzinach zastępczych, a ja zawsze wracałem. Dopóki nie skończyłem dwunastu lat.
- I co się wtedy stało?
- Jakiś ćpun rozwalił jej głowę. Znalazłem ją, kiedy już sobie poszedł.
- I co wtedy zrobiłaś?
- Próbowałem po trochu wszystkiego. — Wyrzał za okno. — Głównie głodowałem i marzęm. Kalifornijskie dziewczyny, ba! Nigdy nie dotarłem nawet do połowy Missisipi.
- Więc dlaczego to zmyśliłaś? — spytałem. — Nikogo w cyrku nie obchodzi, gdzie ty się urodziłaś.
- Mnie to obchodzi — powiedział tak cicho, że ledwie go słyszałem. — Przez całe swoje pieprzone życie biłem się o każdy grosz, żeby nie złądować z powrotem w tym cholernym pokoju w Trenton.
- Ale skąd ta Kalifornia?
- Bo tam jest czysto — powiedział. — Lubię sobie wmawiać, że byłem kiedyś w miejscu, w którym jest czysto. — Odwrócił się do mnie nagle. — Jeśli tam jest brudno, to nic nie chcę o tym słyszeć.
- Tam jest czysto, Thaddeus — skłamałem.

Dopił swoje piwo.

— Jeśli komukolwiek opowiesz o tym, co ci właśnie powiedziałem, to wydrę ci garb z pleców i wcisnę do gardła — oświadczył. — Zrozumiałeś, ty pieprzony karle?

— Nikomu nie powiem, Thaddeus — obiecałem.

— No myślę — mruknął i położył się na kanapie. Wystarczyła minuta, żeby zasnął, skulony w tej samej pozycji co King Kong i z tym samym nie-szczęśliwym wyrazem twarzy. Gdy tak na niego patrzyłem, nagle dostrzegłem ze zdziwieniem, jak niewiele ich różni.

Poczułem, że w przyczepie jest chłodno, więc nakryłem go kocem, jak to już niejednemu raz robiłem, i poszedłem do łóżka. Kiedy się ułożyłem do snu, nic wiedzieć czemu zacząłem się zastanawiać, jak zarabiała na życie matka King Konga, albo czy King Kong myślał o naszym świecie jako o swojej Kalifornii.

ROZDZIAŁ 11

Obudziłem Thaddeusa w południe. Miał swojego zwykłego kaca, był irytujący i ochryple zażądał swojej porannej kawy.

— Dzięki — powiedział, kiedy mu przyniosłem. Upił łyk, objął kubek zziębniętymi dłońmi i przymknął oczy. — Lepiej — mruknął. — Ale mieliśmy noc, prawda? — spytał z krzywym uśmiechem. — Alma robiła za szlachetną, małpolud usiłował się zabić i...

Zawiesił głos, a ja widziałem po zakłopotaniu na jego twarzy, że przypomniał sobie, do czego mi się przyznał. Nagle wydał się skrępowany, prawie zawstydzony, co było czymś zupełnie niespotykanym w jego zachowaniu i choć czekałem na to od lat, musiałem przyznać, że wcale to do niego nie pasuje.

Dokończył kawę w milczeniu, ubrał się szybko i powędrował do namiotu sypialnego. Ja posprzątałem w kuchni, pościeliłem łóżka i kiedy przyszedłem tam za nim, siedział już na skraju łóżka King Konga, badając jego puls i rytm serca, jakby potrafił stwierdzić, czy odbiegają od normy.

Potem poprosił Pszczółkę o filiżankę zupy i nakarmił King Konga łyżeczką. Brakujące Ogniwo wyraźnie utracił wszelkiego ducha oporu — o ile „duch

oporu” był właściwym określeniem w jego przypadku — i przełknął całą zupę z ręki Thaddeusa.

Kiedy naczynie było już puste, Thaddeus spojrzał na Dużego Alvina i Wielkoluda, którzy pilnowali King Konga od czasu jego samobójczej próby.

— Czy nikt nie pomyślał, że przydałoby się go nakarmić? — spytał. — Cholera, on przecież rzygał tak długo, że nic mu w środku nie zostało.

Kiedy obydwaj milczeli, Thaddeus zawołał pana Ahasuerusa.

— A pan co? — spytał. — Myślałem, że jest pan za niego odpowiedzialny.

— Uważałem, że odpoczynek jest ważniejszy niż pożywienie — wyjaśnił Niebieski Człowiek.

— Nikt panu nie płaci za myślenie! — warknął Thaddeus. — Cholera, przecież tu jest pełna lodownia! On bardziej potrzebuje kalorii niż snu!

Obszedł namiot, miotany bezsilnym gniewem. W końcu dotarł z powrotem do łóżka King Konga.

— Ty! — powiedział ostrym tonem. — Jeśli przeniosę cię do mojej przyczepy, czy dasz mi słowo, że nie będziesz próbował się zabić albo uciec?

— Nie — odparł King Kong, wpatrując się mało stanowczo, lecz bez mrugnięcia okiem w Thaddeusa.

Thaddeus wytrzymał to spojrzenie przez dłuższą chwilę, po czym znowu zwrócił się do strażników.

— Alvin, zróbcie razem z Wielkoludem nosze z łóżka i zanieście go do mojej przyczepy. Potem powiedzcie Szwedowi, żeby tam się przeniósł i nie spuszczał z niego oka.

— Dziękuję — rzekł pan Ahasuerus.

Wzrok Thaddeusa padł na Tęczę, którego skóra znowu przybrała jasnosiną barwę.

— Tego też — powiedział, wskazując Wielobarwnego Człowieka.

— Czy mamy ich przynieść z powrotem na czas pokazu? — spytał Duży Alvin.

— Nie. Zostaną tam, dopóki nie wyzdrowieją. A Dynia i Snoopy zostaną dziś w namiocie. Sokole Oko też, chyba że Gloria przyniesie na czas jego tabletki.

— Mogłbym ich zastąpić — zaproponował pan Ahasuerus.

Thaddeus zaśmiał się ochryple.

— Pana wypuścić nie mogę — stwierdził. — Niby czemu chciałby mi pan zrobić przysługę?

— Wcale nie chcę — zareplikował pan Ahasuerus. — Po prostu chciałem się upewnić, że nie straci pan za wiele pieniędzy i nie będzie pan zmuszał moich towarzyszy, by występowali zanim wyzdrowieją.

— O to się pan nie martw — rzekł Thaddeus. — Martwi nie są dla mnie nic warci.

— Dobrze — powiedział pan Ahasuerus. — Zatem wycofuję swoją ofertę.

— Rezygnacja została przyjęta.

— Czy mogę zadać pytanie?

— Wal pan śmiało — powiedział Thaddeus, zapalając papierosa. Począstował też Niebieskiego Człowieka, ale ten odmówił.

— Odkąd... ach... przejął pan nasz gabinet osobliwości, ani razu nie zostałem wystawiony na pokaz.

— Czuje się pan wzgardzony? — spytał Thaddeus.

— Pytam z ciekawości.

— Świetnie. To panu da temat do rozmyślań — odparł Thaddeus.

— Czy to jedyna odpowiedź, jakiej mogę się spodziewać? — spytał pan Ahasuerus.

— Jedyna.

Niebieski Człowiek spojrzał na niego zdziwiony. Potem wzruszył ramionami i odszedł.

— Sam się nad tym zastanawiałem, Thaddeus — powiedziałem.

Zniżył głos tak, by nikt inny nie mógł go usłyszeć.

— To proste. Jeśli dasz ich przywódcy specjalne przywileje, choćby nawet wbrew jego woli, to oni to sobie zapamiętają i prawdopodobnie nie pójdą za nim tak chętnie, kiedy będzie próbował przejąć władzę.

— Więc uważasz, że on będzie chciał coś zrobić?

— Oczywiście.

— Ale przecież nikt w jego sytuacji nie byłby taki otwarty i chętny do współpracy jak pan Ahasuerus — zaprotestowałem.

— Toż, ten człowiek idzie na współpracę tak jak każdy. A musi być wyjątkowo wysoko postawiony, skoro powierzono mu statek kosmiczny i grupę turystów. Jaki stąd wyciągasz wniosek?

— A jaki powinienem? — spytałem.

— Nikt nie osiąga takiej pozycji, jeśli nie potrafi w razie czego zadać ciosu w plecy. Nie wiem, dlaczego on mnie próbuje zmiękczyć, ale to niczego nie zmienia. Jeśli jest przywódcą, to na pewno jest z nich najtwardszy.

— Ale on nie jest ludzką istotą — powiedziałem, nawet nie zwracając uwagi na fakt, że Thaddeus po raz pierwszy powiedział o nim „człowiek”. — Może w jego świecie wszystko jest inaczej.

— Na ile się orientuję, w całym wszechświecie obowiązuje to samo prawo: silni pożerają słabszych.

— Myślę, że się mylisz — stwierdziłem. — To znaczy mam taką nadzieję.

— A jeśli się nie mylę? Nikomu nie dzieje się żadna krzywda, a on przynajmniej nie musi znosić gapiących się na niego wiejskich chamów. A jeśli mam rację... — Zawiesił głos i błysnął zębami w uśmiechu.

W tym momencie pojawili się zmiennicy Wielkoluda i Dużego Alvina, więc Thaddeus przerwał, by nadzorować przeniesienie King Konga i Tęczy do przyczepy. Potem nadszedł czas programu, więc zagnał sześciu zdrowych komitów — Gloria jeszcze się nie pokazała z tabletkami dla Sokolego Oka — na ich podwyższenia.

Ponieważ w namiocie, w którym odbywał się pokaz, było jeszcze zimniej niż w sypialnym, postanowiłem zrobić kawę w kubkach i zanieść ją dziwołagom na tacy. Wręczyłem kubek Kaktusowi i już miałem podać następny Damie Pikowej, kiedy zauważyłem wysokiego, dobrze ubranego mężczyznę o przenikliwym wzroku i orlim nosie, który stał ukryty w tłumie. Widziałem go tylko raz w życiu, ale takiego człowieka, jak pan Romany, nie można zapomnieć, choćby nawet miało się więcej niż jedno życie.

Thaddeus właśnie skończył opisywać widzom Gumę i jego najzupełniej fikcyjne pochodzenie. Wszyscy zajęli się oglądaniem eksponatu, więc podszedłem do Thaddeusa i pociągnąłem go za rękaw.

— O co chodzi? — spytał.

— On tu jest! — szepnąłem. — Znalazł nas!

— Zdziwiłeś się? — powiedział z uśmiechem.

— Co masz zamiar zrobić? — odparłem na to.

— Najpierw skończę pokazywać eksponaty — oświadczył bez cienia zdenerwowania. — Nie przejmuj się Romanym, nie robi nam sceny w obecności widzów.

Thaddeus na nowo podjął swoją tyradę i minęło jeszcze piętnaście minut, zanim wyprowadził tłum na zewnątrz. Pan Romany był ostatni w szeregu i kiedy już wszyscy wyszli, zatrzymał się w przejściu i odwrócił w stronę Thaddeusa.

— Zrobił pan wyjątkowe głupstwo, panie Flint — powiedział.

— Głupota to ludzka rzecz — odparł Thaddeus z szerokim uśmiechem. — Ale ja z kolei powinienem stwierdzić, że głupi jest ten, kto samotnie wchodzi do obozu wroga.

— Próbuje mnie pan nastraszyć? — spytał pan Romany, unosząc brew i przybierając lekko zdziwioną minę.

— Proszę tak nie myśleć — zapewnił go Thaddeus. — To tylko spostrzeżenie. Co pan tu robi?

— Wie pan doskonale, co ja tu robię — odparł pan Romany. — Chcę ich odzyskać.

— Nie wątpię — powiedział Thaddeus i zarechotał.

— No i?

— To nie jest ani czas, ani miejsce, żeby o tym rozmawiać.

— To jest absolutnie najlepszy czas i miejsce — odparł pan Romany.

— Proszę wytężyć umysł — powiedział Thaddeus. — W interesie nas obojdwóch leży utrzymanie tej sprawy w tajemnicy. Tu się kręci za dużo ludzi.

— To może w pańskim biurze?

— To wykluczone. W mieście jest bar zwany „Tawerną Lucy”. Spotkamy się tam za godzinę.

— Jaką mogę mieć pewność, że pan przyjdzie? — spytał podejrzliwie Romany.

— Żadnej — odparł Thaddeus. — Ale wie pan, że nie dam rady przenieść cyrku gdzie indziej w ciągu jednego dnia, więc zawsze będzie pan mógł tu wrócić i mnie odszukać.

Pan Romany wyraźnie się zastanawiał.

— Dlaczego musimy iść aż do miasta? Nic możemy porozmawiać tutaj, na terenie cyrku?

— Bo nie chcę, żeby pański przyjaciel, telepata, był w pobliżu, kiedy będziemy rozmawiać.

— Więc już pan o nim wie?

— Jasne, że wiem — odparł Thaddeus. — Wydaje się panu, że z kim ma do czynienia?

Pan Romany spojrzął na zegarek.

— Za godzinę — powiedział i wyszedł z namiotu.

— Widziałeś? — spytał Thaddeus. — Nic się nie stało.

— Ale na tym jeszcze nic koniec — odparłem.

— Nadal nie rozumiesz, o co chodzi w tej grze, prawda? — rzekł z uśmiechem. — Chciał porozmawiać teraz. Zmusiłem go, żeby spuścił z tonu. Chciał porozmawiać tutaj. Zmusiłem go, żeby poszedł do miasta. Chciał pewnie, żeby w pobliżu był Kaktus. Zmusiłem go, żebyśmy się spotkali w cztery oczy.

— Czego to dowodzi?

— To dowodzi tego, że on ma znacznie bardziej ograniczone pole manewru niż ja — odparł Thaddeus. — I znaczy też, że choć wygląda na twardego, nie potrafi mi niczym za-grozić. — Urwał, by chrząknąć. — Może nie potrafię uchronić King Konga przed popełnieniem samobójstwa i może nie wiem, jak uszczęśliwić Almę, ale Romany to inna para kaloszy: gramy znowu na moim boisku i to ja znam wszystkie reguły gry. Wyprowadź wszystkie dziwolągi i łap kurtkę. Idziesz ze mną.

— Ale dlaczego?

— Bo on tego nie chce — powiedział Thaddeus. — Co ci przyjdzie z siły w kartach, jeśli nie możesz ich rozegrać?

Odprowadziłem sześciu kosmitów do namiotu, upewniłem się, że Gloria przyniosła pigułki sodowe dla Sokolego Oka, i pobiegłem po kurtkę. Zastanawiałem się, czy nie powiedzieć panu Ahasuerusowi, że pan Romany nas znalazł, ale postanowiłem nie budzić w nim nadziei. (Dopiero kiedy byliśmy w połowie drogi do miasta, uświadomiłem sobie, że i tak będzie o tym wiedział: pozostali musieli zauważyć pana Romany'ego podczas pokazu. Reszta drogi upłynęła mi na rozważaniach, czy pan Ahasuerus nie uzna mnie przypadkiem za lokaja Thaddeusa, skoro nic mu nie powiedziałem).

Miasteczko było takie jak większość osad północnego Vermont: wąskie uliczki, ogromny miejski plac, drewniane budynki (głównie stylowe kamienice z ozdobnymi kominami), przebudowane na magazyny i sklepy, oraz kilka długich i niskich biurowców, z taką liczbą okien, że człowiek odruchowo się zastanawiał, jak one są ogrzewane, kiedy nastaje prawdziwa zima.

„Tawerna Lucy” była knajpą, do której przychodzili ludzie z cyrku, kiedy mieli wolne i akurat nie pili w swoich przyczepach. Mieściła się w salonie starego, trzypiętrowego budynku, i mogła się poszczycić jedynie maleńkim barem, obudowanym tanią boazerią, kilkunastoma stołami oraz niewygodnymi drewnianymi krzesłami. Na każdym stole stała miseczka z solonymi orzeszkami, stawiana tam gratis przez właścicielkę. Całą podłogę zaścielały łupiny, które widocznie miały dodawać lokalowi atmosfery, choć być może po prostu Lucy i jej pracownikom nie chciało się zmiatać.

Późnym popołudniem, kiedy tam dotarliśmy, tawerna była pusta, wyjąwszy znużonego barmana, zaczytanego po uszy w „National Geographic”. Pan Romany czekał na nas w najdalszym kącie źle oświetlonej sali, na stole przed nim stała butelka schlitzza i do połowy opróżniona szklanka. Thaddeus zostawił mnie tam, poszedł zamówić piwo przy barze i po chwili wrócił.

— Myślałem, że przyjdzie pan sam — zauważył pan Romany.

— Już raz panu tłumaczyłem — uśmiechnął się Thaddeus. — To mój osobisty strażnik.

Pan Romany wpatrywał się we mnie.

— Jest mały, ale silny — dodał Thaddeus. Przysunął sobie krzesło i usiadł.

— Miał pan przyjemną podróż?

— Dopiero co wyszedłem z aresztu.

— Proszę to uznać za ryzyko zawodowe — powiedział Thaddeus, nadal się uśmiechając.

— Mam za sobą gorsze przejścia.

— Jeśli pan miał przy sobie karty do gry, to trzeba było nimi zagrać o swoje zwolnienie — powiedział Thaddeus.

— Czy skończymy z tym pustostowiem i przejdziemy wreszcie do sprawy?

— spytał chłodno pan Romany.

— To mi pasuje — zgodził się Thaddeus. — Co o tym myślisz, Tojo?

— Znakomicie — odparłem zaskoczony.

— W porządku — powiedział pan Romany. — Popełnił pan poważne przestępstwo, panie Flint. Nawet przy dość luźnych normach obowiązujących na tej planecie, porwanie należy do poważniejszych wykroczeń.

— Więc powinien pan donieść na mnie policji. Gdyby to pan popełnił przestępstwo, ja z pewnością bym się nie wahał, jak pewnie pan zauważył.

— Obydwaj wiemy, że to jest niemożliwe.

— Cóż, zatem obydwaj płyniemy tą samą łodzią, nieprawdaż? — odparł Thaddeus. — Pan nie chce, by władze dowiedziały się, że oni są kosmitami, a ja nie chcę, by władze się dowiedziały, że ja ich porwałem. Sądzę, że odtąd będziemy musieli sobie ufać.

Bardzo pilnie obserwowałem reakcje pana Romany'ego, ale niczego nie dostrzegłem. Albo jego twarz nie była w stanie zmieniać wyrazu, co było z pewnością możliwe, albo nie chciał odkryć wszystkich kart. Optowałem na rzecz tej drugiej możliwości: wiedział, że blef z powiadaniem policji nie

uda mu się w przypadku Thaddeusa. Wspomniał o tym tylko pro forma, żeby mieć już to z głowy.

— A gdybym ich tak wykradł? — spytał i wtedy wiedziałem, że blefuje. Chciał po prostu, żeby Thaddeus zdradził, w jaki sposób zabezpieczył kosmitów przed kontaktami z nim.

— Proszę bardzo — odparł zimno Thaddeus. — Tylko wtedy ja oczywiście zabiję Brakujące Ogniwo i Wielobarwnego Człowieka. — Urwał, czekając na efekt swoich słów. — Proszę sprawdzić w namiocie. Nie znajdzie ich tam pan.

— Gdzie oni są?

— Gdzieś w Maine — skłamał Thaddeus. — Naturalnie nie muszę ich zabijać. Mogę ich po prostu przekazać rządowi. Bo przecież jeśli pan zabierze pana Ahasuerusa i pozostałych, moje zwykłe dochody i tak na tym nie ucierpią, prawda?

Tym razem nastąpiła reakcja, polegająca na nieznacznym stężeniu mięśni na szczupłej, uważnej twarzy pana Romany'ego. Wiedziałem, że Thaddeus wykorzysta to w przyszłości. Groźba ujawnienia oznaczała dla pana Romany'ego więcej niż śmierć kilku kosmitów.

— Postępuje pan wyjątkowo nierozsądnie — oświadczył w końcu pan Romany. — Porwanie się panu udało, bez wątpienia zarobił pan już znaczną ilość pieniędzy, ale teraz proszę ich oddać, jeśli pan nie chce, by podjęto dalsze działania.

— Jak dotąd żadne działania nie zostały podjęte — zauważył Thaddeus.

— To się zmieni. Ludzka Poduszcзка do Igieł monitoruje tę rozmowę. Kiedy się dowie, że nie ma pan zamiaru ich uwolnić, cała grupa będzie zmuszona podjąć działanie, z moją pomocą lub bez niej.

— Gówno prawda — stwierdził Thaddeus.

— Słucham?

— Ludzka Poduszcзка do Igieł nie usłyszy ani jednego słowa. On może tylko wysłać informacje. Gdyby potrafił je odbierać, wiedziałby, że chcę ich przejąć i byłibyście lepiej przygotowani. Panie Romany — powiedział, pochylając się nad stołem — może skończymy z tymi bzdurami i przejdziemy wreszcie do rzeczy.

— Rzecz polega na tym, że nielegalnie wprowadził pan dwanaście rozumnych istot i więzi je wbrew ich woli.

— Rzecz polega na tym — powiedział Thaddeus — że ktoś wywiera na pana nacisk, żeby pan jak najszybciej załatwił ten problem. Jest pan zwykłym

pachołkiem, zwiadowcą, asystentem przewodnika wycieczki czy kimś takim. Ktoś tam wyżej zaczął się denerwować o pana Ahasuerusa i jego grupę, a pan nie chce żadnych ciemnych plam na swoim życiorysie. Kiedy nadejdzie pora na awans, nie będzie pan chciał, by pamiętali, że ktoś musiał pana wyciągać z takiego bagiennego światka jak nasz.

W trakcie gdy Thaddeus to mówił, pan Romany zaczął się niespokojnie wiercić na krześle, wyraźnie coraz bardziej zdenerwowany.

— Tak więc nasz problem — zakończył Thaddeus z pogardliwym uśmiechem na twarzy — nie polega na tym, jak ratować grupę niewinnych turystów przed życiem w niewoli i poniżeniu, tylko jak będziemy ratować pański tyłek. Czy pana zdaniem to stwierdzenie dobrze podsumowuje całą sytuację?

Pan Romany przytaknął z nieszczęśliwą miną.

Nastąpiło długie, nieprzyjemne milczenie, podczas którego Thaddeus obdarzał mnie uśmiechem typu „A nie mówiłem?”.

— W porządku — powiedział, kiedy stało się jasne, że pan Romany nie ma zamiaru się odezwać. — Pracuje pan dla agencji, która nakręciła tę robotę i nie chce pan, żeby agencja wlażała panu na głowę. Potrafię to zrozumieć i jestem pewien, że wspólnie dojdziemy do jakiegoś rozwiązania.

— Co? — spytał pan Romany.

— Nie mam zamiaru wysuwać żadnych roszczeń — powiedział Thaddeus. — To by wyglądało na jakiś szantaż albo wymuszanie. Pan teraz pojedzie do siebie, do motelu czy gdzie tam u diabła pan się zatrzymał i pomyśli nad jakimś rozwiązaniem. Potem przyjedzie pan w południe do cyrku i wtedy porozmawiamy. Będę czekał w autobusie Mońka.

— Nie w gabinecie osobliwości?

— Nie. A jeśli się dowiem, że usiłował się pan kontaktować z Ahasuerusem albo kimś innym, umowa zostaje zerwana.

Pan Romany wstał.

— Jeszcze jedno — powiedział Thaddeus.

— Tak?

— Odtąd żadnych sztuczek. Robił pan tu całkiem niezłe za Thaddeusa Flinta, ale to ja jestem Thaddeusem Flintem od trzydziestu czterech lat. Rozumie pan, co chcę powiedzieć?

Pan Romany skinął głową i wyszedł z tawerny, ale nie był już tą złowieszczą postacią, która tu na nas czekała.

— No i co? — zagał Thaddeus, zapalając papierosa i dopijając ostatnie piwo.

— Cały czas to wiedziałeś, prawda? — odparłem.

— Toż, gdybyś był w tym cholernym biznesie tak długo jak ja, potrafiłbyś wyczuć oszusta z odległości dwustu jardów.

— Spojrzał w stronę drzwi, w których widać było jeszcze sylwetkę Romanyn'ego. — Ten cholerny sukinsyn nie da ani centa za Ahasuerusa i pozostałych.

Chcąc tylko zobaczyć, jaka będzie jego reakcja, spytałem:

— A niby dlaczego miałby to zrobić?

Thaddeus wpatrywał się we mnie długo i uporczywie.

— Bez powodu — powiedział w końcu.

Zostawił na stole kilka monet, a potem ruszył do wyjścia.

— Czy już wracamy? — spytałem.

— Niedługo — powiedział. — Ale najpierw chcę jeszcze gdzieś wpaść.

Objechaliśmy całe miasto, żeby zatrzymać się w końcu przed księgarnią. Thaddeus zostawił mnie na kilka minut w samochodzie, a gdy wrócił, trzymał pod pachą książkę w sztywnej oprawie.

— To pierwsza książka, jaką kupiłem od dziesięciu lat — zauważył z nieco zażenowaną miną.

— O czym to jest? — spytałem.

— O astronomii.

— Z jakiegoś szczególnego powodu?

— Ze zwykłej ciekawości — powiedział.

W milczeniu wróciliśmy do cyrku. Thaddeus zaniósł książkę do przyczepy i przy okazji zajrzał do King Konga.

— Jak on się czuje? — spytał Szweda.

— W porządku — odparł Szwed. — Jest dość słaby, ale raczej mu się nie pogarsza.

— Świetnie.

— Aha, szefie? — powiedział Szwed i Thaddeus odwrócił się w jego stronę.

— Czy mam zostać tutaj, czy robić konferansjerkę?

— Zostań tutaj.

— To kto będzie robił przy strip-tease? — nalegał Szwed.

— Zawołam Cwaniaka — rzekł Thaddeus.

— Jemu się to nie spodoba.

— Jak długo ja tu jestem szefem, jemu się to nie musi podobać — powiedział Thaddeus. — Po prostu ma to zrobić. — Spojrzał na mnie. — Pozwoliłbym tobie to robić, gdybyś umiał.

— Wiem, Thaddeus — odparłem.

— Może któregoś dnia, gdy tłum będzie trochę mniejszy.

— Nie ma sprawy, Thaddeus.

— No dobra — powiedział zdenerwowany. — Jak wygląda Tęcza?

— Tak samo — odparł Szwed. Tęcza spał w pokoju obok.

— Sprawdź, czy jest dobrze przykryty — powiedział Thaddeus. — No chodź, karle, wracamy do pracy.

Poszliśmy do namiotu sypialnego i wyprowadziliśmy siedmiu zdrowych kosmitów na pokaz, sprawdziliśmy najpierw, czy Sokole Oko zażył swoje tabletki. Potem Thaddeus zaczął zapowiadać, a ja wróciłem do namiotu sypialnego, żeby się zdrzemnąć, ponieważ poprzedniej nocy spałem tylko kilka godzin.

Obudziłem się około północy i poszedłem posłuchać ostatniego występu Thaddeusa. Przypominał muzyka jazzowego, zamiast nut używającego słów, zachowywał te same podstawowe tematy, ale nigdy nie odtwarzał melodii w ten sam sposób. Przetwarzał i poprawiał jedną kwestię albo dowcip tak długo, aż zaczynały błyszczeć niczym polerowana kość słoniowa, potem odrzucał je i wypróbowywał nowe. Patrzyłem na niego i czułem, że choćbym nawet potrafił mówić jak normalni ludzie, nie zostałem tak dobrym konferansjerem. To była forma sztuki, a nie można się nauczyć, jak być artystą. Artystą trzeba się po prostu urodzić, a ja, w jakiś sposób wiedziałem, że nim nie jestem.

Po skończonym pokazie odprowadziliśmy kosmitów do namiotu sypialnego. Wielkolud i Duży Alvin wrócili na swój posterunek, Wielkolud stanął obok Dyni ze szklanką wody w ręku.

— No chodź tu, piękna — powiedział. — Tylko mały łyeczek.

Dynia odwróciła się od niego niezdarnie.

— A może miałabyś ochotę na małą kąpiel — kontynuował, podchodząc do niej bliżej. — Chryste, śmierdzisz jak nieboskie stworzenie.

Dynia potknęła się i omal nie upadła, na co on parsknął donośnym śmiechem.

— Marna z ciebie baletnica, co? — kpił, nie przestając rechotać.

Już miał powiedzieć coś jeszcze, ale w tym momencie Thaddeus chwycił go za ramię, obrócił i wyprowadził cios. Wielkolud był o wiele wyższy, więc pięść nie sięgnęła celu. Uderzony w kark zwałił się na podłogę.

— Cemu to zrobiłeś, do diabła? — wyrzęził Wielkolud, dźwigając się na kolana i mrugając ze zdziwienia.

— Płaci ci się za to, żebyś ich pilnował, a nie dokuczał — powiedział Thaddeus, nadal zaciskając pięści.

— Ja chciałem sobie tylko trochę pożartować — powiedział Wielkolud, energicznie rozcierając kark.

— Masz dziesięć minut, żeby pozbierać manatki i wynieść się z cyrku — oświadczył Thaddeus. — Jeśli wtedy jeszcze tu będziesz, to czeka cię druga runda.

— Wyrzucasz mnie za to, że się nabijałem z tego twojego pieprzonego dziwoląga? — stwierdził Wielkolud z niedowierzaniem. — Cholera, cackasz się z nimi jak z własnym gównem!

— Dziewięć minut i odliczanie — oświadczył złowieszczo Thaddeus.

Wielkolud podźwignął się chwiejnie, nadal kręcąc głową ze zdziwienia, i wyszedł na zewnątrz.

— Alvin — rozkazał Thaddeus — nie spuszczaaj z niego oka i upewnij się, że odszedł. Jeśli tu nadal będzie za piętnaście minut, chcę o tym wiedzieć.

Duży Alvin skinął głową i wyszedł z namiotu. Zdumienie malujące się na jego twarzy było tylko odrobinę mniejsze niż zdziwienie Wielkoluda.

Thaddeus podszedł do Dyni.

— Nic ci nie jest? — spytał, a ona skinęła powoli swoją słoniową głową. Potem spojrzał na mnie. — Tojo, bądź tutaj dopóki Alvin nie wróci.

— W porządku, Thaddeus — powiedziałem.

Gdy wyszedł z namiotu, podszedł do mnie pan Ahasuerus.

— O ile się orientuję pan Romany nas znalazł — powiedział.

— Nie robiłbym sobie wielkich nadziei na waszym miejscu — odparłem. — On wydaje się bardziej przejmować swoją sytuacją. Myślałem, że on pracuje dla ciebie.

— Niezupełnie — powiedział pan Ahasuerus, wyraźnie rozczarowany. — Obydwoj pracujemy dla tego samego pracodawcy. Uważasz, że nie będzie nam mógł pomóc?

— Nie wiem — powiedziałem. — Ma się jutro spotkać z Thaddeusem. Wtedy będę wiedział coś więcej.

Niebieski Człowiek chciał chyba jeszcze coś dodać, ale wyraźnie zmienił zamiar i powędrował do swojego łóżka. Dwadzieścia minut później wrócił Alvin, od którego się dowiedziałem, że Wielkolud odebrał swoją wypłatę u Diggsa i poszedł sobie.

Siedziałem w namiocie jeszcze kilka godzin, po czym powędrowałem do swojej przyczepy. King Kong spał pod czujnym okiem Szweda w salonie, Tęcza wypoczywał w sypialni, natomiast Thaddeus siedział na podłodze w kuchni i oparty o szafkę, pochłaniał świeżo kupioną książkę z tą samą zaciekłą pasją, z jaką zazwyczaj traktował tylko swoje kobiety i zyski.

ROZDZIAŁ 12

Obudziłem się jak zwykle tuż przed dziesiątą i wyszedłem z sypialni na palcach, żeby nie obudzić Tęczy. Thaddeus, już ubrany, stał przy oknie i patrzył na cyrkowy plac z uśmiechem rozbawienia na twarzy.

— Co robisz? — spytałem.

Przyłożył palec do ust, wskazując King Konga, który jeszcze głęboko spał, i wyszeptał:

— Wcale się nie kładłem.

— Czy coś się stało? — odparłem szeptem.

— Prawie całą noc czytałem. Jak zobaczyłem, która godzina, stwierdziłem, że lepiej się już nie kłaść, bo mogę zaspać na spotkanie z Romanym. — Znowu wyjrzał przez okno. — Jest tam dwóch gliniarzy. Obserwuję ich od dobrych dwudziestu minut.

— Po co tu przyszli?

— A po co gliniarze przychodzą do cyrku? — uśmiechnął się. — Ale ci faceci muszą być nowi w tym fachu, bo wyraźnie nie wiedzą z kim rozmawiać. Monk zdaje się nieźle ich nastraszył, kiedy wyprowadził Bruna na spacer.

Podszedłem do okna i wyjrzałem na zewnątrz. Dwaj policjanci wdali się w ożywioną rozmowę ze Stogiem, co oczywiście było błędem: w końcu powie im, co chcą wiedzieć, ale najpierw będzie usiłował im wcisnąć dwadzieścia

albo trzydzieści przedpotopowych dowcipów. Słuchali go, z początku cierpliwie, potem z rosnącą irytacją. Wreszcie jeden z nich krzyknął coś na niego, a Stogie najpierw obdarzył ich spojrzeniem całkowitej pogardy dla takiego braku poczucia humoru, inteligencji albo jednego i drugiego, po czym wyjął swe nieodłączne cygaro z ust i wskazał naszą przyczepę.

Chwilę później zapukali do drzwi i Thaddeus gestem nakazał mi wyjść razem z nim na zewnątrz, żeby nie obudzić dwóch śpiących kosmitów.

— To pan jest Thaddeus Flint? — spytał wyższy gliniarz.

— Zgadza się — odparł Thaddeus, zapinając kurtkę i wkładając ręce do kieszeni. — Przyszliście trochę za wcześnie na występy, panie oficerze.

— Prawdę powiedziawszy, właśnie o nich chcieliśmy porozmawiać — padła odpowiedź.

— Nie będziecie mieli nic przeciwko, jeśli przejdziemy się w trakcie tej pogawędki, prawda? — odparł Thaddeus. — Jest trochę za zimno, by stać.

— Nam to odpowiada — powiedział niższy.

Thaddeus odwrócił się do mnie i skinął głową. To był dla mnie sygnał, że mam zniknąć: gliniarze nie lubili świadków podczas brania łapówek.

Postanowiłem nie wracać do przyczepy, ponieważ nie chciałem budzić śpiących kosmitów, ale zatrzymałem się przy cieplarni, żeby odszukać Szweda i powiedzieć mu, by zaraz wracał do pracy. Posiedziałem tam chwilę, żeby się trochę ogrzać, po czym wystawiłem głowę na zewnątrz, chcąc zobaczyć, czy Thaddeus załatwił już sprawę z policjantami.

Stał samotnie, paląc pierwszego porannego papierosa, więc podszedłem do niego.

— Po wszystkim? — spytałem.

Skinął głową.

— Chodź mi dotrzymać towarzystwa, Tojo.

Poszliśmy do przyczepy Cwaniaka i Thaddeus tak długo walił do drzwi, aż w końcu Cwaniak mu otworzył.

— Zająłem się gliniarzami — doniósł Thaddeus. — Wszystko załatwione.

— Na jak długo? — spytał Cwaniak.

— Pięć dni. Potem wrócą po więcej.

— Zostajemy na tym arktycznym pustkowiu jeszcze pięć dni?

— Jeszcze nie zdecydowałem — powiedział Thaddeus. — Idź spać. Przeżyjesz się, jak będziesz tu stał w samych szortach, a ja umrę ze śmiechu.

Diggs zamknął drzwi, nie mówiąc już ani słowa, a my poszliśmy do namiotu dziewczyn. Alma z trzema innymi siedziały w jeansach i swetrach, piły kawę i gorącą czekoladę z dodatkiem whisky, natomiast Gloria, ubrana w trykotowy kostium, uprawiała swoją codzienną gimnastykę: przysiady, podskoki, podnoszenie nóg i ćwiczenia rozciągające. Traktowała poważnie swoją pracę — prawdopodobnie zbyt poważnie — i zawsze miałem uczucie, że inne stripteaserki jej nie lubią, bo w porównaniu z nią wydawały się leniwe.

— Dzień dobry — powiedziała Gloria, przechodząc do wymachów ramion.

— Nic w nim nie ma dobrego — oświadczył Thaddeus. — Strasznie tu zimno.

— I co? — spytała Alma.

— Z czym?

— Widziałam, że rozmawiałeś z gliniarzami.

— Oni też uważali, że jest zimno — odparł Thaddeus.

— Nie zbaczaj z tematu — powiedziała Alma znużonym głosem. — To do czego może-my się posunąć?

— Ładnie się ubierzcie.

— Okay — rzekła Alma. — A teraz, skoro już usłyszałyśmy dowcip dnia, jak to ma wyglądać?

— Słyszałaś — odparł Thaddeus.

Gloria przestała wymachiwać ramionami i spojrzała na niego, a Barbara, inna stripteaserka, zaśmiała się szyderczo.

— No dalej, Thaddeus — powiedziała. — Co ty znowu kombinujesz?

— Nic — odparł. — Już mi się znudziło dawać gliniarzom w łapę.

— Łapówka i Thaddeus pasują do siebie jak klucz do dziurki — upierała się Barbara. — Co się stało?

— Nic takiego. Możesz pokazywać tyłek, jeśli masz ochotę, ale ja nie zapłacę za ciebie kaucji.

— Dziwolągi nie zarabiają tylu pieniędzy co my — zauważyła Barbara.

— A nawet gdyby tak było, to skąd pomysł, żeby zrezygnować z tak łatwej forsy? — dodała Priscilla, która tańczyła pod pseudonimem Silikonowa Gwiazda.

— Powiedz to wreszcie, Thaddeus — powiedziała Barbara. — Jaki jest plan?

— Plan jest taki, że zaczniecie zarabiać na życie, zamiast się tarzać po scenie i bawić w różne gierki z bandą wiejskich chamów. Jeśli wam to nie pasuje, możecie pomóc Cwaniakowi przy grach.

— Udajesz, czy mówisz poważnie? — spytała niepewnie Priscilla.

— Ja uwierzę, kiedy to zobaczę — oświadczyła Barbara.

— To się ma zacząć już od dzisiejszych występów — powiedział Thaddeus — chyba że chcesz oberwać po swym kształtnym tyłku.

— Wiesz — powiedziała Barbara. — Ty chyba naprawdę mówisz poważnie. — Spłoszona umilkła na sekundę. — Słuchaj, Thaddeus, nigdy nic myślałam, że powiem coś takiego, ale... cóż, zdążyliśmy już pokazać co nieco, odkąd tu jesteśmy i wieści już się rozeszły po okolicy. Chcesz więc, żebyśmy czekały do następnego miasta...

— Ty zdaje się nie słuchałaś, co? — powiedział z irytacją Thaddeus. — Przez cały tydzień w pierwszym rzędzie będzie siedzieć dwóch bardzo niešťczęśliwych gliniarzy, którzy będą szukali wszelkich powodów, żeby was zapuszkować.

— Ile chcieli z ciebie wytrząsnąć? — spytała Priscilla.

— Tyle co zawsze. A ja właśnie stwierdziłem, że znudziło mi się płacić.

— Czy dziwolągi naprawdę zgarniają taką kasę?

— To, co robią dziwolągi, to nie wasz interes — odparł Thaddeus. — Wasz interes polega na tym, że począwszy od tej chwili macie się zachowywać bardziej jak stripteaserki, a mniej jak dziwki. Jeśli nie pamiętacie, jak się to robi, to przyjrzyjcie się Glorii.

— Chwileczkę! — wykrzyknęła z pasją Barbara. — Kto kazał nam się tak zachowywać?

— Zamknij się — warknęła Alma, która dotychczas milczała i Barbara umilkła, zdziwiona.

— Cóż — powiedział Thaddeus z bardzo niepewną miną — to by było na tyle. — Spojrzał na mnie. — Choć tu, ty rozpustny karle. Już się chyba dość napatrzyłeś?

Wyszedł szybko z namiotu. Ruszyłem w ślad za nim, ale w drodze do drzwi minęła mnie Alma. Dobiegła do Thaddeusa i chwyciła go za rękę.

— Wracaj do środka — powiedział. — Zamarzniesz na śmierć.

— Wiem, ile to cię będzie kosztowało — wyszeptowała, patrząc mu prosto w oczy. — Dziękuję.

— Nie dziękuj — odparł. — Po prostu znudziło mi się dawać w łapę glinom.

— Czy znudziło ci się również dawać im w łapę za gry Cwaniaka?

— Gry Cwaniaka są jego sprawą.

— Więc dziękuję ci, że ci się znudziło dawać w łapę policji.

— Nagle stanęła na palcach, pocałowała go ukradkiem w policzek, po czym wyraźnie zażenowana, wbiegła z powrotem do ciepłego namiotu.

— Thaddeus... — zacząłem.

— Ani słowa, ty obrzydliwy karle! — warknął.

Milcząc poszliśmy do namiotu sypialnego. Kiedy tam weszliśmy, Thaddeus zrobił szybki obchód łóżek i krzesel kosmitów. Na końcu podszedł do pana Ahasuerusa.

— No i jakie są notowania? — spytał.

— Nie rozumiem — odparł Niebieski Człowiek.

— Kto jeszcze jest chory?

— Nikt.

— A to ci niespodzianka — powiedział. — Jak się czuje Snoopy?

— Znaczna poprawa. Będzie w stanie występować dziś po południu.

— A Dynia?

— Jej wyzdrowienie postępuje w nieco wolniejszym tempie — odparł pan Ahasuerus.

— Ale zdrowieje?

— Tak.

Thaddeus patrzył na nią przez chwilę, po czym westchnął.

— Okay. Daj jej dzień urlopu, Tojo.

— W porządku, Thaddeus — odparłem.

W momencie gdy mówiłem Dyni, że nie musi występować, w namiocie pojawiła się Barbara, szepnęła coś Pszczółce i natychmiast wyszła.

— Dzisiaj zaczniemy trochę później — mówił właśnie Thaddeus panu Ahasuerusowi, kiedy się do nich przyłączyłem. — W południe mam spotkanie w interesach.

— Z panem Romanym?

— To raczej nie jest pańska sprawa — odparł Thaddeus — ale tak, spotykam się z Romanym.

— Życzę powodzenia — powiedział pan Ahasuerus.

— Pozwolę sobie życzyć tego samego — odparł Thaddeus z ironicznym uśmiechem.

— Oczywiście pan rozumie, że on jest tylko drobnym funkcjonariuszem w naszej organizacji.

— Może jest drobnym funkcjonariuszem, ale ma kilka sporych wad charakteru — odparł Thaddeus. — Niemniej jestem pewien, że uda nam się coś razem wymyślić.

— Ja też mam taką nadzieję — powiedział pan Ahasuerus.

— Byłem równie zdumiony jak pan, że nikt inny nie zachorował ubiegłej nocy. Jest to, jakby nie mówić, obcy świat, i spodziewam się, że liczba zachorowani zwiększy się dramatycznie podczas następnych kilku dni.

— Chyba że już osiągnęła szczyt, a wy wszyscy zaczynacie się przystosowywać do tego świata — powiedział Thaddeus. — Trudno jest ocyganić Cygana, panie Ahasuerus.

Niebieski Człowiek tylko wzruszył ramionami i wrócił do swych towarzyszy. W tym momencie podeszła do nas Pszczółka.

— O co chodzi? — spytał Thaddeus.

— Słyszałam, co zrobiłeś — powiedziała. — I chciałam ci tylko podziękować.

— A ja myślałem, że będziesz ostatnią osobą, której się to spodoba — powiedział z cierpkim uśmiechem.

— Dlaczego?

— Bo teraz będziesz znowu zajmować się kostiumami.

— To moja praca — odparła Pszczółka.

— Jasne. Tak jak praca Almy to taniec przy muzyce.

— Bardzo trudno ci się dziękuje.

— Nikt cię o to nie prosił — powiedział. — To jasne jak słońce, że nie zrobiłem tego, żeby cię uszczęśliwić.

— Wiem — odparła Pszczółka. Długo wpatrywała się w niego twardym wzrokiem. — Może Alma ma rację. Może w tobie jest coś więcej niż widać na pierwszy rzut oka.

— Bo nie każę już dziewczętom udawać dziwek na scenie?

— Tak.

— Ale nadal trzymam dziwolągi wbrew ich woli — zauważył.

— No i co z tego? To są tylko dziwolągi.

— A gdybym ci powiedział, że jeden z nich jest poetą, a inny biologiem?

— Nie uwierzyłabym ci — odparła Pszczółka.

— To prawda.

— No i co z tego. Dalej są dziwolągami.

- Więc czemu ich karmisz? — spytał.
- Żeby się czuć przydatna — odparła szczerze. — A poza tym nawet dziwoląg ma prawo do jedzenia.
- Ale nie do wolności, co? — spytał ją z uśmiechem.
- No to ich uwolnij, jeśli tego chcesz! — warknęła Pszczółka. — I zejdź ze mnie. Przepraszam, że ci podziękowałam. Zrobiłam to tylko dla Almy.
- Rozbawienie zniknęło z jego twarzy.
- Czy dużo robisz dla Almy?
- Nie twój pieprzony interes!
- Wiem, że nie, ale i tak chciałbym usłyszeć odpowiedź — nalegał niezręcznie. — Czy jest jej z tobą dobrze, Pszczółko?
- O całe niebo lepiej niż kiedy była z tobą!
- Nie wątpię w to. To lepiej rób wszystko, żeby dalej tak było.
- To wyzwanie czy pogróżka? — zaatakowała go Pszczółka.
- Ani jedno ani drugie. Ja swoje zrobiłem rano. Teraz kolej na ciebie.
- O czym ty mówisz? — spytała zdziwiona Pszczółka.
- Mówię, że jeśli jest szczęśliwa z tobą, to jest twoja — odparł Thaddeus.
- Jak na takie sprytne babsko, Pszczółka, to mało co rozumiesz. — Spojrzał na zegarek. — Już czas. Toż, idź do Monka i powiedz, że potrzebuję jego autobusu na jakieś dwie godziny.

Poszedł jeszcze coś powiedzieć panu Ahasuerusowi. Kiedy wychodził z namiotu, Pszczółka odprowadziła go zdumionym wzrokiem, jakby nie wierzyła w to, co właśnie usłyszała. I mówiąc szczerze, ja sam miałem z tym trudności. Nie wiedziałem, co się stało z Thaddeusem, ale wiedziałem, że tego na pewno nie spowodowała sucha książka o astronomii.

Monka nie było w autobusie, więc odszukałem go w ciepłarni i powiedziałem, że Thaddeus potrzebuje autobusu.

- Okay — odparł. — Ale tam są moje zwierzęta.
- Chodzą wolno?
- Bruno jest w klatce. Koty chodzą wolno. Powiedz mu, że ma się nimi nie przejmować. Nie będą mu przeszkadzały.
- Chyba lepiej je pozamykaj — powiedziałem.
- Thaddeus zna moje koty. Nie boi się ich, co najwyżej lwa, więc może tylko jego zamknę?
- Thaddeus ma towarzystwo.

— Czemu nie użyje własnej przyczepy dla swoich słynnych podbojów — zirytował się Monk.

— Bo jego przyczepa została tymczasowo zamieniona na szpital — wyjaśniłem. Powie-działem Monkowi o King Kongu i Tęczy, aż w końcu zechciał pójść do swojego autobusu, ani na chwilę nie przestając zrzedzić.

— W porządku — stwierdził, wyłaniając się minutę później. — Tylko przekaż mu, że jeśli połamię sprężyny w łóżku, to dziś wieczorem będzie miał czworonożne towarzystwo.

— To spotkanie w sprawie interesów.

— Ach tak? Czyżby Thaddeus chciał za coś płacić? — powiedział Monk i zniknął we wnętrzu cieplarni.

Thaddeus przyszedł do mnie kilka minut później i razem weszliśmy do autobusu. Jak zwykle pierwszą rzeczą, którą zauważyłem, był ostry zapach kociej uryny, przemieszany z zapachem Bruna i samych kotów. We wnętrzu autobusu było na ogół czysto, tyle że ostatnio z powodu pogody stało się przymusowym więzieniem dla zwierząt i Monk jeszcze nie zdążył go wyszorować.

W odległości dziesięciu stóp od siedzenia kierowcy do podłogi był przy-mocowany ogromny stół do pokera, nakryty zwierzęcymi skórami. Jakiś czas temu otaczały go wyścietane ławy, ale Monk je odsunął, gdy odkrył, że Szwed zagląda mu w karty podczas pokera i zastąpił je składanymi krzesłami. Thaddeus rozłożył trzy krzesła, ustawił je i już zaczął buszować w lodówce w poszukiwaniu czegoś do picia, kiedy do autobusu wszedł pan Romany.

— Dzień dobry, panie Flint — powiedział, marszcząc nos, gdy poczuł zwierzęcy zapach i rzucając szybkie spojrzenie w stronę czterech klatek.

— Proszę usiąść — rzucił Thaddeus. — Usiądę za minutę. — Wyciągnął trzy butelki imbirowego piwa, wręczył nam po jednym i wyciągnął z kieszeni skomplikowany scyzoryk. Otworzył go, znalazł ostrze, które służyło za otwieracz do butelek, zdjął kapsel ze swojej butelki i podał nam scyzoryk. Bruno wyciągnął łapę między kratami, usiłując dosięgnąć albo Thaddeusa albo butelkę, więc Thaddeus odsunął trochę swoje krzesło.

— Najpierw najważniejsze: czy rozmawiał pan z Ahasuerusem albo kimś innym po drodze do autobusu?

— Żądał pan, żebyśmy tego nie robili — odparł pan Romany.

— Dobrze — powiedział Thaddeus, a na jego twarzy zagościł przelotny uśmiech. — Szanuję ludzi, którzy robią to, co im się każe. Zdaje się, że prosi-

tem również, by zastanowił się pan nad jakimś zadowalającym nas obu rozwiązaniem.

Pan Romany skinął głową.

— Obydwaj wiemy, że trzyma mnie pan w szachu — powiedział — więc złożę panu moją najlepszą ofertę i myślę, że spotka się ona z pańską aprobatą.

— Naszą aprobatą — rzekł Thaddeus. — Toż jest również moim doradcą w sprawach interesów.

— Och, nie wiedziałem — odparł pan Romany i jakby lekko się zaczerwienił.

— Teraz pan wie. Proszę kontynuować.

— Panie Flint, muszę odzyskać Ahasuerusa i jego grupę. To nie podlega dyskusji.

— Proszę nie używać terminu „nie podlega dyskusji” na samym początku rozmowy — powiedział Thaddeus. — To mnie irytuje.

— Niemniej jednak muszę ich odzyskać. Od tego zależy moja kariera. Proponuję prostą rzecz: jeśli pan ich zwróci, przekonam moich zwierzchników, żeby wykorzystali pański cyrk jako bazę dla wszystkich przyszłych grup wyciezkowych.

— Może pan to zrobić?

— Tak mi się wydaje.

— Tak się panu wydaje? — powtórzył Thaddeus, podnosząc brwi.

— Wyrażę to inaczej — powiedział pan Romany. — Wiem, co mogę.

— A jeśli któremuś z pańskich zwierzchników nie spodoba się ten pomysł?

— Są oddaleni o połowę galaktyki. Będą się kierować moimi rekomendacjami.

— Po tym, jak Ahasuerus opowie, co ich tutaj spotkało?

— To będą jego słowa przeciwko moim. I pańskim.

— Jego słowa i słowa pozostałej jedenastki — poprawił go Thaddeus.

— Panie Flint, nie chcę się z panem sprzeczać, ale nie ma pan po prostu pojęcia, jaka duża jest galaktyka. Dla moich pracodawców zebranie niezbędnych zeznań i dowodów wiązałoby się z wieloma latami biurokratycznej roboty.

— I co pan za to chce? — spytał Thaddeus.

— Posadę.

— I co jeszcze?

- Jedną trzecią.
- Jedną trzecią czego?
- Wszystkiego. To będzie tego warte, panie Flint. Proszę zauważyć, jak bardzo grupa Ahasuerusa poprawiła pańskie dochody. A poza tym to nie będzie trwało całą wieczność. Za trzy, cztery lata znikam z tej kuli brudu.
- Tak? A dokąd pan pójdzie?
- Dopóki jestem w tym kształcie, czekają mnie jeszcze trzy planety do odkrycia.
- Co to znaczy „w tym kształcie”?
- To — powiedział, wskazując siebie — nie jest moje prawdziwe ciało.
- Potrafi pan zmieniać kształt? — spytał Thaddeus, nagle bardzo czujny.
- Nie dowolnie — powiedział pan Romany i cicho się zaśmiał.— Zostałem zmieniony chirurgicznie.
- Naprawdę?
- Tak. To stosunkowo prosty zabieg. Trwa od dwóch do trzech tygodni.
- Ale czemu pan to zrobił?
- Jestem zwiadowcą, panie Flint. Nawiązuję wstępne kontakty na planetach, które jeszcze się nie przyłączyły do naszej wspólnoty Światów, i oczywiście wypada, bym spotykał się z tubylcami nie tylko na ich własnym gruncie, można tak powiedzieć, lecz również jako istota do nich podobna.
- To znaczy, że istnieją jeszcze trzy światy zamieszkałe przez ludzi? — spytał Thaddeus.
- Niezupełnie. Nie jestem całkiem podobny do pana, panie Flint. Moje ubarwienie jest nieco inne, moje oczy są szerzej rozstawione, mam sztuczne paznokcie, a także szczątkowy ogon. Ale jestem wystarczająco podobny, żeby się podawać za jednego z was, i tak samo, w zależności od tego, które cechy podkreślę, mógłbym się podać za mieszkańca każdego z tych trzech światów, które znajdują się aktualnie w moich planach. Jedna zmiana służąca do obsłużenia trzech lub czterech światów bardzo oszczędza czasu, wydatków i osobistych niewygód.
- Czy wszyscy w pańskiej agencji zmieniają kształt?
- Och nie. W rzeczy samej bardzo niewielu z nas. Ale to istotnie pomaga w zrobieniu kariery.
- Rozumiem — powiedział Thaddeus. — I pan planuje znaleźć się za kilka lat na innym świecie?
- Pan Romany skinął głową.
- Najpóźniej za pięć lat — odparł. — Czy nasza umowa stoi?

— Nie — odparł Thaddeus.

— Nie? — zdziwił się pan Romany. — Dlaczego nie?

— Przede wszystkim uważam to za nieprawdopodobne, by wszyscy następni turyści byli równie ulegli jak ta grupa. Po drugie mam wystarczająco dużo kłopotów z utrzymaniem ich przy życiu i nie mam pewności, że nie zwalisz mi pan na głowę jeszcze większych słabeuszy. Po trzecie, nie mam ochoty oddawać jednej trzeciej mojej kasy. I po czwarte, pan przecenia swoją ważność. Pana słowo nigdy nie będzie ważniejsze od słowa Ahasuerusa.

— Dlaczego pan tak myśli?

— Bo skoro ja mogę pana przejrzeć na wylot w dziesięć minut, to może to zrobić każdy, kto decyduje w tej sprawie. Jest pan drugorzędnym urzędnikiem, który walczy o pracę. On zaś jest uczciwym człowiekiem, który nie ma nic do ukrycia. Niby komu mają uwierzyć?

— Co pan wie o uczciwości? — spytał z pasją pan Romany.

— Nie muszę być koniem, by wiedzieć, że Sekretariat był świetny — odparł Thaddeus.

— Więc pan się nie zgadza? — spytał z rozpaczą pan Romany.

— Jasne że nie. Ale domyślałem się, że pan tu przyjdzie z jakimś głodnym kawałkiem, więc przygotowałem kontrofertę. Chce pan usłyszeć jaką?

— Proszę mówić.

— Okay — odparł Thaddeus. — Niech pan rzuci agencję i zacznie pracować dla mnie. Będzie pan pilnował, żeby kosmici byli zdrowi i zadowoleni, a ja dam panu pięć procent dochodów.

— Zwolnić się z agencji?

— Lepsze to niż być wyrzuconym, co nie? — powiedział Thaddeus z uśmiechem.

— Ale musiałbym zostać w tym kształcie, na tym świecie — zaprotestował pan Romany.

— Mogło być gorzej. Mógł pan przybrać kształt Tojo — stwierdził Thaddeus.

W tym momencie rozległ się ryk lwa i pan Romany zerwał się na równe nogi. Obydwaj potrzebowali minuty, żeby się uspokoić.

— Nie wiem, czy mogę to zrobić — wahał się pan Romany.

— Zostać tu na zawsze?

— Może nie na zawsze — powiedział Thaddeus. — Może mi się to sprzykrzy.

- Panu? Pieniądze?
- Nigdy nie wiadomo — stwierdził Thaddeus.
- Będę musiał o tym pomyśleć — rzekł pan Romany.
- Niech się pan z tym nie śpieszy.
- Czas to jedyny towar, którego nie mam w nadmiarze.
- Wiem — odparł Thaddeus. — Kiedy wasz macierzysty statek wyśle sygnał alarmowy?
- Co pan wie o macierzystym statku? — spytał ostro pan Romany.
- Wiem, że dwunastu kosmitów nie przeleciało galaktyki małym pro-
mem. To logiczne, że na Ziemi są inne grupy i że na orbicie czeka większy sta-
tek. Oczywiście może pan sobie zaprzeczać, jeśli dzięki temu poczuje się pan
lepiej.
- Jest tam w górze — przyznał pan Romany.
- I naturalnie jest zbyt duży, by wylądować.
- Pan Romany skinął głową.
- Jeśli Ahasuerus nie wróci na pokład w ciągu czterech dni, poproszą
moich zwierzchników o instrukcje.
- Myślałem, że limit czasu już został przekroczony.
- Wycieczka miała trwać czternaście dni, ale sytuacja zostanie uznana
za krytyczną dopiero po upływie dwudziestu dni.
- Cóż, zdaje się, że rozwiązanie problemu spoczywa w pańskich rękach,
panie Romany — powiedział Thaddeus. — Może pan pójdzie do siebie i po-
myśli nad tym jeszcze jeden dzień?
- Piętnaście procent — rzekł nagle pan Romany.
- Thaddeus roześmiał się.
- Wyjdź stąd, ty pieprzony amatorze.
- Pan Romany wyszedł, a Thaddeus znowu powędrował do lodówki, wy-
ciągnął kilka plasterków szwajcarskiego sera i rzucił je na pożarcie lampar-
tom, które jednak zignorowały je zupełnie.
- Nic nie szkodzi — powiedział, wzruszając ramionami. — Wszystkich nie
da się zadowolić.
- Thaddeus — spytałem — co się teraz stanie?
- Kto wie? — odparł. — Ale na pewno będzie ciekawie, nie sądzisz?

ROZDZIAŁ 13

W niecałą godzinę po wyjściu pana Romany'ego zaczął padać gęsty śnieg. Thaddeus włączył radio, usłyszał, że ostrzega się podróżnych i że wiele dróg jest zamkniętych, więc postanowił zamknąć cyrk na ten dzień. Posłał mnie i Alvina, żebyśmy wywiesili tabliczki, że cyrk jest nieczynny. Zajęło to nam dwadzieścia minut i po powrocie pośpiesznie pobiegliśmy do namiotu sypialnego, żeby się ogrzać oraz napić kawy zaparzonej przez Pszczółkę.

Thaddeus siedział razem z panem Ahasuerusem przy stole, pilnie wsłuchany w słowa Niebieskiego Człowieka. Przed nimi leżała książka o astronomii, otwarta na stronie ze zdjęciem Mgławicy Kraba.

— Rozpoznaję to — mówił pan Ahasuerus, wskazując zdjęcie. — Ale musi pan zrozumieć, że wasze gwiazdne konstelacje różnią się całkowicie od tych, do których ja się przyzwyczaiłem. Innymi słowy, mogę znać wiele z tych gwiazd, ale nie w tym położeniu, w którym pan je ogląda.

Thaddeus popchnął książkę w jego kierunku.

— Czy rozpoznaje pan coś jeszcze?

Niebieski Człowiek przejrzał pozostałe strony, wpatrując się w każdą uważnie. Wreszcie potrząsnął głową.

— Nie jestem ani astronomem, ani nawigatorem — powiedział. — To — powiedział, wskazując maleńką plamkę na ogromnym zdjęciu — może być rodzinna gwiazda Romany'ego. Ma właściwą barwę i jak się wydaje, znajduje się we właściwej gromadzie gwiazd. Ale naturalnie nie mogę być pewien.

— Skąd wasza agencja wytrzasnęła takiego niedojdę jak Romany?

Pan Ahasuerus wzruszył ramionami.

— Zatrudniamy setki tysięcy istot. Z tego co wiem, jego akta były wzorcowe.

— Tak. Cóż, strzeż się podarunków od Greków i podstępnych, młodszych urzędników z wzorcowymi aktami. Thaddeus umilkł na chwilę, by zapalić papierosa. — Niech mi pan trochę opowie o waszej organizacji.

— Jesteśmy luźno powiązaną wspólnotą światów, które zjednoczyły się dla korzyści ekonomicznych i kulturowych — odparł pan Ahasuerus. — Zupet-

nie nie przypominamy quazimilitarnych mocarstw, które wyobraża sobie wasz obdarzony większą fantazją przemysł artystyczny.

— Nie o to mi chodziło. Proszę opowiedzieć mi o agencji, dla której pan pracuje.

— Co chciałby pan wiedzieć?

— Kto ją prowadzi? Jaka jest duża? Czym się zajmuje? — Wydmuchnął kłęb dymu i uśmiechnął się. — Czuję się bardziej swojsko, kiedy rozmawiam o interesach, a nie o cywilizacjach galaktycznych.

— Ja też — przyznał pan Ahasuerus, błyskając zębami, co jak uznałem, było odpowiednikiem szerokiego uśmiechu. — Pan nazwałby nas pewnie konglomeratem. Mamy filie na setkach światów i zajmujemy się wszystkim, począwszy od nieruchomości, a skończywszy na podróżach w przestrzeni kosmicznej.

— Skąd ten pomysł, żeby udawać gabinet osobliwości?

— Powiedziałem panu. Przyciągamy mniej...

— To wiem — przerwał mu Thaddeus. — Ale to oznacza, że macie coś podobnego na swojej rodzinnej planecie.

— Nie — poprawił go Niebieski Człowiek — ale gabinet osobliwości to dość powszechny rodzaj rozrywki w naszej wspólnocie światów. W rzeczy samej, gdyby idea gabinetu nie była znana na Ziemi, jestem pewien, że pan Romany zaleciłby ominięcie waszej planety. Ostatecznie są jeszcze tysiące innych światów, godnych uwagi.

— Romany powiedział, że został chirurgicznie zmieniony.

— To prawda. Jest to skomplikowana i bolesna operacja, choć stosunkowo krótka.

— Jak wyglądał przedtem? — spytał Thaddeus.

— Nie mam pojęcia.

— Skąd wiedzieli, jaki mu nadać wygląd?

— Zazwyczaj nie odwiedzamy światów, które nie transmitują sygnałów telewizyjnych — odparł pan Ahasuerus. — Czy to jest odpowiedź na pańskie pytanie?

— Chyba tak — odparł Thaddeus. — Jakiej waluty używacie?

— Na każdym świecie jest inna.

— Czy to po jakimś czasie nie stwarza komplikacji?

— Nie jest to bardziej skomplikowane niż stosowanie dolarów, funtów i jenów przez narody waszego świata. Oczywiście kiedy udajemy się w podróż

poza granice naszej wspólnoty, wymagana jest pewna kwota kreatywnego finansowania.

— A jakiego to kreatywnego finansowania zażyczył sobie Romany, by móc wejść w posiadanie waszego cyrku? — spytał Thaddeus.

— Naprawdę nie mogę powiedzieć — odparł Niebieski Człowiek.

— Zaczynam nabierać wrażenia, że moglibyście nas piekielnie dużo nauczyć na temat biurokracji. — Spojrzał na mnie porozumiewawczo Thaddeus. — Czy z Cwaniaka nie byłby świetny zwiadowca? — powiedział ze śmiechem. — Mógłbyś go zostawić na obojętnie którym świecie tej galaktyki, bez grosza przy duszy, a za to z talią kart i kompletem kości, i w ciągu nocy przejąłby w posiadanie całą planetę.

Wyciągnął z kieszeni butelkę i pociągnął z niej długi łyk. Chwilę później, gdy podmuch wiatru wydał płótno namiotu, spytałem, czy też mogę się napić. Wzruszył ramionami i podał mi butelkę. Choć wypłem tylko odrobinę, płyn poparzył mi wargi i przetyk.

— Co to było? — spytałem bez tchu.

— A co cię to obchodzi? Rozgrzeje cię. — Odebrał butelkę i po chwili namysłu podał ją panu Ahasuerusowi.

— Nie, dziękuję — powiedział Niebieski Człowiek.

— Racja — stwierdził Thaddeus. — Pana mogłoby to zabić. Zamknął butelkę i schował do kieszeni. — Jakie są zimy tam, skąd pan pochodzi? Czy tam też bywa tak zimno?

— Od czasu do czasu — powiedział pan Ahasuerus. — Choć minęło już wiele lat, odkąd opuściłem swoją rodzinną planetę.

— Nigdy za nią nie tęsknisz? — spytałem.

— Nie tęsknię, bo jest tyle nowych światów do zobaczenia — oświadczył. — Zdaniem naszego przyjaciela, Człowieka Gumy, wszystkie światy są do siebie podobne, ale to nieprawda: każdy jest unikalny, niepowtarzalny i na swój sposób fascynujący.

— Nawet ten? — spytał Thaddeus.

— Oczywiście — odparł Niebieski Człowiek.

— Od jak dawna jest pan, że tak powiem, w drodze?

— Och, jakieś dwadzieścia waszych lat.

— I nie ma pan ochoty wrócić do domu?

— Ja nie potrzebuję domu, panie Flint — odparł pan Ahasuerus. — Ci tutaj — wskazał pozostałych kosmitów — są tylko turystami i urlopowiczami. Ja jestem wędrownikiem.

— Już nim pan nie jest — poprawił go Thaddeus.

— Będę nim znowu. Choćby pan nie wiem jaką umowę zawarł z panem Romanym, nie zabije nas pan.

— Jest pan tego pewien, co? — spytał Thaddeus.

— Tak — odparł Niebieski Człowiek. — Po pierwsze, panu zależy, żebyśmy żyli i pracowali. A po drugie — dodał, patrząc prosto w oczy Thaddeusa — jest pan wyzyskiwaczem, ale nie zabójcą.

— Tak pan myśli?

— Tak myślę.

Thaddeus pokręcił głową.

— Przez to, że robię masażę Tęczowemu Człowiekowi i próbuję utrzymać King Konga przy życiu, panu się od razu wydaje, że jestem jakimś mięczakiem. Może zbyt łagodnie z wami postępowałem.

— Co by panu przyszło z wyrządzenia nam krzywdy? — spytał pan Ahasuerus.

— Może dzięki temu poczułbym się lepiej — odparł Thaddeus.

Pan Ahasuerus już miał odpowiedzieć, kiedy do stołu podszedł Duży Alvin.

— Tak? — spytał Thaddeus.

— Sokolemu Oku skończyły się tabletki z żelazem — powiedział rosty mężczyzna.

— I ty właśnie to zauważyłeś? — spytał Thaddeus. — Facet ma naprawdę dobrze, że nie musi polegać na tobie, by mieć zapas tego świństwa.

— Więc masz więcej?

— Posłałem Monka po żelazo, kiedy zamknąłem cyrk — powiedział Thaddeus. Alvin wrócił na swój posterunek, a Thaddeus odwrócił się do mnie z rozbawioną miną. — Kiedy się dowiedziałem, że drogi są zamknięte, domyśliłem się, że Sokole Oko czeka kiepska noc. Potem przypomniałem sobie wszystkie te opowieści Mońka o tym, jak polował w Klondike, więc poszedłem do niego i zaproponowałem pięćdziesiąt dolców, jeśli pójdzie do miasta i przyniesie tabletki. Zgodził się w końcu pójść, kiedy podniosłem do osiemdziesięciu i kiedy już byłem pewien, że skazuję tego biednego sukinsyna na pewną śmierć na mrozie, on zamknął forszę w tej szkatułce, którą trzyma w klatce

z niedźwiedziem, podszedł do szafy i wyciągnął buty do chodzenia po śniegu i futro, które uszyto z jakichś czterdziestu foczych skór. W takim ubraniu zgrzeje się pewnie tak mocno, że jak wróci, będzie pewnie od razu wołał o zimne piwo.

— Kiedy się go spodziewasz? — spytałem.

— Za jakąś godzinę albo dwie. Zależy od śniegu. — Jego wzrok padł na Cyklopa. — Popatrz na niego! — rzekł z obrzydzeniem. — Zdrowy jak koń.

— Czy mam zajrzeć do King Konga i Tęczy? — spytałem.

— Nie. Szwed jest z nimi. Nic im nie będzie. — Wyrzał na śnieżycę. — Ale powiem ci, co możesz zrobić. Na zmianę z Alvinem obchodźcie teren raz na godzinę, żeby sprawdzić, czy jacyś miejscowi nie zamarzają gdzieś na śmierć. Jeśli kogoś znajdziesz, zabierz go najpierw do cieplarni, żeby odtajał i przypomniatł sobie, którędy ma wracać do domu, a jak będzie miał jakieś pieniądze, to przyślij do niego Cwaniaka. — Podniósł wzrok i zobaczył, że w naszą stronę zbliża się niepewnym krokiem Scratch. — No proszę, kogo my tu widzimy?

— Panie Flint — zaczął Rogaty Demon.

— Tak? Czego chcesz?

— Wielobarwny Człowiek jest moim szczególnie bliskim przyjacielem. Miałem nadzieję, że zechce mi pan powiedzieć, jaki jest jego stan.

— Raczej bez zmian — odparł Thaddeus. — Może trochę lepiej. Trudno powiedzieć.

Scratch niespokojnie przeniósł ciężar z jednej nogi na drugą.

— Chciałbym uzyskać pańską zgodę, aby go odwiedzić.

— To niemożliwe — powiedział Thaddeus. — Żaden z was nie wyjdzie z namiotu.

— Wiem, że ma pan związane ręce z naszego powodu — nalegał Scratch. — Ponieważ nikt nie będzie dziś występował, byłbym szczęśliwy mogąc zastąpić osobę, która dogląda Wielobarwnego Człowieka i Brakujące Ogniwo.

— Och, nie wątpię — powiedział Thaddeus. — Na pewno byłbyś równie szczęśliwy mogąc pokłusować przez te pola, ani razu nie oglądając się za siebie.

— Jak daleko bym dotarł przy takiej pogodzie? — zaprotestował Scratch z uśmiechem. — Dokąd bym poszedł?

— Zasada jest zasadą — odparł Thaddeus. — Zapomnij o tym.

— To by dla niego wiele znaczyło — kontynuował Scratch.

— Nie słuchasz zbyt uważnie, prawda? — powiedział Thaddeus z irytacją.

— Pan też nie — odparł Scratch, bardzo zdenerwowany, ale uparcie trzymający się swego. — Powiedziałem panu, że nie będę próbował uciekać. Ja po prostu chcę dodać otuchy przyjacielowi.

— Szwed już tam siedzi od bardzo dawna, Thaddeus — wtrąciłem.

— Ty też? — spytał, odwracając się w moją stronę.

— Co ci szkodzi, Thaddeus? — powiedziałem. — Nikt nie ucieknie w taki dzień.

— Zamknijcie się obydwaj! — wrzasnął.

Podskoczyłem w miejscu, bo zazwyczaj po takim ryku następował cios, ale tym razem Thaddeus siedział bez ruchu, wpatrzony w swoją kawę. Zasmucony Scratch powędrował do swojego łóżka.

W końcu, po upływie pół godziny, Thaddeus wstał, wyjrzał na zaśnieżoną okolicę i podszedł do mnie.

— W porządku, ty pieprzony karle — westchnął. — Zrobimy jak chcesz. Wyszukaj jakąś kurtkę dla Scratcha i zaprowadź go do przyczepy, a Szwedowi powiedz, żeby przyszedł coś zjeść. Kiedy już to zrobisz, idź i powiedz Dancerowi, że ma dziś spać z Diggsem albo Monkiem. Potrzebna mi jego przyczepa.

— Do czego?

— Już mi się znudziło mieszkanie razem z kosmitami — powiedział.

Zaprowadziłem Rogatego Demona do naszej przyczepy, spędziłem pięć minut na przekonywaniu Szweda, że Thaddeus naprawdę się na to zgodził, a potem poszedłem szukać Dancera. Znalazłem go — siedział na przenośnej trybunie z namiotu specjalnych atrakcji i wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w przeszłość. Nic wiem, czy w ogóle zdawał sobie sprawę, że pada śnieg.

Zgodził się przeprowadzić na noc do Monka, więc wróciłem do namiotu sypialnego, by powiedzieć Thaddeusowi, że wszystko gotowe.

Podczas mojej nieobecności opróżnił całą butelkę whisky i stał nieco chwiejnie. Pomogłem mu podejść do drzwi, a potem odprowadziłem go do przyczepy Dancera.

W środku panowało lodowate zimno — Dancer zapomniał włączyć ogrzewanie — więc przez następnych kilka minut robiłem wszystko, by przyczepa nadawała się do mieszkania, natomiast Thaddeus zaczął grzebać w

szafkach, aż w końcu znalazł butelkę szkockiej, prezent dla Dancera od jakiegoś wielbiciela.

Wnętrze przyczepy wyglądało nie tylko na wysprzątane i dobrze utrzymane: wyglądało na nieużywane. Pościel była zmięta, ale wątpię, by Dancer spał w niej, odkąd stał się posiadaczem przyczepy. Ani w kuchni, ani w części jadalnej nie było okruchów, ale znowu uznałem, że wynikało to raczej ze stylu życia Dancera — jeśli to jest właściwe określenie — niż z jakiejś manii sprzątanania po sobie. Na ścianach wisały fotografie i ferrotypy przedstawiające sławnych przestępców i szeryfów Dzikiego Zachodu. Przyszło mi na myśl, że Billybuck pewnie nie robi nic innego w przyczepie, tylko siedzi w swoim wielkim skórzanym fotelu i wpatruje się w te obrazki albo drzemie na niezacielonym łóżku. W całej przyczepie panował niesamowity nastrój — ale przecież wszyscy cyrkowcy są dziwni. Dancer był tylko dziwniejszy niż większość.

Thaddeus zdążył wypić połowę butelki, zanim wróciłem. Ostrzegłem go, że powinien zwolnić tempo.

— Dlaczego? — spytał. — Im szybciej się zaleję, tym szybciej zapomnę o tych cholernych dziwolągach.

— Oni są kosmitami, Thaddeus.

— Kosmici, dziwolągi, jaka do cholery w tym różnica? — z zadumą zapatrzył się na fotografię O.K. Corrala. — Tracę kontrolę — mruknął w końcu.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi.

— Nie masz oczu? Nic widzisz, co się dzieje? — Spojrzał na mnie z dziwną miną. Przypisywałem to wpływowi alkoholu.

— Nie mówisz do rzeczy, Thaddeus.

— A niech cię diabli, Tojo! Ahasuerus zachowuje się bardziej jak mój ojciec niż więzień. A ten cholerny Rogaty Demon wiedział, że nikomu nic wolno wychodzić z namiotu, a mimo to uznał, że może jemu się uda.

— I rzeczywiście mu się udało — zauważyłem.

— I o tym właśnie mówię! Co mnie, do diaska, obchodzi, czy Tęczowy Człowiek jest szczęśliwy? — Uderzył pięścią w oparcie krzesła. — Spójrz na mnie! Siedzę tu i wpatruję się w zdjęcia Wyatta Earpa i Jesse Jamesa. A dlaczego? Bo moja własna przyczepa została zmieniona w sanatorium dla chorych kosmitów!

— To był twój pomysł — powiedziałem.

— Wiem! — krzyknął. — Ale czemu do diabła, to wymyśliłem, Tojo? Ja nie robię takich rzeczy!

Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc milczałem i patrzyłem, jak nalewa sobie następne-go drinka.

— Tracę kontrolę nad tym wszystkim! — powtórzył. — I ten cholerny Niebieski Człowiek o tym wie. Siedzi tam sobie, łyka wszystko, co mu daję i jeszcze mi za to dziękuje. Dlaczego się nie broni?

— Nie wiem, Thaddeus. — Wyciągnąłem rękę w stronę butelki. — Lepiej uważaj z tym świństwem.

— Precz z łapami! — warknął z pasją, chwytając butelkę i upijając jeszcze jeden długi łyk. — Jesteś po ich stronie, prawda?

— Jestem po swojej stronie — odparłem wymijająco.

— Nie okłamuj mnie, ty karle! Wszyscy są po ich stronie: ty, Alma, Pszczółka, Monk... nawet Dancer, gdyby się nad tym zastanowił choć przez dwie sekundy, byłby po ich stronie. Tylko Romany ma ich gdzieś.

— I ty — dodałem.

— Racja — powiedział bez przekonania. — I ja.

Patrzył przez chwilę na butelkę, po czym wstał i powędrował chwiejnie do sypialni. Słyszałem skrzywienie sprężyn, kiedy walił się na łóżko, słyszałem stukot butów, zrzuconych z nóg, a po chwili usłyszałem jeszcze, jak mruczy przygnębionym i pełnym zdumienia głosem:

— Co się ze mną dzieje?

ROZDZIAŁ 14

Obudził mnie głos Thaddeusa.

Z początku myślałem, że zasnąłem w przyczepie Dancera, ale kiedy mój umysł zaczął wreszcie pracować, przypomniałem sobie, że przecież powędrowałem do własnego łóżka. Chcąc sprawdzić, czy stan któregoś z kosmitów się nie pogorszył, narzuciłem szlafrok i poszedłem do salonu.

Zastałem tam Scratcha, a także Tęczę, który siedział na krześle i był w wyraźnie lepszym stanie, bo jego skóra przybrała barwę znacznie ciemniej-

szego błękitu, na torsie przetykanego pasmami czerwieni. Thaddeus siedział rozparty na kanapie, ze stopami wspartymi na ławie.

Promienie słoneczne, przeświecające przez szyby okienne, spowodowały, że załzawiły mi się oczy. Nagle zdałem sobie sprawę, że jest późny ranek.

— Gdzie jest King Kong? — spytałem.

Thaddeus uśmiechnął się.

— Nawet potencjalni samobójcy muszą od czasu do czasu skorzystać z pewnych udogodnień.

— Nie boisz się, że może uciec przez okno?

Thaddeus potrząsnął głową.

— Nie, jeśli na dworze leży osiem cali śniegu. Facet jest może trochę skołowany, ale na pewno nie zwariował. Zamarzanie na śmierć trwa długo, a z moich obserwacji wiem, że ludzie, którzy próbowali się otruć, czują potem awersję do bolesnego i długiego umierania. — Podniósł wzrok, gdy Brakujące Ogniu wszedł do pokoju. — Co ci powiedziałem?

— Czy mogę przejść? — cierpliwie spytał King Kong.

— Ależ proszę bardzo — powiedział Thaddeus, unosząc nogi ze stołu, aby zrobić Brakującemu Ogniu przejście do pustego krzesła.

— Co ty tu robisz? — spytałem Thaddeusa.

— Mieszkam — odparł. — A poza tym obudziłem się z niewiarygodnym kacem, a ponieważ w apartamencie naszego drogiego Billybucka nie znalazłem odpowiednich środków, więc stwierdziłem, że powinienem wziąć się w garść i wytrzeźwieć za pomocą klina. Myślałem, że umrę po drodze, ale zanim dotarłem do drzwi, czułem, że już powoli staję się człowiekiem. Co, zważywszy na nasze obecne towarzystwo, nic jest wcale taką złą rzeczą.

— Lepiej wyglądasz, Tęcza — zauważyłem.

— Zdrowieję — powiedział. Potem spojrzał na Thaddeusa. — Gdyby mnie pan potrzebował, to pewnie mógłbym wystąpić dziś popołudniu.

— Zapomnij o tym — rzekł Thaddeus. — Po drodze do namiotu zamieniłbyś się w bryłkę lodu. Zostań tutaj jeszcze jakieś dwa dni. Ty też — powiedział do King Konga. — To znaczy jeśli chcesz.

— Dla mnie to bez znaczenia — odparł Brakujące Ogniu.

— Jezus, ty byś przygnębił nawet hienę — powiedział Thaddeus. — Odpreż się. Dzisiaj znowu będą się ugadywać z Romanym.

— Nic z tego nie wyjdzie — posępnie odparł King Kong.

— Nie ma to jak odrobina optymizmu na rozpoczęcie dnia — stwierdził Thaddeus. — Pewnie nigdy się nie zastanawiałeś, czy nie zostać komikiem?

— W moim świecie nie ma żadnych komików.

— Raczej nic jestem zaskoczony — odparł oschle Thaddeus. Wstał i podszedł do drzwi. — Idę zajrzeć do pozostałych. Przyjdź tam, jak już się ubierzesz, Tojo.

— A co ze mną? — spytał Scratch.

— Nie wypij całego piwa — rzucił Thaddeus już w drzwiach.

— Dziękuję! — krzyknął w ślad za nim Scratch, ale drzwi już się zamknęły i nie sądzę, że Thaddeus to usłyszał.

Następnych kilka minut goliłem się i ubierałem. Potem pościeliłem łóżko, a ponieważ Tęcza wyraźnie nie miał zamiaru już się kłaskać, pościeliłem również jego łóżko. Wreszcie założyłem płaszcz, rękawiczki i wyszedłem na mróz, zamykając jak najszybciej drzwi, by nie narazić Tęczy na przeciąg.

Śnieg przestał padać w nocy, pługi śnieżne oczyszczały drogi, wreszcie zaświeciło słońce i nieliczne ptaki, które nie odleciały na południe, tłoczyły się na ziemi w poszukiwaniu jedzenia.

Thaddeus pozostawił za sobą szlak głębokich śladów w śniegu, prowadzący prosto do namiotu sypialnego. Idąc wydeptaną przez niego ścieżką, pomachałem Glorii, udającej się na swoje poranne ćwiczenia. Oprócz niej na zewnątrz kręcił się tylko Cwaniak, który miał taką minę, jakby losy świata zależały wyłącznie od tego, czy uda mu się gdzieś rozegrać partię pokera. Zobaczywszy mnie, krzyknął, że idzie na kilka minut do ciepłarni i że gdyby pojawili się jacyś chętni do gry, to mam ich tam odesłać.

Kiedy wszedłem do namiotu, Thaddeus i pan Ahasuerus siedzieli przy jednym stole. Niebieski Człowiek podniósł wzrok i obdarzył mnie na przywitanie dość przestraszonym odpowiednikiem uśmiechu, natomiast Thaddeus gestem ręki wskazał, bym sobie przyniósł krzesło i przyłączył się do nich. Zanim to zrobiłem, poszedłem jeszcze do Pszczółki po kubek kawy.

— Więc nie ma tam żadnych? — mówił właśnie Thaddeus z wyrazem niedowierzania na twarzy.

Pan Ahasuerus pokręcił głową.

— Wydaje się, że ta forma sztuki, o ile to właściwe słowo, występuje wyłącznie na waszej planecie.

— Trudno w to uwierzyć.

— O czym rozmawiacie? — spytałem.

— Pan Ahasuerus właśnie mnie poinformował, że w całej cholernej galaktyce tylko u nas są stripteaserki — powiedział Thaddeus. — To niemożliwe, żeby w tej waszej wspólnocie światów, po której kręci się chyba całe mnóstwo różnych ras, nikt nie interesował się seksem.

— Myli pan seks z wywoływaniem podniecenia — odparł Niebieski Człowiek. — Wiele ras nawet nie nosi ubrań.

— To zabawne — zauważył Thaddeus. — Myślałem, że wszystkie cywilizowane rasy noszą ubrania.

— Większość rozumnych ras potrafi kontrolować swoje środowisko. Ci, którzy zachowali potrzebę ubierania się, robią to z powodów całkowicie niezwiązanych z siłami przyrody: z powodu wstydu, moralności, mody.

— A poskramiacze lwów? — spytał Thaddeus.

— W większości naszych cyrków są trenerzy zwierząt — odparł pan Ahasuerus. — Pracują głównie ze zwierzętami, które bywają tak duże, że wasz przyjaciel Monk zastanowił-by się dwa razy, zanim wszedłby do ich klatki.

— A tacy, co popisują się strzelaniem do celu?

— Kilku — odparł Niebieski Człowiek. — Mówiąc jednak szczerze, żaden z nich nie ma takich umiejętności jak Billybuck Dancer. Często się zastanawiam jak i gdzie się tego nauczył.

— Nie tylko ty, bo ja też — powiedział Thaddeus.

W tym momencie do namiotu wszedł Alvin, niosąc tablice z napisem ZAMKNIĘTE.

— A ty co wyprawiasz? — spytał podniesionym tonem Thaddeus.

— Drogi są już otwarte — odparł Duży Alvin.

— Nie kazałem ci ich zdejmować.

— Ale...

— Powieś je z powrotem. Wyjeżdżamy.

— Dokąd jedziemy? — spytałem.

— Jeszcze nie wiem. Ale pogoda jest zbyt parszywa, żeby tu siedzieć.

Alvin wzruszył ramionami i poszedł na nowo zawiesić tablice.

— Panie Flint — powiedział pan Ahasuerus. — Czuję, że powinienem wtrącić teraz słowo.

— Niech się pan nie trudzi — oświadczył Thaddeus. — Wiem, co chce pan powiedzieć.

— Naprawdę?

— Pan mi chce powiedzieć, że jeśli w ciągu następnych siedemdziesięciu dwóch godzin nie zameldujecie się na macierzystym statku, rozpęta się tu piekło.

— Skąd pan to wie? — spytał pan Ahasuerus, autentycznie zdziwiony.

— Pański przyjaciel, Romany, ma długi język.

— Istotnie — zgodził się pan Ahasuerus. — Jednakże to nie zmienia prawdziwości jego wypowiedzi.

— Wiem — odparł Thaddeus.

— Co pan proponuje w związku z tym?

— Od dawna o tym myślę. Powiem panu, jak będę coś wiedział. — Zaczął grzebać w kieszeniach w poszukiwaniu papierosów, wyciągnął jednego i zapalił. — Nawiasem mówiąc Tęcza już wstał i ma się dobrze.

— Przyjmuję tę wiadomość z zadowoleniem.

— I chyba już nie trzeba przejmować się ewentualnym samobójstwem King Konga. Właśnie spędził kilka dni na rozmyślaniach o tym, co się stało z jego nieśmiertelną, choć nieco przesiedloną duszą.

— Dobrze.

— Coś mi się wydaje — zauważył Thaddeus — że wyprawa po całej galaktyce z takim przedszkolem to musi być niezła mordęga.

— Nie są to wytrawni podróżnicy — zgodził się pan Ahasuerus z dość kwaśną miną. — Niemniej jednak jest to z wielu względów wdzięczna posada.

— Jak pan ją znalazł?

— Słucham?

— Tę posadę — wyjaśnił Thaddeus. — Co pana skłoniło, żeby ją przyjąć?

— Zostałem wybrany.

— Tak? A jakie pan miał kwalifikacje, języki i tego typu rzeczy?

— To też — odparł pan Ahasuerus. — Kiedy ma wrócić pan Romany?

Thaddeus wzruszył ramionami.

— Kto to wie? Jakoś tak dzisiaj.

— Co już panu zaproponował? — spytał Niebieski Człowiek.

— Nic, co by mnie zainteresowało odparł Thaddeus. Spojrzał na mnie. — Tojo, zamiast tu siedzieć jak kamień, może byś tak wszystkich powiadomił, że przerywamy występy i pakujemy się na ciężarówkę?

Założyłem płaszcz, wyszedłem na zewnątrz i powiedziałem Diggswi, Monkowi i każdemu, kogo tylko spotkałem, że zaczynamy demontaż cyrku.

Większość dopytywała się, dokąd jedziemy, ale choć nie potrafiłem im odpowiedzieć, wszyscy byli raczej zadowoleni z tej decyzji. Ich zdaniem wszędzie było dobrze tylko nie w zaśnieżonym Vermont. (Monk mi powiedział, że jeśli Thaddeus zamierza wracać do Maine, to on zabiera swoje zwierzęta i jedzie z nimi na Florydę).

Kiedy wróciłem Thaddeus i pan Ahasuerus wciąż siedzieli przy stole.

— Nie widziałeś tam nigdzie naszego przyjaciela, Romany'ego? — spytał Thaddeus.

— Nie — odparłem.

— Biedny sukinsyn czyta pewnie ogłoszenia „Potrzebna pomoc domowa” — zaśmiał się Thaddeus. .

— Czy już pan zdecydował, co mu pan powie? — spytał pan Ahasuerus.

— Raczej tak — powiedział. — Tylko oczywiście on musi się tu najpierw pokazać. Zapewne w tej chwili siedzi w swoim pokoju i zastanawia się, czym mnie przekupić albo zaszantażować.

— Naprawdę pan tak uważa? — spytał Niebieski Człowiek z ciekawością.

— Potrafię czytać tego drania jak książkę — uśmiechnął się Thaddeus. — Tylko z panem mam kłopoty.

— Ze mną? — zdziwił się pan Ahasuerus.

— Nie rób pan takiej niewinnej miny. Pozostali są normalni. Pan nie.

— Jak mam to rozumieć?

— Romany to taki facet, który walczy zębami i pazurami o zachowanie swojej posady. King Kong to wygłupiony maniak religijny. Jaszczur wsadziłby mi nóż w żebra, gdybym odwrócił się do niego tyłem. To samo Sfinks. Reszta to zwykła mierzwa, grupa turystów na wakacjach. Ale pan... pan powinien chcieć mnie zabić albo zupełnie zgłupieć ze strachu przede mną.

— I uważa to pan za niezwykle? — spytał pan Ahasuerus.

— Z mojego doświadczenia wiem, że cały ten cholerny wszechświat da się podzielić na mięso i pożeraczy mięsa. Pan jest gdzieś pomiędzy.

— I to pana niepokoi?

— Niepokoiło — przyznał Thaddeus. — Teraz mnie zastanawia.

— Kilka minut temu zapytał mnie pan, dlaczego zostałem wybrany na to stanowisko — powiedział Niebieski Człowiek. Przyłożył palec do twarzy. — To jest powód.

— Chyba nie bardzo rozumiem — odparł Thaddeus.

— Mówiąc słowami waszych nauk religijnych, mam dwa policzki. Założenie jest takie, że jeśli będę nadstawiał jeden wystarczająco często, prędzej czy później inna rozumna istota znudzi się biciem go i w końcu pomyśli o bardziej konstruktywnym porozumieniu.

Thaddeus wpatrywał się w niego bardzo długo.

— Jest pan niezwykłym człowiekiem, panie Ahasuerus — powiedział wreszcie.

— Dziękuję.

— Gdyby złożyć nas dwóch razem, wyszłaby z tego normalna ludzka istota.

— Istotnie — zgodził się Niebieski Człowiek.

— Albo przynajmniej ktoś interesujący. — Thaddeus wpatrywał się w niego, głęboko zatopiony w myślach. Wreszcie spojrzął na mnie. — Toż, powiedz Dancerowi, że znowu potrzebuję jego przyczepy.

— Kiedy? — spytałem.

— W tej chwili.

Podszedłem do drzwi.

— I przynieś jakąś kurtkę dla pana Ahasuerusa — zawołał.

Znalazłem Dancera w cieplarni. Nie miał nic przeciwko temu, by Thaddeus użył jego przyczepy i nawet pożyczył swoją podbitą futrem kurtkę dla pana Ahasuerusa. Kiedy wróciłem do namiotu, Thaddeus wstał od stołu. Wziął ode mnie kurtkę i wręczył ją Niebieskiemu Człowiekowi.

— Idziemy obgadać pewien interes — zapowiedział. — Nie chcę, żeby nam przeszkadzano.

— A jeśli pojawi się pan Romany? — spytałem.

— Omal o nim nie zapomniałem. W porządku, jeśli się pojawi, każ mu poczekać w cieplarni i zaraz przyjdź mi powiedzieć, że już tu jest.

Potem Thaddeus i pan Ahasuerus poszli razem do przyczepy Dancera.

— Co się do diabła dzieje? — spytała Pszczółka, odprowadzając ich wzrokiem.

— Nie jestem pewien — powiedziałem.

Usiłowałem znaleźć sobie jakieś zajęcie — pozamiatałem podłogi i co kilka minut zaglądałem do Snoopy'ego oraz Dyni. Dwukrotnie pytałem Alвина o czas, a kiedy minęła godzina, ciekawość tak już mnie zżerała, że zupełnie nie potrafiłem się skupić na pracy. Siedziałem więc, oglądałem książkę o astronomii i zachodziłem w głowę, co się dzieje w przyczepie Dancera.

Pan Romany przyszedł pół godziny później, tak zdenerwowany, że ledwie mógł ustać w miejscu. Zaprowadziłem go do cieplarni, potem poszedłem do przyczepy i zapukałem do drzwi.

Thaddeus wystawił głowę na zewnątrz.

— Tak?

— Jest tu pan Romany.

— Każ mu poczekać.

Drzwi zatrzasnęły się, a ja pobiegłem powiedzieć panu Romany'emu, że Thaddeus jeszcze nie może się z nim zobaczyć. Podszedł Cwaniak i zaproponował partię remika, ale pan Romany tylko potrząsnął głową i nadal bębnił palcami o maszt namiotu.

W końcu, po upływie kolejnej godziny, Thaddeus otworzył drzwi i zawołał mnie.

— Tak? — powiedziałem, podchodząc do przyczepy.

— Przyślij go tutaj. Potem idź do mojej ciężarówki i przynieś mi mapę ze schowka na rękawiczki.

— Trzymasz tam dużo map — zauważyłem. — Która ci potrzebna?

Zaśmiał się.

— Przynieś wszystkie, ty wścibska kreaturo.

Odprowadziłem pana Romany'ego do przyczepy, znalazłem mapy, zaniósłem je Thaddeusowi i wróciłem do namiotu sypialnego. Co jakiś czas wychodziłem na zewnątrz, żeby zobaczyć, czy spotkanie już się skończyło, ale choć nad ośnieżonym krajobrazem Vermont zapadła już noc, żaden z nich trzech nie wyszedł z przyczepy Dancera.

ROZDZIAŁ 15

Spotkanie trwało prawie do dziesiątej. Potem wszyscy trzej — Thaddeus, pan Ahasuerus i pan Romany — wsiedli do furgonetki Thaddeusa i odjechali, nie mówiąc nikomu ani słowa.

Położyłem się do łóżka około północy i choć to normalnie mi się nie zdarza, spałem bardzo niespokojnie. Obudziłem się o siódmej, spojrzałem na budzik stojący przy łóżku i pospałem jeszcze dwie godziny. Kiedy się ubierałem, King Kong, Tęcza i Scratch byli już na nogach, a Scratch podał mi filiżankę herbaty. Bardzo przeproszał, że to nie kawa i wyjaśnił, że choć potrafi już mówić płynnie naszym językiem, nadal ma trudności z czytaniem i dlatego instrukcja obsługi ekspresu do kawy przekracza jego możliwości.

Podziękowałem, wziąłem herbatę, usiadłem na kanapie i wyjrzałem za okno. Ciężarówka jeszcze nie wróciła, zacząłem się więc zastanawiać, czy przypadkiem nie wpadła w poślizg na jakiejś oblodzonej drodze.

Przesiedziałem beczynn timerem całą godzinę w przyczepie i właśnie zdecydowałem, że przejdę się do namiotu sypialnego, gdy zobaczyłem zajeżdżającą dużą, białoniebieską furgonetkę marki Dodge i wysiadającego z niej Thaddeusa. Przez chwilę myślałem, że jest sam, ale chwilę później z wozu wyłonili się również pan Ahasuerus z panem Romanym. Wszyscy trzej weszli na stopnie prowadzące do drzwi przyczepy.

— Jezus, ale zimno! — powiedział Thaddeus, wprowadzając kosmitów do środka i energicznie rozcierając dłonie.

— Dzień dobry — powitał ich Scratch.

— Dzień dobry szanownemu panu — odpowiedział mu Thaddeus. — To jo, czy jesteśmy gotowi do drogi?

— Wszystko spakowane z wyjątkiem namiotu sypialnego — powiedziałem.

— Dobrze. Każ Monkowi podjechać tam autobusem i zabrać kosmitów. Potem każ mu zabrać stąd Scratcha, Tęczę i King Konga. — Spojrzał na pana Ahasuerusa i pana Romany'ego. — Chcecie pojechać z nimi?

— Bylibyśmy wdzięczni — oświadczył Niebieski Człowiek.

— Dokąd jedziemy? — spytałem.

— Niedaleko — rzekł Thaddeus. — Powiedz wszystkim, żeby utworzyli karawanę i jechali za mną.

— Z kim ja mam jechać?

— Ty jedziesz ze mną. Weź z sobą papier i ołówek.

Umieszczenie kosmitów w autobusie Monka trwało całą godzinę, bo tym razem obchodziliśmy się z nimi nieco ostrożniej. Kiedy wszystkie ciężarówki, furgonetki i autobusy stały już w szeregu, wsiałem do Dodge'a, Thaddeus ruszył z miejsca i skręcił na południe przy najbliższej autostradzie stanowej.

— Masz papier? — spytał, zapalając papierosa.

— Tak — odparłem, wyciągając notes i długopis.

— Dobrze. Zapisz te nazwiska: Monk, Dancer, Diggs. — Nagle samochód jadący przed nami natrafił na kawał lodu i wpadł w poślizg, więc przez następną milę Thaddeus skupił się na prowadzeniu. — Kogo już wymieniałem? — spytał w końcu.

— Monk, Dancer, Diggs.

— Racja. Dopisz też Glorię. — Umilkł na chwilę. — Barbarę, Priscillę... i Szweda. A jak ma na imię ta blondynka, która pracuje u Cwaniaka, przy grze w fascynację, no ta z dużymi cyckami?

— Jenny.

— Racja. Jenny. Zapisz ją. I chyba Stogie'ego. — Urwał na chwilę, jakby się zastanawiał. — Tak, zapisz Stogie'ego. I tę rudą ze zgrabnym tyłkiem, która pracowała w zeszłym miesiącu z Dancerem, zanim nie daliśmy jej Diggso-wi.

— Lori?

— Tak, chyba tak. — Zaciągnął się papierosem. — I Szybkiego Johnny'ego.

Johnny Carp, zwany Szybkim, był prawą ręką Cwaniaka. Zapisalem jego imię w notesie.

— Wszystkich już zapisałeś? — spytał.

— Tak.

— Okay. Złóż tę kartkę, schowaj ją do kieszeni i postaraj się jej nie zgubić.

Thaddeus włączył radio, zaczął kłąć, bo nie mógł znaleźć żadnych wiadomości sportowych, aż wreszcie zdecydował się na dość zgiełkliwą stację muzyczną nadającą country-and-western. Jechaliśmy w milczeniu prawie dwie godziny, potem skręciliśmy w jakąś boczną drogę, ujechaliśmy jakieś ćwierć mili i zatrzymaliśmy się.

Thaddeus sięgnął do schowka na rękawiczki, otworzył go i wyciągnął kilka kartek, zapisanych jego charakterystycznymi bazgrołami. Przypatrywał im się przez chwilę, potem położył je na tablicy rozdzielczej i ponownie uruchomił silnik.

Płaski teren zmienił się w pagórkowaty, potem w górzysty i jazda robiła się coraz bardziej ryzykowna. Thaddeus stale zaglądał do swoich notatek, ani na moment nie przystając, pomimo tak niebezpiecznych warunków.

Wreszcie skręcił na rozległe, płaskie pole i zatrzymał się, a cała karawana wjechała tam jego śladem.

— Okay — powiedział, wyłączając silnik. — Zawołaj tu wszystkich oprócz kosmitów. Mam im coś do powiedzenia.

Potrwało to kilka minut — nasza trupa liczyła trzydzieści dwie osoby — ale niebawem wszyscy staliśmy przed furgonetką. Po chwili wysiadł z niej Thaddeus i ogarnął nas wszystkich wzrokiem.

— Chciałem tylko ogłosić, że czeka nas kilka zmian — powiedział, spacerując w kółko, żeby nie zmarznąć. — Przyjąłem kilku wspólników i odtąd będziemy pracowali w dwóch filiach jako „Największe Przedstawienie Na Ziemi”.

Urwał w oczekiwaniu na reakcję, ale było za zimno, by komukolwiek chciało się odezwać.

— Większość z was zostanie w głównej filii, to znaczy tu, gdzie pracowaliście do tej pory. Pokieruje wami pan Romany. Będziecie normalnie występować na całym wschodnim wybrzeżu. Każdy, kto zostanie w tej filii, dostanie podwyżkę, począwszy od dzisiaj.

Tymi słowami wywołał gorący, choć krótkotrwały, aplauz.

— Pan Ahasuerus i ja zabieramy tę drugą filię na nieco dalszą trasę — kontynuował. — Jest za zimno, żeby teraz tłumaczyć, co postanowiliśmy, ale Tojo będzie was wołał kolejno do mojej przyczepy na rozmowę. To wszystko.

Odwrócił się i ruszył w stronę swojej, przymocowanej do furgonetki, przyczepy i zniknął w jej wnętrzu. Pozostali wrócili do swoich wygrzanych pojazdów. Złapałem Monka, zanim wszedł do autobusu i powiedziałem mu, że Thaddeus chce z nim rozmawiać.

— Pewnie chce mi powiedzieć, dlaczego mam się nie spodziewać podwyżki — burknął, idąc do przyczepy.

Wyłonił się pół godziny później z dziwnym wyrazem twarzy i wtedy posłałem tam Dancera.

— To jest najdurniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem! — wykrzyknął Monk. — Chyba mu dalej nie wierzę!

— A co on powiedział? — spytałem.

— Chodźmy do przyczepy naszego Buffalo Billa — zaproponował. — Jest za zimno, żeby tu stać i rozmawiać.

Ruszyłem w ślad za nim, ale nawet nie zdążyliśmy tam dojść, bo Dancer zaraz wrócił. W pobliżu błąkał się Diggs, więc krzyknąłem, że teraz jego kolej.

— Czy on ci powiedział to, co mnie? — spytał Monk, kiedy weszliśmy do środka i Dancer zamknął za nami drzwi.

— Prawdopodobnie — odparł Dancer.

— Więc co tu robisz tak szybko? Nie miałeś żadnych pytań?

— Nie.

— On ci mówi, że masz lecieć do jakichś cholernych światów, o których nikt nawet nie słyszał i ty nawet nie masz pytań?

— Kiedy występuję, zupełnie mnie nie obchodzi, kto na mnie patrzy — powiedział Dancer i wzruszył ramionami.

— Nie o to mi chodziło! — powiedział Monk z rozdrażnieniem. — Czy ty naprawdę kupiłeś ten tekst, że dziwolągi pochodzą z innych planet?

— Kogo obchodzi, skąd oni są? — spytał spokojnie Dancer.

— Czy ty nic rozumiesz, co ja do ciebie mówię? — nalegał Monk.

— Jasne, że rozumiem. Ale to jest mało ważne. Jedziesz czy zostajesz?

— Stawiam sto do jednego, że to wszystko to kompletne brednie! — powiedział Monk, ale po chwili uśmiechnął się z pewnym zakłopotaniem. — Ale dzikimi końmi trzeba by mnie odciągać od tego statku, jeśli to wszystko prawda. — Spojrzał na mnie. — Co ty o tym wiesz, Tojo?

— To są kosmici — potwierdziłem.

— Kto tam jedzie? Thaddeus mówił, że tylko ci, którzy będą przydatni. Ale oczywiście stawiam sto do jednego, że nagle piekielnie będzie potrzebował Jenny — stwierdził i mrugnął okiem.

— Będzie jeszcze rozmawiał z Diggsem, Glorią i kilkoma innymi — odparłem nie-szczęśliwym tonem.

— Znakomicie! — powiedział Monk. — Nie wyobrażam sobie jazdy w trasę bez Cwaniaka, choćby nie wiem jak to było daleko.

A ja nie potrafiłem sobie wyobrazić, dlaczego na tej liście jest Stogie, a ja nie. Oczywiście on miał pracować na pokazach strip-tease'u, a ja nie nadałem się do niczego, może tylko potrafiłem opiekować się grupą chorych turystów, którzy prawdopodobnie wrócą prosto do domu, a jednak...

— A co z Alną? — spytał Monk.

— Chyba nie jedzie — odparłem.

— Tak najlepiej się pozbyć tych, którzy ci się znudzili — zaśmiał się Monk. — Założę się, że nie zabiera też Dużego Alvina.

— Na liście go nie ma — potwierdziłem.

— Gloria będzie potrzebowała nowego opiekuna — powiedział Monk. — Myślę, że tę pracę dostanie Bruno.

Rozległo się pukanie do drzwi i kilka sekund później do środka wszedł Diggs. Rzucił kurtkę na krzesło i podszedł do nas.

— Teraz jest tam Gloria — powiedział — i Thaddeus chce potem rozmawiać ze Szwedem.

— Szwed? — zdziwił się Monk. — Do czego on mu będzie potrzebny?

— Ty wyraźnie wierzysz w te brednie — zauważył Diggs.

— To wszystko to kupa gówna — powiedział Monk. — Ale pomysł jest niesamowity, prawda?

— Musiałbym się nauczyć nowych gier w karty — powiedział Cwaniak.

— Cóż, jeśli myślisz, że jesteś za stary... — zaczął Monk, z rozbawieniem na twarzy.

— Gadasz zupełnie jak Thaddeus! — warknął Cwaniak.

— Czemu tak mówisz?

— Tak mnie zezłościł, że mu powiedziałem, że pojedę i udowodnię, że nie znajdzie się nigdzie ktoś taki, kto nabije w butelkę Jasona Diggsa. — Wzruszył ramionami. — Więc chyba pojedę — dodał z krzywym uśmiechem.

Następnych kilka minut zostało poświęcone przyszłości. Monk i Diggs zakładali się, jakie formy życia napotkają, a ja zacząłem się zastanawiać, co zrobię ze swoim życiem, teraz kiedy moja rodzina miała się rozpaść. Nic była to zupełnie prawdziwa rodzina, bo życie z nią było pełne oszustw, niepowodzeń i groteski, ale była to jedyna rodzina, jaką miałem i nagle poczułem wielką pustkę w środku. Przypomniało mi się dzieciństwo, koledzy z klasy, sanatorium i miałem uczucie, że zaraz się rozplaczę, więc założyłem płaszcz i ukradkiem wymknąłem się na zewnątrz, żeby nikt mnie nie zobaczył.

Z przyczepy Thaddeusa właśnie wychodziła Gloria, więc poszukałem Szweda i posłałem go tam. Potem zauważyłem, że ktoś włączył ogrzewanie w cieplarni, więc zaszedłem tam, aby się ogrzać. Zostałem tam siedzącą samotnie Almę, opatuloną szczelnie płaszczem.

— Cześć — powiedziałem.

— Co się dzieje, Tojo? — spytała. — Dlaczego on rozmawia z Gloria?

— Chce ją wziąć do nowej filii.

— Ktoś mi mówił, że ty masz listę. Czy ja na niej jestem?

— Nie, Almo — odparłem. — Nie ma cię na niej.

— A Pszczółka?

— Nie.

— Przez chwilę myślałam, że on zamierza nas rozdzielić. — Urwała. — Dokąd jedzie ta nowa filia, Tojo?

— Dość daleko.

— Nie jestem ślepa, Tojo — powiedziała. — Zrozumiałam, kogo woziliśmy ze sobą przez ostatnie dwa tygodnie. Jak daleko?

— Bardzo daleko — odparłem.

— Kogo zabiera?

— Grupę ludzi. Każdego, kto jego zdaniem poradzi sobie na takiej trasie.

— To co ze mną i z Pszczółką? Dlaczego nas nie zabiera?

— Będziesz musiała go zapytać, Almo.

Skinęła głową i siedzieliśmy jakiś czas w milczeniu. Potem usłyszałem czyjeś kroki i chwilę później do namiotu wszedł Thaddeus.

— Tojo, gdzie się podziewałeś, do diabła? — powiedział. — Muszę się jeszcze zobaczyć z...

Urwał w pół zdania, kiedy zobaczył Almę.

— Cześć, Thaddeus — powiedziała.

— Nie wiedziałem, że tu jesteś — odparł niepewnym głosem.

— Właśnie żegnałam się z Tojo. Zdaje się, że będę musiała się pożegnać z większością moich przyjaciół, prawda?

— Nie ze swoją najlepszą przyjaciółką. Ty należysz do niej, a ona należy do tego miejsca.

— Ale dlaczego, Thaddeus?

— Już wystarczająco długo byłaś stripteaserką.

— Nie rozumiem — powiedziała.

— Mam aż za dużo stripteaserek, a Romany zamyka ich występy. Po-
cząwszy od jutra razem z Pszczółką będziecie prowadziły gry, ale jeśli potra-
fisz go przekonać, że jesteś świetną aktorką, to może cię wystawi w namiocie
specjalnych atrakcji. Czego by jednak nie zrobił, nikt już cię nie będzie obma-
cywał, chyba że sama będziesz tego chciała.

— Ale mogłybyśmy przecież pracować przy twoich grach.

Pokręcił głową.

— Nie zabieram nikogo, kto jest tutaj z czymś związany. Ty masz
Pszczółkę, a Pszczółka ma rodzinę.

— To nie jest powód — stwierdziła.

— W porządku. Nie potrafiłabyś na siebie zarobić.

— Zabierasz Priscillę?

— Tak.

— No więc to też nie jest powód.

— To już koniec — powiedział, patrząc jej w oczy. — To moja wina i biorę odpowiedzialność na siebie, ale to niczego nie zmienia.

— Nie musi tak być — odparła bez przekonania.

— Myślałem, że to już załatwiliśmy kilka dni temu. Pszczółka cię kocha. Ja się nie będę z nią bił, żeby cię odzyskać.

— Nie dopuściłabym do tego — odparła stanowczo.

Westchnął głęboko.

— Nie mogłabyś temu zapobiec, Almo. Całe życie pragnąłem mieć to, czego zdaniem innych ludzi, nie mogłem mieć. Jak ci się wydaje, po co lecę w kosmos z panem Ahasuerusem?

— Ale...

— To już postanowione — przerwał jej ostrym tonem. Potem uśmiechnął się. — Strasznie mi utrudniasz bycie szlachetnym.

Patrzyła na niego dłuższą chwilę.

— W porządku, Thaddeus — powiedziała. — Jeśli tak ma być.

— Tak to właśnie jest — odparł.

Przygładziła dłonią włosy, zrobiła głęboki wdech i usiłowała zmienić temat.

— Czy pan Romany potrafi prowadzić cyrk?

— Nie za bardzo — przyznał Thaddeus. — Szedł zupełnie na żywioł, kiedy go znaleźliśmy. Oczywiście starał się wtedy nie przyciągać uwagi, ale myślę, że będziecie mu musieli pomóc na początku. — Z wyraźną ulgą powitał zmianę tematu. — Odkupiłem swoje karuzele za pieniądze, które zarobiłem na kosmitach. Sukinsyn, któremu je sprzedałem, trzymał je dwa tygodnie i odsprzedał za dwadzieścia tysięcy więcej niż zapłacił. Szkoda, że nie wiedziałem, że będę ich znowu potrzebował. W każdym razie dostaniecie te urządzenia i większość gier, a Romany będzie tu co rok ściągał sześć albo siedem grup kosmitów, więc sądzę, że wyjdziecie na tym nieźle. W każdym razie on nie dokłada do tego interesu ani grosza.

— Co ty będziesz miał z tego układu, Thaddeus? — spytała Alma.

— Gwiazdy — odparł z odcieniem ironii.

Przypatrywała mu się długo, ze słodko-gorzkim wyrazem twarzy.

— Nigdy tu nie wrócisz, prawda? — spytała w końcu. Nie było to właściwie pytanie.

— Jest tam mnóstwo owieczek, które tylko czekają, żeby je obedrzeć ze skóry — odparł. Nie była to właściwa odpowiedź, ale innej nie miało być.

Wstała i podała mu rękę.

— Życzę ci szczęścia, Thaddeus. Będę patrzyła na niebo każdej nocy i zastanawiała się, gdzie jesteś.

Ujął niezręcznie jej dłoń.

— Ja też ci życzę szczęścia, Almo.

Wyszła z cieplarni i prędkim krokiem ruszyła w stronę swojej przyczepy.

— Z iloma ludźmi z listy jeszcze nie rozmawiałem? — spytał Thaddeus znużonym tonem.

Wyciągnąłem kartkę i spojrzałem na nią.

— Z siedmioma. — Urwałem. — Chyba że chcesz kogoś dopisać.

— Na przykład kogo?

Nie miałem odwagi mu powiedzieć.

— Na przykład Dużego Alvina — odparłem posępnie.

Potrząsnął głową.

— Po co komu goryl na takiej trasie?

— Ale co z Glorią? — spytałem.

— Już z nią rozmawiałem. Powiedziałem, że nie biorę nikogo, z kogo nie będzie pożytku, więc może zostać albo jechać, jeśli chce, ale Alvin zostaje.

— I?

— Jedzie. Dla Alvina to też będzie korzyść. Zmarnowałby kolejnych pięć lat, zanim by pojął, że ją interesuje tylko taniec. — Ziewnął. — Jezu, ale jestem zmęczony. Przez cały wczorajszy dzień obmyślaliśmy to z Ahasuerusem, a potem spędziłem noc przy jego radiu na promie. Wciskaliśmy agencji pomysł wędrownego cyrku i cały czas musiałem pilnować, żeby Romany nie włączył jakichś kruczków do umowy, a prawie cały dzisiejszy dzień spędziłem na przekonywaniu bandy oszustów, że nie mam zamiaru popełnić największego oszustwa świata.

Wyjrzał za okno i zobaczył Stogie'ego, który wędrował ze swoim małym sznaucerem przez śnieg.

— Zupełnie nie mam pojęcia, co zrobimy z tym psem — powiedział. Po-tem wzruszył ramionami. — A co tam. Skoro zabieramy lamparty, lwa i nie-

dźwiedzia, to chyba ten stary sukinsyn może wziąć z sobą dziesięciofuntowego psa.

Otworzył drzwi i krzyknął:

— Hej, Stogie, przyjdź do mojej przyczepy! Muszę z tobą o czymś porozmawiać.

Zastanawiałem się, czy nie pójść do przyczepy Dancera i nie spędzić ostatniego wieczoru z przyjaciółmi, ale wiedziałem, że Monk i Diggs będą wiedli ożywioną rozmowę o swojej przyszłości, a w danej chwili przyszłość nie była czymś, co by mnie fascynowało. Tak więc zostałem w cieplarni, zupełnie sam i zaczynałem pojmować, że samotność jest czymś, do czego muszę na powrót przywyknąć.

ROZDZIAŁ 16

Następny ranek rozpoczął się ożywioną krzątaniem, która w miarę upływu dnia stawała się coraz bardziej gorączkowa.

Pan Romany i Cwaniak spędzili kilka godzin na kłótniach, jak dokonać podziału gier między nich dwóch. Monk stwierdził, że nie będzie polegał na możliwościach pana Ahasuerusa odnośnie do zdobywania odpowiedniego pożywienia dla jego zwierząt i pojechał swoim autobusem — razem z kosmitami — do pobliskiego miasteczka, aby kupić pięćset funtów mięsa od dość zaskoczonego rzeźnika. Jedną z ciężarówek trzeba było rozładować, kiedy się zorientowano, że kostiumy stripteaserek, które miały jechać z Thaddeusem, zostały nakryte namiotem specjalnych atrakcji, który miał zostać przy panu Romanym. Duży Alvin się upił i trzeba go było powstrzymać, bo zaczął wybijać szyby w oknach furgonetek i przyczep. Sznaucer Stogie'ego się zgubił i szukano go przez dwie godziny.

W końcu jednak, późnym popołudniem, wszystko było gotowe i Thaddeus obwieścił, że jego filia Wędrownego Cyrku i Gabinetu Osobliwości Ahasuerusa i Flinta będzie gotowa do drogi za dziesięć minut. Później wezwał

kilku ludzi z filii Romany'ego, którzy mieli mu towarzyszyć do czasu odlotu, a potem sprowadzić pojazdy z powrotem.

Prawie cały dzień siedziałem samotnie w przyczepie, usiłując zebrać się na odwagę i poprosić Thaddeusa, by zabrał mnie z sobą. Ze dwa razy już byłem przy drzwiach, ale wtedy przypominałem sobie, że nie chciałem wziąć z sobą nawet Dużego Alvina i wiedziałem, że nie będę potrafił go przekonać, że umiem na siebie zarobić. Tak więc nie ruszyłem się z miejsca i liczyłem godziny, a potem minuty.

Zastanawiałem się nawet, czy nie iść do autobusu Monka i zdać się na litość pana Ahasuerusa, ale wiedziałem, że on ma wiele innych ważniejszych rzeczy na głowie niż przyszłość brzydkiego garbusa, który ma trudności z mówieniem, a poza tym strasznie się bałem ostateczności negatywnej odpowiedzi. Chyba w głębi duszy wierzyłem, że tak długo, jak nie zostanę oficjalnie odrzucony, zawsze będzie istniała szansa, że może zmienić zdanie w ostatniej chwili. Zastanawiałem się, ile by na to postawił Cwaniak.

Jazda do promu trwała około czterdziestu minut. Kiedy poczułem, że się zatrzymujemy, wyjrzałem przez okno i zobaczyłem, że znajdujemy się na dużej polanie, otoczonej ośnieżonym lasem. Wiatr nawiewał sypki śnieg i mimo że znajdowaliśmy się w odległości mniejszej niż pięćdziesiąt jardów, nie potrafiłem dostrzec zarysu potężnej maszyny. Przypominała mi zanurzoną łódź podwodną, a w każdym razie nie przychodziło mi do głowy lepsze porównanie.

Zobaczyłem kosmitów, ubranych w kurtki i otulonych w koce, jak odbywali krótką wędrowkę do statku. Potem Monk zaczął przenosić swoje zwierzęta. Otarłem parę z szyby, mając nadzieję, że po raz ostatni zobaczę Diggsa i Dancera, kiedy nagle poczułem przeciąg.

Na progu stał Thaddeus, z rękoma wspartymi na biodrach, z lekko zirytowaną miną.

— No co tam? — powiedział.

— Niby co ma być?

— Nie jesteś jeszcze spakowany?

— Myślałem, że będę dalej mieszkał w przyczepie — powiedziałem. —

No chyba, że ją dałeś komuś innemu.

— O czym ty do diabła mówisz? Lecisz z nami.

— Ja?! — krzyknąłem.

Parsknąłem.

— Widzisz tu jeszcze kogoś innego?

— Ale... co ja mogę robić? Mówiłeś, że każdy powinien na siebie zarobić.

— Każdy będzie zarabiał — zapewnił mnie Thaddeus. — Szczególnie ty.

— Nie rozumiem.

— Będę za bardzo zajęty kierowaniem cyrku, by móc robić coś innego.

No bo pan Ahasuerus to fajny gość i tak dalej, ale mógłbyś zapłacić całą bibliotekę książkami o tym, jak to on się nie zna na interesach. — Urwał. — I co o tym myślisz?

— O czym? — spytałem.

— Zawsze chciałeś być konferansjerem, prawda?

— Tak, ale... — Znowu zaplątał mi się język i nie potrafiłem wydobyć z siebie słów.

— Pan Ahasuerus opowiadał mi, że na wielu światach, do których lecimy, posługują się telepatią. — Więc — powiedział i uśmiechnął się — jeśli się nie jąkasz, kiedy myślisz, to będziesz miał pracę.

— Mówisz to poważnie, Thaddeus? — zdołałem wykrztusić.

— Czy ja mógłbym cię okłamać, ty obrzydliwy karle? — odparł łagodnym tonem.

W niecałą minutę wypełniłem walizkę swoim ziemskim dobytkiem. Potem założyłem kurtkę i poszedłem za nim przez zimny śnieg Vermontu do oczekującego nas statku kosmicznego.